

„ORZEŁ BIAŁY“
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

Février 1968

Cena 3/6
\$ 0.50; 2.50 F.



SYRENA

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

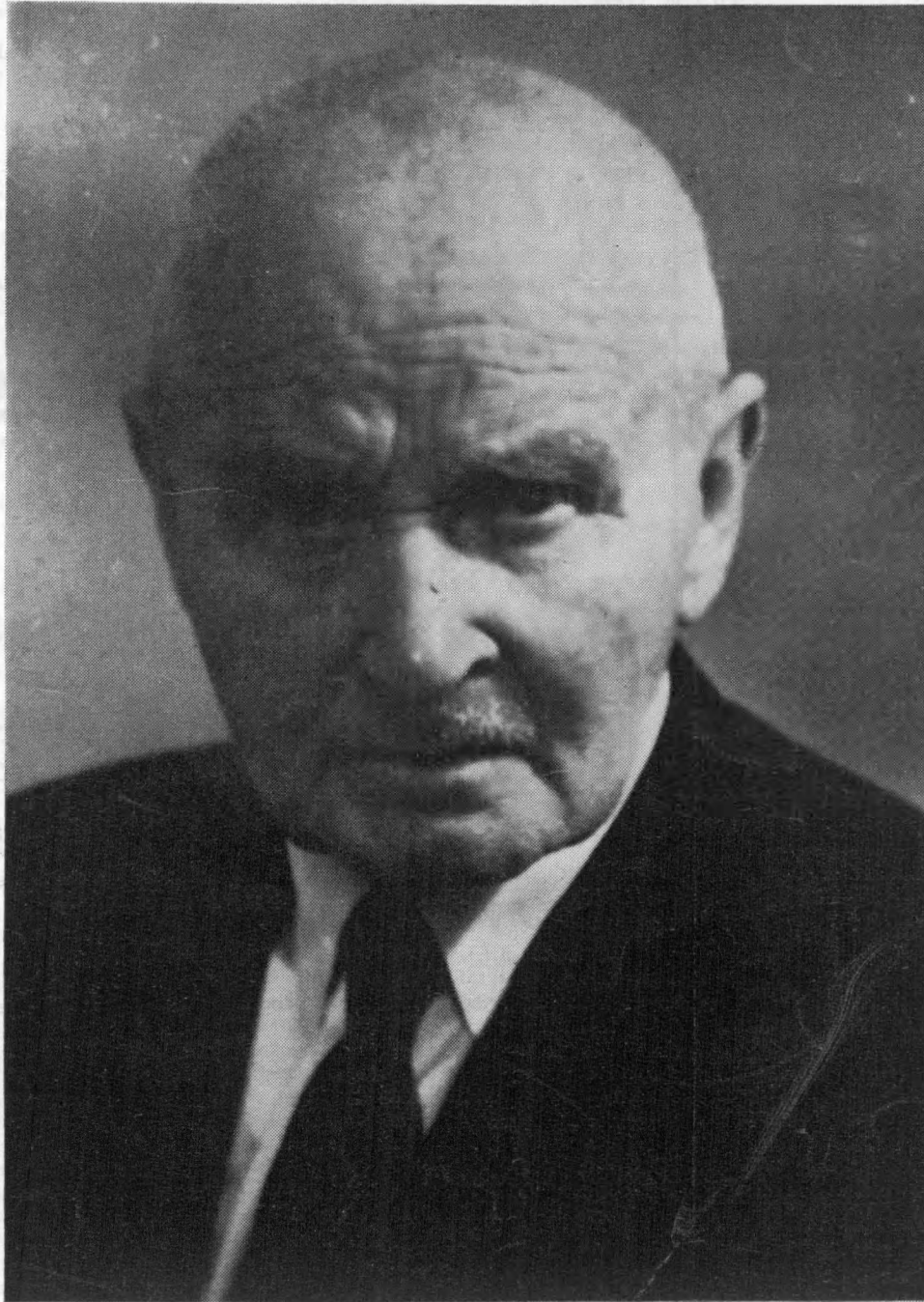
B.D.I.C

ORZEŁ BIAŁY

L U T Y

1968

Nr 43/1190



GENERAL MARIAN KUKIEL
żołnierz i uczoney

FP 2156

W NUMERZE :

- M. Kukiel: Uwagi i nauczaniu historii na emigracji 1
Z. Grabowski: Kult młodości 6
K. Trębicki: Mylne diagnozy i mętne prognozy 8
T. Podgórski: Sprawy i sprawy ki towarzyszy dyrektorów 8
J. Adamski: Wątpliwe wyniki reformy gospodarczej 10
M. Tomkiewicz: Izrael widzia-ny z Londynu 12
W. Günther: Przewrotna polityka 13
S. Wóycicki: Sprawy polskie w 2-gim tomie pamiętników Macmillana 14
K. Brzozowska: Scena Narodo-wa (I) Aktorzy Króla Jego-mości 16
K. Glabisz: Daleka droga do Zamku 19
M. Wilczewska: Z Kazachstanu do domu 20
KONKURS „ORLA BIAŁEGO“
„Serafina“: Własny dom 22
„Łodzia“: Kawałek Polski 24
J. S.: Nagrody redaktorskie dla Giedroycia i Grydzewskiego 27
J. Orłowska: Święta noc w Greccio 28
J. Pększyc: Drzewiej... 29
Kage: Kronika wojskowa 31
Z życia polskiego 32
K. E.: Przeważnie dla pań 33
W. Netter: Armia urzędnicza 34
Cz. Chowaniec: Żołnierz Polskiej Sprawy śp. prof. Z. L. Zaleski 36
Dr Michał: Koklusz 37
S. Legeżyński: Oczy w mroku 38
W. Stefański: Błogosławieństwa dewaluacji 39
P. Borkowski: Fraszki 40
Książki nadesłane 40

NASZA OKŁADKA

GEN. DYW. MARIAN KUKIEL

Urodzony w roku 1885. Studia na Uniwersytecie Lwowskim. W r. 1927 rozpoczyna wykłady na Uniw. Jagiellońskim, a od r. 1930 jest dyrektorem Muzeum im. Czartoryskich w Krakowie. Od 1939 r. przebywa za granicą, gdzie w czasie wojny jest członkiem Rządu Polskiego, a od czasu zakończenia wojny oddaje się pracy naukowej i społecznej.

Główne prace: „Dzieje oręża polskiego w epoce napoleońskiej“ (1911); „Próby powstania po trzecim rozbio-

Co wysłać teraz?

Po co pudłować skoro poinformuje najlepiej najnowszy biuletyn TAZABA *** (TRZY GWIAZDY)

„POLO“ bluzki, z kołnierzykiem lub „Golfy“? Ortaliony? Jeżeli — to tylko dobre i z wszystkimi „szykanami“ bo dobry gatunek najlepiej się oplaca.

OSTRZA do golenia „Gillette Super Silver“, kalkuluje się u TAZABA: £1 ca: 500 zł., sprzedają się „jak bulki“ po 12—15 zł. za sztukę (cio 75 gr. za sztukę). Łącznie z wysyłką: 50 szt. 29/6; 100 szt. 55/-; 500 szt. £12,15.0; 1000 szt. £22.15.0.

Biuletynami *** najnowszymi cennikami najbardziej aktualnych leków angielskich, niemieckich, szwajcarskich i doświadczeniem 20 lat służy

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W. 7.

100 EAST 10th STREET, NEW YORK.

TEL. ALGONQUIN 4-4161

20 RUE LEGENDRE, PARIS 17e. — TEL. WA. 3-0827

WÓDKI I LIKIERY NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI

J. A. BACZEWSKI

Lwów

1782

Wiedeń

Wiśniówka — Krupnik — Starka — Wiśniak
Jarzębiak — Malinowa — Tea Rum — St. Bernhard

Importowane przez:

PODOLIA COMPANY LIMITED

Zamówienia kierować do:

PODOLIA CO. LTD. — 159, Waterloo Street,
Oldham, Lanc's. Tel.: 061 MAI 4626

lub do:

J. A. BRUCE & CO. — 9, Lenthal Place,
London, S.W. 7. Tel.: 373 5808

Żądać wszędzie

Ceny przystępne

LISTY DO REDAKCJI

„TEUTOŃSKIE SNY I KOSZMARY“

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeczytałam dzisiaj artykuł Krystyna Ostrowskiego zatytułowany: „Teutońskie sny i koszmary“. Są artykuły, które irytują. Czasami mają ten dobry skutek, że pobudzają do myślenia i próby przedstawienia własnych tez — tejom autora. Zdarzają się artykuły nudne i głupie w pojęciu czytelnika. Ale jest jeszcze jedna kategoria artykułów. Takie, które czytając myśli się: dobrze to ujął. Podoba mi się ten artykuł. Do tej właśnie kategorii zaliczyłabym artykuł „Teutońskie sny i koszmary“.

rze“ (1912); „Zarys historii Wojskowości“, 5 wydań; „Wojna roku 1812“ (1937); „Czartoryski and European Unity“ (1955); „Dzieje Polski porobiorow“ (1961).

Niemieckie zastrzeżenia, że nie użyją siły w stosunku do nas, nie stanowią chyba jednak podstawy do wielu nadziei na przyszłość. „Dziennik Polski“ doniósł 12 stycznia br., że prasa krajowa przemilała wiadomość o gotowości ambasadora sowieckiego w Bonn dyskusowania z rządem NRF deklaracji o nieużywaniu siły. Różnice między Polakami i Niemcami w odczuwaniu i reagowaniu na wiele spraw nie są chyba większe od różnic między Niemcami i Rosjanami. Niemcy jednak mieli i mają tendencje szukania raczej porozumienia z Rosjanami niż z Polakami. Wystarczy więc skonstruować odpowiednio efektywnie działające kleszcze rosyjsko-niemieckie, żeby rząd PRL zgodził się „dobrowolnie“ na wszystko. Pocóż w takim wypadku Niemcy mieliby uciekać się do siły. Zupełnie zbyteczne. Wystarczy „rozsądna“ perswazja

(Dokończenie na przedostatniej stronie okładki)

UWAGI O NAUCZANIU HISTORII NA EMIGRACJI

Referat wygłoszony przez Atora na dorocznej konferencji nauczycielskiej 7.X.1967 w Westminster Cathedral Hall w Londynie, zorganizowanej przez Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego przy współudziale Stowarzyszenia Polskich Kombatantów i Polskiej Macierzy Szkolnej.

NAUCZANIE historii na emigracji ma, oczywiście, to samo zadanie jakie miało w wolnej Ojczyźnie: uświadomienie dzieciom i młodzieży, z jakiego narodu wyrosli, jakie jest ich dziedzictwo po tysiącleciu jego dziejów. Do tego dochodzi na emigracji konieczność uświadomienia im dlaczego, mimo że urodzili się na obcej choć przyjaznej ziemi, muszą zachować pamięć o kraju swych ojców i poczuwać się do przynależności do narodu polskiego, a zarazem łączyć to z przywiązaniem i wiernością dla kraju, w którym się urodzili, a ojcowie ich znaleźli życzliwe przyjęcie. Jest zatem problemat podwójnej przynależności, a samo nauczanie siłą rzeczy musi się liczyć z tym, że te dzieci, czy ta młodzież równocześnie uczy się w większym zakresie dziejów Anglii czy Ameryki, czy Francji itp., jako dziejów swej nowej ojczyzny.

Nie może być w nauczaniu rzeczy polskich przeciwstawienia dwóch patriotyzmów. Raczej jedno winno wspierać drugie. Pamięć wspólnych walk powinna być dumą naszej młodzieży od dziecka bez megalomańskiej pychy, bez wyklócania się kto lepszy, kto więcej dokonał. A z naciskiem na to, co łączyło w przeszłości, z nadzieją na przyszłość. Bez wstydu za nasze losy i bez goryczy za doznane zawody; na obrachunki będzie czas później, gdy dorosną. Tymczasem znajomość własnej przeszłości powinna raczej być pomocą wśród obcych. Uzbraja uczących się w takie wiadomości, których kole-dzy ich tu normalnie nie nabywają. Rozszerza przed nimi widok na Europę. Pozwala zainteresować czymś brytyjskich nauczycieli czy kolegów,

a nawet w dobrym wypadku przysłużyć się dobremu imieniu Polski.

PARALELIZM I METODA PORÓWNAWCZA

Trudności w wypełnianiu tego zadania są oczywiste: szczupłość czasu na naukę rzeczy polskich, ogromna przewaga w nauce historii narodów kraju osiedlenia. Trudna problematyka dziejów naszych. W dodatku tragizm naszych losów, wyolbrzymiany skoro się patrzy na przeszłość przez pryzmat naszego tułactwa, czy pielgrzymstwa jak mawiano za tamtej emigracji. Nie możemy stawiać naszej młodzieży w roli żałobników czy kwerulantów, ani też chcieć by się spowiadała przed obcymi z win naszych.

Trudność zadania polega zatem na trudności selekcji tych wiadomości, które należy podać — selekcji, która, z natury rzeczy, musi polegać na ocenie wartości wychowawczej, siły emocjonalnej czy pobudzającej myśl i wolę. Ileż zależy od sposobu podania, który przy tym nauczaniu dodatkowym musi być żywy, interesujący, ma pociągać i przykuwać.

W naszej galicyjskiej szkole za moich lat „historia kraju rodzinnego“ była przedmiotem dodatkowym, nadobowiązkowym, ale niechby ktoś się nań nie zapisał i nie wykuwał trudnego, lapidarnego podręcznika Lewickiego, bogatego w fakty, nazwiska, daty. Nie wolno nam teraz przytłaczać uczniów mnogością dat czy nazwisk, czy panowań, czy wojen; wiele trzeba zostawić późniejszemu czytaniu. Unikać abstrakcji. Ludzie czy fakty muszą mówić za siebie — stawać się bliższe i bliskie, słowem — historia w nauczaniu naszym musi być żywa. Broń Boże nie nudna. Pojęto to doskonale ożywiając nauczanie wzrokowo dobrą, żywą ilustracją, a znakomitym pomysłem są albumy szkolne (historyczne).

Czy aktualizować historię? Wtedy, gdy rzecz jest oczywista, uderzające powtarzanie się zjawisk i to

na wyższym szczeblu, bez narzucania poglądów. Budzić myśli.

Ale na początku musi być to, co było na początku — nasza dawność.

DAWNOŚĆ NASZA I CUDZA

Ta dawność Polski jest dziś większa niż była gdym uczył się historii jako dziecko. Dzieje bajeczne odsuwają się wstecz i cofa się o cztery pokolenia historia właściwa, którą usiłuje się zbadać.

Było tak za mojego dzieciństwa, że w każdą sobotę wieczór przychodził do matki na pogawędkę nasz proboszcz, niegdyś wojskowy kapelan, który był w bitwie pod Königgratz i lubił o niej opowiadać. Matka zwracała rozmowę na aktualniejsze tematy: jak z nauką w szkole, czy dzieci uczą się historii polskiej. Odpowiedź była niezmienna: O tak, już doszły do smoka. Smok wawelski istotnie bajkowy. Ale mieliśmy tu w Londynie przykład, ile entuzjazmu wywołał ten smok prawie że ogniem ziejący na scenie teatru dla dzieci i heroiczna walka z nim uroczej dziesięcioletniej Wandy. Nauka nie bardzo sobie daje dotąd rady z Krakusem i Wandą. Ale piosenka o niej zrobiła karierę nielada. Pamyście: jedzie cesarz jegomość Napoleon karetą z Poznania na Toruń, kłusuje przy karecie dowódca eskadry szwoleżerów i słyszy — coś cesarz podśpiewuje. A on nuci „Wanda leży w naszej ziemi, co nie chciała Niemca“. Tak go pięknie wyuczyła pani Walewska.

W bajkowej historii polańskiej ponure jest podanie o Popielu. Czy był panem obcego pochodzenia? Askoldem wareskim, jak sądzą niektórzy. Czy naprawdę tyłu stryjów wytruł? Było by to zresztą zgodne z obyczajem ówczesnym i wymogami racji stanu, ale bądź co bądź, grzech. Słusznie zatem myśli go zjadły. I tu z zagadkowym Chwościkiem-Piastem czy ojcem Piasta — mamy założyciela dynastii narodowej, z ludu wyrosłej i przechowującej tę tra-

(Ciąg dalszy na str. 2)

DOGANIANIE ZACHODU

dycję swego pochodzenia przez wieki. I śliczną historię o postrzyżynach Ziemowita i tych gościach jak z innego świata i jak przemienia się chata kołodzieja i spiżarnia Rzepichy w Kanę Galilejską. A co dzisiaj przypuszczają — że to irlandzko-duńscy misjonarze docierali już do ziem Polan. A dzieje się to ponad sto lat przed wstąpieniem Mieszka na tron i jego chrztem. Znamy imiona jego poprzedników; Ziemowita, Leszka, Ziemomysława. Odczytuje się z odkopanych grodów i siedzib ludzkich jak z luźnych związków plemiennych wyłania się państwo Polan-Polska. A tymczasem w Anglii dawno już, w szóstym przecieży wieku święty Augustyn nawracał Anglosasów i budował kościoły.

WYPRZEDZENIE PRZEZ ANGLIĘ

Na sto lat przed Bolesławem Chrobrym miała Anglia monarchię wielkiej miary, Alfreda Wielkiego, który rozdarł i najechnął w walkach jednoczył i zapalał w niej światła duchowej kultury własnej. Studiował i tłumaczył dzieła starożytnych — w tym „Pocieszenie filozofii“ Boecjusza, był „ojcem prozy angielskiej“ i angielskiej historiografii w rodzimym języku. A współcześni mu w Polsce Leszko i Ziemomysł nie zostawili po sobie dla historii prócz imion. Wyprzedzenie kulturalne jest tu na kilka stuleci, jak między początkami uniwersytetu w Oxfordzie — a w Krakowie. Na czym polega różnica? Że tu do tych wysp od prawieku płynęły okręty a z nimi zdobycze cywilizacyjne świata starożytnego, że Rzymianie wnieśli tu i swoją mowę i swoją organizację i kulturę materialną, że po ich ustąpieniu anglosascy najeźdźcy przejmowali duże — pomimo wojen, mordów, rzezi i spustoszeń — dziedzictwo cywilizacyjne zromanizowanych Brytyjczyków. Że wczesny, potężny rozwój Kościoła w Anglii zapewniał ciągłość owej recepcji dorobku starożytnego świata i twórczości własnej.

My byliśmy daleko od wczesnych cywilizacji. Nie wiązało nas z nimi morze, a dzieliły „pełne zwierza bory i pełno zbójców na drodze“. Z przekazów kupców arabskich i żydowskich mamy dopiero pierwszą wiadomość o państwie Mieszkowym.

To doganianie Zachodu dokonuje się nie od razu i nie bez przeszkód. Rola w tym olbrzymia Kościoła jest oczywista. Trzeba ją pokazać. I na to, że w tych czasach nie tylko u nas, dzikich i srogich, religia miłości Boga i bliźniego tak łatwo, tak szybko bierze górę nad wierzeniami pogańskimi, że pamięć o nich niemal zanikła. I że to z zapisek kronikarskich swoich i obcych, ręką najczęściej zakonników po klasztorach i kapitułach zbudowano szkielet wczesnych dziejów Polski. Wspomniałem, że dla Alfreda Wielkiego współczesnym byłby zapewne Leszek Piastowic lub Ziemomysł. I że po nich tylko imiona zostały. Ale można już stwierdzić, że Mieszko I podobnego dokonywał dzieła zbierania plemion lechickich jak tamten z królestwami angielskim — a Bolesław Chrobry był już niezaprzeczenie uznany nawet przez wrogów za wielkiego monarchę. Przeskakując szereg pokoleń, odnajdziemy w walce Łokietka o tron jakby analogię z Alfredem Wielkim, a bardziej jeszcze przerzucając się do Szkocji, z jej królem-bohaterem Robertem the Bruce. Przy Bolesławie Chrobrym warto przypomnieć, że to wujaszek Kanuta Wielkiego, norweskiego władcy Anglii. Gdy wspominamy o gromnym rozroście państwa naszego za Bolesława Chrobrego, a trzeba zaznaczyć, że zostało nieomal rozszarpane zaraz prawie po jego zgonie — i tu wspomnieć można na podobne losy monarchii Kanuta Wielkiego, a późniejsze tego imperium, które królowie normandzcy posiadali we Francji i które postradali w wojnie stuletniej. Wśród największych monarchów średniowiecznych postawić możemy ostatniego z królów Piastów, Kazimierza Wielkiego, jego zasługi w organizacji państwa, które nazwalibyśmy dziś monarchią praworządną z silną władzą centralną a poszanowaniem praw poszczególnych stanów — państwa mocnego choć w bardzo ciasnych granicach. Wspomnieć trzeba o Statutach Wiślickich i że dzięki prawom nadanym chłopom żyje w pamięci na zawsze jako „król chłopków“. Można też wspomnieć i o krakowskim zjeździe monarchów —

uczta u Wierzyńka i o założeniu najstarszego uniwersytetu w Polsce.

POLSKA W EUROPIE

Trzeba poświęcić kilka słów ogromnej przemianie małej a rdzennie polskiej monarchii Kazimierzowej w ogromną jagiellońską wspólnotę narodów. Już Kazimierz przyłącza odziedziczone ziemie Czerwonej Rusi ze Lwowem. Ale przez unię i przyłączenie ziem litewsko-ruskich Polska wiązała swe losy z ogromnym państwem z ziem przeważnie ruskich, wytworzonych przez mały a niesłychanie zdobywczy naród litewski. Unia była dla wspólnej obrony — przeciw Krzyżakom, Tatarom, Moskwie. Ale zaczyna się przyjęciem wiary chrześcijańskiej przez pogańskie jeszcze stare ziemie litewskie. To jest początek jednoczenia się „obojsza narodów“ w jeden. I tutaj przytoczyć najpiękniejszy akt w naszej historii, w którym panowie polscy przemawiają do litewskich w Horodle 1413 roku słowami św. Pawła o łasce zbawienia, którą przynosi miłość — miłość między narodami. A w tymże czasie, na soborze konstaneńskim rektor uniwersytetu krakowskiego Paweł Włodkowic, broniąc sprawy polskiej w procesie z Zakonem Krzyżackim, wywodzi że nie wolno pogan tępić ani mieczem nawracać i wyprzedza w tym ówczesne poglądy na Zachodzie.

Stąd już okazja do porównań. Wolno zestawić podboje polskie bezkrwawe z dokonywanymi wśród wojen bez końca i zaznaczyć, że nasze zawdzięczaliśmy swym instytucjom wolnościowym i polskiej tolerancji w stosunku do ludzi różniących się wiarą, których prawo polskie zabraniało prześladować. Przytoczyć starszym tekst konfederacji 1573 roku. Można powiedzieć, że w Europie XVI i XVII w. Polska była wyspą, na której nie było krwawych walk religijnych, a przez długi czas było zupełne uprawnienie wyznań. Nieocenioną będzie dla uczących jako repertorium wydana świeżo książka prof. Pawła Skwarczyńskiego o tolerancji w Polsce i w Europie.

W tym kraju warto zaznaczyć, że zanim w Anglii zasłynął Bacon Wierulamski, w Polsce Kopernik wydał swe wiekopomne dzieło „O obrotach ciał niebieskich“. A gdy Anglia wydała plejadę znakomitych twórców

z wielkim Szekspirem na czele, w Polsce ukazali się pierwsi pisarze w języku ojczystym, a wśród nich świetny poeta Jan Kochanowski; a Mikołaj Rej stwierdzał dumnie: „Niechaj narodowie wżdy postronni znają, że Polacy nie gęsi, że swój język znają“.

Zwrócić trzeba uwagę na wydaną właśnie książkę Tymona Terleckiego, „Tysiąclecie kultury polskiej“ bardzo pomocną przez ukazanie, że Polska wiele się uczyła i zapożyczała z Zachodu, ale wносиła też wiele w dzieje Europy i jej duchowy do-robek.

UPADEK I ODRODZENIE NARODU

Niepodobna nie zwrócić uwagi, że w Polsce więcej było ludzi wolnych i cieszących się pełnią praw obywatelskich jak w innych narodach, bo szlachta była bardzo liczna; ale swobody i prawa mieszczan i chłopów zostały przez wszechwładny stan rycerski czyli szlachtę ograniczone i stopniowo nastąpił upadek miast a niewola chłopów, bezsilność rządów, zastój i niemoc państwa. Bardzo się do tego przyczyniły długie wojny w obronie odległych granic a przeważnie toczące się na naszej ziemi, bo znowu trzeba przypomnieć — Polska nie była wyspą jak Anglia, ani oblana morzami z dwóch stron a górami z innych ogrodzona jak Francja. Trzeba wspomnieć o tym jak wojny kozackie i bunt ludu ukraińskiego rujnowały ziemie wschodnie i osłabiły państwo. Po wojnach prawie nieustannych w XVII wieku — krwawy potop — Polska była wyniszczona ludnościowo i w ruinie, a duch narodowy upadał. Starszym uczniom można podsunąć analogię między buntami i utratą Irlandii a naszymi przejściami na Ukrainie. Wspomnieć unię ze Szkocją — podobną do naszej z Litwą, ale o wieki późniejszą. I że myśmy nigdy nie mieli powstania przeciw nam na Litwie, ani wojny z nią takiej jak Anglia w 1745-6 roku, gdy Bonnie Prince Charlie z góralami szkockimi szedł na Londyn.

Z doby rozbiorowej trzeba podkreślić słabość Rzeczypospolitej ale i szybkie odradzanie się narodu, zacofanie kulturalne, ale i szybkie raz jeszcze dościganie innych, wspinałe dzieło Komisji Edukacyjnej i

fakt, że rozwój szkolnictwa w Rosji zaczął się później przez przejęcie wzorów polskich.

Pokreślić przede wszystkim przebudzoną wolę ratowania państwa przez mądre urządzenie silnego rządu i sprawiedliwość dla mieszczan i chłopów. Koniecznie przytoczyć słowa Kościuszki w Uniwersale Połanieckim „Osoba każdego włościanina jest „wolna“ i że padły one wtedy, gdy chłopci w trzech mocarstwach rozbiorowych byli w niewoli jak w Rosji, a w ciężkim poddaństwie jak w Austrii i Prusach. Sprawa wolności narodu złączyła się u nas ze sprawą wolności własnego ludu. Polskę rozszarpano, gdy była na drodze do pełnego odrodzenia.

Co do dziejów porozbiorowych i powstań przeciw zaborcom zarzucają nam dotąd niespokojnego ducha i wojowniczość. Pamiętam z podręczników francuskich, a nawet w Grande Encyclopedie wyrok na nas: „Nation generouse mais turbulente“. Trzeba więc pamiętać co w Hamlecie mówi Fortynbras: ten kawałek ziemi, który idzie odwojować od Polaków to płacheć piasku namorskiego — nic nie wart. — To czyż Polacy będą się o niego bić? Odpowiedź Fortynbransa: Polacy nie oddadzą tego, co uważają za swoje bez walki — więc będą tego bronić do upadłego.

Przecież to wśród powstań greckich umierał Byron, którego „Giaur“ w przekładzie Mickiewicza uczył Polaków że „walka o wolność gdy się raz zaczyna, z ojca krwią spada dziedzictwem na syna — sto razy wrogów złamana potęgą skończy zwycięstwem“. A dalej: „Długo by mówić — przechodzić okropnie wszystkie od chwały do niewoli stopnie — dosyć jest wiedzieć, że nikt nie zagrzebie ducha swobody — chyba on sam siebie, bo własne tylko upodlenie ducha ugnie wolnych szyję do łańcucha...“

Niechże zatem młode pokolenie emigracji nie wierzy, by naród polski gorszy był od innych przez to, że raz po razu porywał się do broni — i niech pamięta, że i w ostatniej wojnie walczyliśmy za sprawę wolności, którą nie tylko my uważaliśmy za wspólną i że mogą być dumni, żeśmy w tej walce wytrwali do ostatka.

Marian Kukiel

Staraniem Komitetu
Uczczenia
SETNEJ ROCZNICY
URODZIN
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

B.D.I.C

ukazała się **PŁYTA**

zawierająca przemówienie

Józefa Piłsudskiego

nagrane w roku 1924
przez firmę B. Rudzki
w Warszawie

Na tejże stronie płyty

Etiuda Rewolucyjna
w wykonaniu
J. Kropiwnickiego
Pierwsza Brygada
fragment w wykonaniu
orkiestry

Na 2-jej stronie płyty

Wypowiedzi
Józefa Piłsudskiego
z lat 1919—1921
czyta Józef Opieński
„O jednej z prawd
życia“
„O ofierze w pracy
dla Polski“
„O cywilizacyjnej
misji Polski“

CENA 30 sh., przesyłka 2/6
US \$ 5, włącznie z przesyłką

DO KSIĘGARNI POLSKIEJ

ORBIS
66, KENWAY ROAD,
LONDON, S.W. 5.

Data

Zamawiam płytę z przemówieniem
Marszałka Piłsudskiego
i załączam należność

£

\$

Nazwisko

Adres

EPOKA współczesna zyskała sobie już różne miana jak na przykład: era techniki, era atomowa, epoka prób kosmicznych i inne. Bez względu na to jakie miano dozepi do niej historia, można dodać do tych nazw jeszcze jedną: epoka kultu młodości.

Jesteśmy niewątpliwie świadkami zjawiska coraz to powszechniejszego, a mianowicie, uwielbiana młodości. Skąd ten prąd przyszedł — niewiadomo, ale wiele wskazuje na to, że fala ta nadeszła z Ameryki. Tam bowiem najwyraźniej może wystąpiły cechy kultu młodości i tam najdrastyczniej zarysowuje się lęk przed starością, unikanie tematów zatrącających o starość, unikanie mówienia o chorobach. Nie darmo na ziemi amerykańskiej narodziła się sekta religijna, zwana „Christian Science“ przy czym jednym z jej kanonów jest nieuznawanie choroby. W Ameryce rozkwitła również sztuka tzw. „morticians“, którzy zmarłym osobom nadają pozory życia przez odpowiedni makijaż, a jeden z najlepszych pisarzy Anglii, Evelyn Waugh, opisał te wszystkie ceremonie z dużą dozą złośliwości, ale i autentycznej prawdy.

W Ameryce samo wychowanie młodzieży sprzyja jej dominacji, albowiem dziecko w Ameryce ma zawsze rację i nie stosuje się surowej dyscypliny do dzieci — zamiast tego prowadzi się je do psychoanalitka, aby broń Boże nie nabyło kompleksów. Obawa przed kompleksami sprawia, że młodzież amerykańska jest najbardziej rozwydrzoną na świecie. Rodzice są biednymi ofiarami przesadnego kultu młodości. Z Ameryki zatem bodaj przyszedł ten nowy kierunek, połączony z drugim elementem — kultem ciała. W Polsce przed laty pamiętna była powieść Stanisława Srokowskiego pt.: „Kult Ciała“, postawiona niemal na indeksie jako książka głęboko „nie-moralna“. Erotyzm tej książki był nieśmiały w zestawieniu z powieścią Gustawa Daniłowskiego „Maria Magdalena“, która została skonfiskowana przez cenzurę austriacką, ale ocalała dla literatury w formie... wniosku poselskiego odczytanego w całości przez jednego z posłów Koła polskiego w parlamencie austriackim — Ignacego Daszyńskiego. Daszyński przeczytał po prostu całą

ZBIGNIEW GRABOWSKI

K U L T

powieść na forum parlamentu i została ona wypuszczona w świat jako interpelacja poselska. Wszystkie te polskie próby z „Dziejami Grzechu“, Żeromskiego włącznie wydają się dzisiaj niewinne w zestawieniu z powieściami współczesnymi, które karmią czytelnika otwartą erotyką.

Kult młodości przejawia się dzisiaj może najbardziej drastycznie jeżeli chodzi o Europę — w Wielkiej Brytanii. Jest to biologicznie zrozumiałe, albowiem Anglia ma coraz bardziej powiększające się zastępy starców i za lat kilkanaście będzie miała najwyższą przeciętną wieku w Europie. Dotychczas jednak Anglia opierała się kultowi młodości, a jeszcze przed wojną wiek lat 60 uważany był za niezbyt sędziwy i wiele osób zaczynało nowe kariery.

Hasło „Too old at forty“, którym się dzisiaj szermuje, byłoby uważane za prowokację i niesprawiedliwość przed drugą wojną, podczas gdy dzisiaj upowszechniło ono się w czcigodnej Anglii i odmowa wyrażona w tych słowach staje się coraz to bardziej powszechna w odniesieniu do ludzi szukających pracy. Przedsiębiorstwa i instytucje chcą inwestować w młodość i uważają, że taka tylko inwestycja opłaca się. W społeczeństwie o przewadze zainteresowań technicznych młody człowiek ma przewagę startu nad człowiekiem starszym, podobnie jak we wszystkich sportach młodość jest legitymacją zwycięstwa, a jeżeli zawodnik liczy sobie lat 27 czy 28, uważany jest już za zbyt starego by mógł osiągać nie tylko rekordy, ale dobre wyniki. Kto wie, czy z tego uwielbienia fizycznej sprawności, która istotnie osiąga swój szczyt między 20 a 27 rokiem życia, nie płynie tendencja uwielbienia młodości?

Młodzież w Anglii jest dzisiaj potęgą, chociaż nie uświadamia sobie swojej siły i nie wiadomo czego chce i dokąd zdąży. Potrafiła ona w dużej mierze narzucić swoje gusty pokoleniu starszemu, które słucha w skupieniu muzyki i piosenek rozmaitych grup śpiewających i protestuje bardzo słabo przeciwko ten-

dencji, którą można by nazwać nagrawaniem się z wszelkiej sztuki i wszelkiego smaku. Społeczeństwo angielskie godzi się pocichu z tą supremacją młodości, a dynamika tego narodu wyraża się dzisiaj częściej w zamorskich eskapadach Beatlesów, czy w sukcesach 17-letniej modelki „Twiggy“, w U. S. A., aniżeli w poczynaniach starszego społeczeństwa. Ta młodzież i to często cockneyskiego pochodzenia, ma sporo siły przebojowej i kieruje swoje kroki tam, gdzie kult młodości przybrał jeszcze jaskrawsze formy, a zatem do Ameryki. Ta młodzież przysparza dzisiaj skarbowi angielskiemu spore sumy w dolarach i jest dla W. Brytanii pożądanym eksportem nie artystycznym, ale finansowym.

Byłoby niesprawiedliwością osądzać te wszystkie ruchy beatnikowskie oraz hippies, kluby w San Francisco i gdzieindziej jako zjawiska całkowicie negatywne. Przeciwnie, w Ameryce uważa się te bunty młodzieży za zrozumiwały odruch wymierzony w nadmierne zmaterializowanie życia i kult pieniądza. Te na pół mistyczne zebrania i wiece, te poszukiwania prawdy w oparach narkotyków, dowodzą, że człowiek nie potrafi żyć bez tęsknot wyższego niejako rzędu i że to co jest równowagą i bezpieczeństwem społecznym — jeszcze nie wystarcza. Państwo piekuńcze, które troszczy się o obywatela od kołyski aż do grobu, czyli jak dowcipnie mówi powiedzenie angielskie „From the Maker to the Undertaker“, staje się coraz bardziej nudne i szablonowe, zbiurokratyzowane i zbyt bezpieczne, nie zostawiając młodzieży wentyla i upustu dla żądzy przygody. I znowu w Angli, pozbawionej oddechu imperium, ten bunt młodzieży przejawia się w dziwacznych fryzurach, niesamowitych ubraniach i wszelkich dziwactwach, które za czasów Kiplinga dlatego nie istniały, że młodość mogła się wyżyć w prawdziwej przygodzie w Indiach czy w Afryce. Jest to zatem bunt zahamowanych energii, szukających ujścia.

Rosnące bogactwo społeczeństw nie rozwiązuje jeszcze całego szere-

MŁODOŚCI

B.D.J.C

gu problemów i nie przynosi tego szczęścia, które sobie obiecywały dawne pokolenia. Zasada, że dostatek załatwia wszystko i że źródłem nieszczęść człowieka jest niezamężność nie wytrzymały próby. W społeczeństwach bogatych jest więcej neurasteników i obłąkanych niż w społeczeństwach biednych, zbrodnia nie została wyeliminowana, przeciwnie, raczej ma tendencję do wzrostu i przybiera formy bardziej wyrafinowane niż dawniej. Choroby nerwowe nie oszczędzają i młodzieży, która szuka pociechy i odpowiedzi na dylematy życiowe w takich narkotykach jak LSD.

Ten kult młodości — pomimo tego, że młodzież dzisiejsza daleka jest od niefrasobliwej pogody — łączy się z kultem ciała. Ten drugi kult również zawędrował chyba z Ameryki i ma za sobą długą historię. Sztuka filmowa oswoiła nas z urodą kobiecą, od której wymaga się nie tylko pięknej twarzy, jak to było za czasów kiedy długie suknie ukrywały niedobory figury, ale i pięknego ciała. Z Ameryki przyszedł ten kult pięknego ciała kobiecego i nie można się temu dziwić, gdyż to wielorasowe społeczeństwo wyhodowało tysiące pięknych dziewcząt, a stanowisko kobiety w Ameryce jest niesłychanie wysokie. Niejeden twierdzi, że Ameryką rządzi matriarchat, a ideałem każdego prawie amerykańskiego mężczyzny jest ożenienie się z dziewczyną, która by najbardziej przypominała jego matkę. Amerykanie są przypuszczalnie największym rezerwuarem pantoflarzy na świecie. Wynika to zresztą z prostego faktu, że mężczyzna jest zagoniony i przemęczony walką o zdobycie dolara, natomiast kobieta ma o wiele więcej czasu na kształcenie się i dbanie o siebie. Zabiegi kosmetyczne i pielęgnacja są hasłem kobiety amerykańskiej, która góruje nad wszystkimi kobietami świata tą właśnie dbałością o strój i wygląd i opiera się najlepiej złowrogiemu postępowi czasu.

Kraje skandynawskie wniosły w naszą erę nowe pogaństwo i nowy kult nagości. Filmy szwedzkie sta-

nowią najodważniejszą awangardę tego kultu, ale nie można niczego pod tym względem zarzucić nowym filmom francuskim czy angielskim. Jest nawet rzeczą znamionną, że Ameryka, która wymyśliła kult ciała, jest najbardziej purytańska w operowaniu motywem integralnej nagości.

Dzisiaj nie ma już niemal prawie obrazu filmowego, który by nie przynosił śmiałych scen erotycznych, które wywołałyby krzyk oburzenia lat temu jeszcze piętnaście i bez pokawania pełnej nagości. Aktorki dobrane są dzisiaj pod specyficznym kątem widzenia — muszą one mieć piękną figurę, gracia, harmonia twarzy nie gra ani w części tej roli co w dobie Grety Garbo. Oswoiłszy się z nagością i pół-nagością dzięki przede wszystkim plażom, na których dzisiaj leżą miliony ciał, pragnących opalić się w najkrótszym czasie. Kult słońca i kąpeli morskiej, który 50 lat temu wyglądał mizernie, dzisiaj upowszechnił się na wszystkie warstwy społeczne. W pogoni za słońcem i ciepłym morzem ruszają rok w rok milionowe rzesze ludzkie z krajów pozbawionych słońca i ciepłej wody morskiej, a zatem ze Skandynawii i Europy północnej. Do Włoch przybywa co roku około 25 czy nawet 30 milionów turystów, do Hiszpanii — niemal 20. Cyfry odnoszące się do wybrzeży Francji, Jugosławii i Grecji są niższe, ale także idą w miliony. Przypuszczalnie w ciągu roku ta europejska wędrówka ludów ku słońcu południa wyraża się cyfrą 80 milionów.

Nie tylko plaża oswoiła nas z nagością, ale i film i reklama, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych i w Anglii. Dochodzi do tego, że poważne czasopismo młodzieży konserwatywnej pt. „Croobow“ zamieszcza na okładce jako wyraz nowych prądów wiejących wśród konserwatystów... rozebraną śliczną dziewczynę. Reklamy miast i uzdrowisk angielskich przeważnie operują nadobnymi postaciami dziewczęcymi, międzynarodowe konkursy piękności z wyborem królowej piękności świata (Miss World) na czele — odby-

wają się w bikini. Oczywiście, jaki skutek wywrze na zbiorowości ten kult — nie wiemy. Ale moralisci nie mają tutaj racji, albowiem nawał nagości nie wywołuje reakcji erotycznej, ale przeciwnie oswojenie przychodzi szybciej niżby się zdawało i spospolicenie nagości staje się coraz oczywistsze.

Można by mówić dzisiaj o nawrocie do pogaństwa w społeczeństwach krajów uprzemysłowionych i zamożnych. Inna sprawa, jaka jest treść tego pogaństwa: radosna czy smutna? Wielu socjologów badających dzisiejsze społeczeństwa zachodnie dochodzi do wniosku, że to pogaństwo XX wieku nie jest „radosną wiedzą“, jak o tym marzył niegdyś Nietzsche, ale przeżarte jest smutkiem a nawet rozpaczą. Człowiek nowoczesny czuje podświadomie, że nie rozwiązał jednego z najważniejszych pytań swojej doby, a zatem nie wykluczył wojny z programu historii. Grzyb atomowy zawisł nad całą ludzkością i brakuje nam poczucia stabilizacji stosunków, brakuje wiary w przyszłość naszego świata. Racjonalizacja umysłów ludzkich i wiara w naukę oraz jej nieomyślność, nie potrafiły zastąpić religii. Wielkie miasto, które coraz bardziej i szerzej rozciąga swoje macki, jest wylęgarnią chorób psychicznych i bezbrzeżnej samotności jednostki. Miasto rozlewa się coraz bardziej i zagarnia tereny dawniej puste, albo z rzadka zaludnione. Ludzie przenoszą swoje wielkomiejskie obyczaje na cichą dawniej wieś, która zmienia się na naszych oczach w zbiorowisko kamienic i pół-drapaczy chmur.

Wydaje się, że w kulcie młodości który zapanował jest wiele przesady i nieoceny wartości życia ludzkiego. Nawet najlepsze wykształcenie nie potrafi zastąpić doświadczenia i nie zmieni faktu, że człowiek dojrzeva bardzo powoli. Dopiero gdzieś koło 50. roku życia człowiek zyskuje jakie — takie panowanie nad życiem i zaczyna rozumieć podstawowe elementy tym życiem rządzące. Odsuwanie tych ludzi dojrzałych od warsztatów pracy czy ironiczne wysmiewanie ich jako ludzi drugiej klasy, to zabawa bardzo krótkowzroczna. Niezawsze na szczyty wychodzą jednostki typu Kenne-

(Dokończenie na str. 6)

dy'ego, który był najmłodszym prezydentem Stanów Zjednoczonych. W wielu karierach politycznych i innych widzimy jak luki w doświadczeniu i życiowej mądrości odbijają się niekorzystnie na tych, którzy podlegają dyktatowi ludzi młodych. Mania sukcesów, która idzie często w parze z kultem młodości zatruwa coraz bardziej społeczeństwa zachodnie, które coraz więcej przejmują się amerykańską żądzą powodzenia. Słusznie powiedziano, że największe „kariery“ w dziejach ludzkości wyglądały za życia różnych twórców religii, artystów, czy mężów stanu — za niepowodzenia. A jednak hasła podnoszone przez tych ludzi „nieudanych“ w sensie powodzenia ziemskiego — przetrwały wieki.

Byłaby wielka szkoda gdyby społeczeństwa zachodnie uległy nadmierne kultowi młodości i nie potrafiły wymierzyć sprawiedliwości ludziom wieku starszego, którzy wnoszą bogactwo doświadczeń, umiaru i cierpliwości w stosunki międzyludzkie. Na pewno cieszyć się należy z faktu, że młodzież ma dzisiaj świat bardziej otwarty niż kiedykolwiek przed tym i że może nawiązywać kontakty o tyleż łatwiej niż przed wojną. Jeżeli przyniesie to zwiększenie porozumienia między narodami to tylko można temu przyklasnąć. Ale przywileje młodzieży nie powinny odbijać się ujemnie na losach ludzi starszych i na poszanowaniu wieku dojrzałego.

Zbigniew Grabowski

Wzmacniające nerwy i oczyszczające krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID
FRANCJA
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

MYLNE DIAGNOZY

PRZECZYTANIE Mieroszewskiego „Ewolucjonizm“ i „Neurozy polityczne“ jest pożyteczne z dwójki punktu widzenia: 1) Żywa jego inteligencja porusza wiele istotnych dla przyszłości Polski zagadnień i pobudza do myślenia. Irytuje, co prawda, jednocześnie nieraz mętnością ekspozycji i sprzecznościami konstruowanych koncepcji. W tym też tylko sensie Mieroszewski może się chętnie, że przewidział wszystkie ewentualności. 2) Wśród wielu niesłusznych zarzutów pod adresem emigracji politycznej, znajdują się i uzasadnione. Nie wszyscy emigranci starszego pokolenia zdają sobie sprawę, że niezmiennie walczymy o wolność i niepodległość Polski, lecz jej ustrój polityczny i społeczny, granice państwowe i miejsce w układzie stosunków międzynarodowych, będą się znacznie różniły od stanu przedwojennego. Musimy więc walczyć nie o Polskę która była, lecz o wolną i niepodległą Polskę przyszłości. I do tego przystosować nasze myślenie i wysiłki.

Dla ilustracji, jak mętne mogą być wywody Mieroszewskiego, wystarczy przytoczyć ustęp z „Ewolucjonizmu“ (str. 54): „Nawet po zwycięskiej wojnie utworzony przy poparciu Amerykanów rząd rosyjski ogłosiłby nazajutrz deklarację o nienaruszalności granic 1939 r.“ Nie wiadomo zupełnie, kto kogo zwyciężył i jaki rząd rosyjski mógłby stanąć na gruncie „nienaruszalności granic 1939 r.“, co zresztą przekracza granice nawet bujnej wyobraźni. Zupełna zagadka.

Jako przykład sprzeczności można podać, że różnice w łonie K.C. Kom. P. Zw. R. — zdaniem Mieroszewskiego — pchają kierownictwo do dyktatury dla utrzymania tych rozbieżności w korbach. Nie przeszkadza to Mieroszewskiemu twierdzić na innym miejscu, że wieloświatopoglądowość w łonie systemu monopartyjnego może mu zapewnić względnie demokratyczne funkcjonowanie.

Zupełną akrobatyką intelektualną jest zalecenie społeczeństwu polskiemu poparcia rządów Gomułki

dla stworzenia podstaw dla polityki uniezależnienia się od Rosji, na wzór rumuński. Wprawdzie Gomułka jest do tego niezdolny — twierdzi Mieroszewski — ale pod presją będzie musiał uczynić pierwsze kroki w tym kierunku, a następująca na tym tle opozycja zmusi go w końcu do ustąpienia. Gomułka miał w r. 1956 maksimum możliwego poparcia społeczeństwa dla polityki uniezależnienia się od Sowietów. Sprawę tę miał do rozegrania i sromotnie przegrał, niedwuznacznie wybierając zależność od Związku Sowieckiego kosztem utraty poparcia w Polsce. Dziś wisi jak pajac nad przepaścią politycznej nicości, na sznurze poparcia Moskwy, trudno więc przypuścić, by ten sznur przepiłowywał walcząc o uniezależnienie. Zalecenie Mieroszewskiego, że trzeba Gomułkę poprzeć — aby się go pozbyć — jest sprzecznym ze zdrowym rozsądkiem absurdem.

Mieroszewski jest przekonany, że ustrój komunistyczny zdolny jest drogą ewolucji przekształcić się w demokrację. Jest to twierdzenie bez pokrycia w faktach. Można, choć sceptycznie, dopuszczać możliwość dojścia do władzy partii komunistycznej (np. w Europie Zachodniej) w drodze legalnej czyli demokratycznej. Można, choć z trudem, wyobrazić sobie, że mogłyby tamże, po zdobyciu władzy, nie przypomnieć sobie o dyktaturze proletariatu i o systemie monopartyjnym. Ale nawet to nie udowodnia, że istniejący totalny ustrój komunistyczny może ewoluować ku demokracji, a zwłaszcza ją zrealizować. To nie wyklucza nacisków dla osiągnięcia jego liberalizacji, gdy tylko to jest możliwe. To go osłabia. Ale na emigracji — gdzie nie ma przymusu, nie uzasadnia jego akceptacji, bo to go wzmacnia.

Mieroszewski niesłusznie lekceważy ideologię i — jak ewolucjoniście nie przystoi, skostniał w koncepcji suwerennej narodowej racji stanu, której ideologia ma służyć. Obie muszą sobie służyć wzajemnie. Państwowa racja stanu musi chronić wyrażające się w ideologii wartości

i MĘTNE PROGNOZY

duchowe narodu. One z kolei są tchnieniem życia w państwową rację stanu, spajającym ją cementem, którego wykruszenie — jak uczy doświadczenie, powoduje rozkład nawet potężnych organizacji państwowych.

Ewolucjonista Mieroszewski nie uwzględnił faktu, że zarówno suwerenność jak i racja stanu zmierzają ku formom ponadnarodowym. Proces ten jest trudny zarówno dla narodów o wielowiekowej własnej tradycji państwowej, jak i dla narodów, które z tych czy innych powodów nie korzystały z niepodległości w okresie rozkwitu suwerennych państw narodowych. Aby proces ten ułatwić, wytworzone są nadbudowy w różnych dziedzinach, które by wyprzedzały, a następnie torowały drogę zrastaniu ustrojowemu państw narodowych. Na przykładzie E.W.G. widzimy, że integracja gospodarcza, mimo trudności, jest łatwiejsza od politycznej i wyprzedza ją. Mówi się o wspólnym potencjale technologicznym, czyni się wysiłki dla zacieśnienia ponadnarodowych więzów kulturalnych. Nie można więc zbywać jako nieistotną wspólnotę ideologiczną. Może ona czasem lepiej niż gospodarka czy technologia zachęcić narody do tworzenia wspólnych form ustrojowych bez zatracenia w nich swej osobowości. Zwłaszcza dla Polski, reprezentującej na wschodzie ideologię wolnościową, demokratyczną i postępową — stanowi to siłę atrakcyjną wobec naszych bezpośrednich wschodnich sąsiadów, których długotrwałe współżycie z nami uczyniło wspólnie z nami chłonnymi na te wartości.

Mieliśmy w tej dziedzinie braki i niepowodzenia, lecz na ogół niepomniernie lepiej reprezentujemy te wartości na tle wschodniej polityki niemieckiej oraz polityki wschodu rosyjskiego.

Najcięższym zarzutem wobec postawy Mieroszewskiego jest jego globalny defetyzm. Wykazując polskie przewinienia na polu zbliżenia polsko-rosyjskiego, zupełnie przemilcza decydującą odpowiedzialność za niepowodzenia, obarczającą niewątpli-

wie imperializm rosyjski i pozostającą na jego usługach politykę niezbyt mądrej (carskiej) i mądrzejszej (obecnej) rusyfikacji narodu polskiego. Dawniej chodziło o zewnętrzne przejawy, dziś o rusyfikację ducha polskiego poprzez ideologiczną wasalizację Polski.

Jeszcze większym absurdem jest laboratoryjne rozpatrywanie naszej przeszłości historycznej w oderwaniu od panujących wówczas warunków. W czasie rozbiorów trzeba było zamiast bronić się przeciw Rosji i uchylać Konstytucję 3 Maja — oddać się pod opiekę Najjaśniejszej Imperatorowej... i modernizować gospodarkę. Mieroszewski („Neurozy polityczne“ str. 75), zajmuje tu stanowisko całkowicie zgodne z Targowicą. „Wszystkie insurekcje zawiodły, bo nie byliśmy zdolni do niepodległości, ani społecznie ani gospodarczo“ — jest twierdzeniem jaskrawo przesadnym i jednostronnym. Jak się przedstawiał ówczesny rozwój społeczny zwycięskiej Rosji, który w dalszych etapach nie uległ decydującej poprawie. Rosja carska zahamowała postęp społeczny i u siebie i na całym obszarze zaboru rosyjskiego, powodując w końcowym rezultacie jej zupełne na tym tle bankructwo i abdykację na rzecz Sowietów.

Oskarżenie Mieroszewskiego, że walki o niepodległość nie łączyły się z „roską o sprawiedliwość społeczną, jest tak brutalnie niesprawiedliwe i nieuzasadnione, że dowodzi bądź zdumiewającej ignorancji, bądź zaślepienia sądu przez uprzedzenia. Mieroszewski zajmuje konsekwentne stanowisko „right or wrong — my country is always wrong“. Ten brak zrozumienia dla gatunkowej wagi Polski i niezdolność do odczuwania jej pełnej osobowości — uczyniłoby z zalecanego przez Mieroszewskiego trwałego podporządkowania się Moskwie, operację zmierzającą do ewoluowania ku nicości, gdyby ją szerokie rzesze Polaków uznały za swe credo polityczne. Spełnienie marzeń imperializmu rosyjskiego o roztopieniu się ostatniego strumienia słowiańskiego — Polski — w morzu

rosyjskim — byłoby bliskie urzeczywistnienia. Z tego rodzaju postawą — niezależnie od poważnych nawet zarzutów — które można kierować pod adresem naszej teraźniejszości czy przeszłości — polski obóz niepodległościowy nic nie łączy.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

TOM 151 — SERIA
„ARCHIWUM REWOLUCJI“

ALEKSANDER
WEISSBERG-CYBULSKI

WIELKA CZYSTKA

Przekład
ADAMA CIOLKOSZA

Ze wstępem
GUSTAWA
HERLINGA-GRUDZIŃSKIEGO

Wstrząsający dokument
z okresu stalinizmu.

Cena sh. 50/-, F 30, dol.6,50

BIBLIOTEKA „KULTURY“

„Zeszyty Historyczne“
ZESZYT DWUNASTY

Lipiec 1967

zawiera m.in. prace:

P. Wandyczka: Z zagadnień współpracy polsko-ukraińskiej w latach 1919—1920.

T. Nowackiego: Ludowe Wojsko Polskie (dok.).

Z. S. Siemiaszki: Rettinger w Polsce w 1944 r.

M. Młotka: Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich (dok.).

J. Jankicza: 17 września 1939 r. w Sztapie Naczelnego Wodza.

Str. 240. Cena: dol. 3,00, 25sh.

PODSTAWĄ ISTNIENIA PISMA
JEST REGULARNIE OPŁACANA
PRENUMERATA

W KORESPONDENCJI do dwutygodnika Związku Zawodowego Włóknarzy „Nasze Życie“ (nr z 30. 11. 1967) Władysława Rameczykowska donosi zachwycona:

„Sprawa niewłaściwego podziału funduszu zakładowego w Gdańskich Zakładach Futrzarskich była ostatnio przedmiotem badań specjalnej komisji, powołanej przez komitet dzielnicowy PZPR...

„...komisja potwierdziła prawdziwość zarzutów wysuwanych przez załogę przedsiębiorstwa. W związku z tym komitet podjął odpowiednie wnioski zmierzające do uzdrowienia istniejącej sytuacji. Posypały się kary partyjne i administracyjne. Ze stanowisk społecznych odeszli członkowie prezydium rady robotniczej. Ze stanowiska odwołany został także dyrektor zakładu...

„Sprawiedliwości stało się zadość“.

Otóż właśnie, że nie. Nie ma żadnego powodu do radości ze sposobu załatwienia tej sprawy. Przede wszystkim nie ma do niej powodu 500-osobowa załoga Zakładu Futrzarskiego.

Naturalnie, autorka korespondencji zamieszczonej przez „Nasze Życie“ nie ujawniła całej prawdy. Sytuację nasświetliła tendencyjnie. Podkreśliła przy tym rzekomą czujność społeczną organizacji partyjnej. Przemilczała natomiast nazwiska winnych, którzy — jak sama przyznała — dzielili fundusz zakładowy według kumoterskiej zasady: „Ja tobie, ty mnie“.

FAŁSZYWE STANOWISKO ZWIĄZKU ZAWODOWEGO

Co gorzej, pismo związku zawodowego uznało to wyjaśnienie za wystarczające. Nie dostrzegło, nie raczyło czy nie miało odwagi dostrzec, że interwencja komisji partyjnej w Zakładach Futrzarskich była sprzeczna z postanowieniami przepisów o dzieleniu funduszu zakładowego. A przecież pismo i ogniwa organizacyjne Związku Włóknarzy po-

Józef Garliński

„DRAMAT I OPATRZNOŚĆ“ 18/6
„MATKI I ŻONY“ 18/6

„MIĘDZY LONDYNEM
I WARSZAWĄ“ 18/6

Trzy książki, które w beletrystycznej formie wprowadzają czytelnika w atmosferę walki, zaskakujących osiągnięć i wielkiego zasięgu Armii Krajowej.

„ZIEMIA“ — opowieść 12/6

Skład główny:
GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.
20, Queens Gate Terrace,
London, S.W.7.
i wszystkie kioski i księgarnie
polskie

TADEUSZ PODGÓRSKI

SPRAWY I SPRAWKI

winni wiedzieć i pamiętać, że sprawy funduszu zakładowego nie wchodzą w zakres kompetencji władz partyjnych, bo jest to fundusz, który stanowi wyłączną własność załogi i powinien być dzielony przez samorząd robotniczy.

W Gdańsku — i nie tylko w Gdańsku, bo tego rodzaju spraw jest w Polsce na kopy — dopuszczono jednak do nielegalnej interwencji komisji partyjnej, a wcześniej pozwolono na nielegalny podział tego funduszu przez dyrektora zakładu, działającego w przestępczej zмовie z sekretarzem komitetu zakładowego PZPR.

Ale to jeszcze nie wszystko.

Znamienne jest, że informacje prasy związkowej o tym skandalu nie bardzo się pokrywają. Np. dziennik Centralnej Rady Związków Zawodowych, „Głos Pracy“, w n-rze z dnia 9. 11. 1967 ujawnił niechęć, że głównym winowajcą w naruszeniu uprawnień samorządowych Gdańskich Zakładów Futrzarskich było — Zjednoczenie Przemysłu Futrzarskiego w Łodzi, a ściślej biorąc jego dwaj dyrektorzy Działowski i Bruski. Oni to zalecili podległej im dyrekcji w Gdańsku, aby odebrała załozdze większość wypracowanego przez nią funduszu premiowego. Zamiast nagród dla pracowników postanowiono obdzielić premiami dyrekcję i jej totum-fackich z tzw. przedstawicielstwa załogi oraz urządzić luksusowe mieszkanie jednego z „towarzyszy“ dyrektorów.

JESZCZE INNA WERSJA

Inaczej spojrzal na sprawę katowicki dwutygodnik „Rada Robotnicza“. Czytamy tam: „Kierownictwo Gdańskich Zakładów Futrzarskich w osobach naczelnego dyrektora, głównego księgowego, sekretarza organizacji partyjnej oraz przewodniczących rady robotniczej i rady zakładowej „wyręczyło“ samorząd robotniczy dokonując podziału funduszu zakładowego, w wyniku czego przeważająca część załogi otrzymała zbyt niskie nagrody, a kierownicy kolektyw, wraz ze swymi poplecznikami — zbyt wysokie“.

Trzeba tu dodać, że kierownictwo zakładu otrzymało nagrody dziesięciokrotnie wyższe niż to wynikało z obowiązującej w regulaminie punktacji. Inicjatorem tak niesprawiedliwego podziału był naczelnny dyrektor przedsiębiorstwa, którego nazwisko prasa związkowa starannie ukrywa. Znacznej części załogi nie wzięto w ogóle pod uwagę przy podziale funduszu pod różnymi

pretekstami natury formalnej, chociaż nie ulega kwestii, że w systemie prawdziwie demokratycznym prawo do rocznej premii powinien mieć każdy pracownik proporcjonalnie do wkładu swej pracy (w najprostszy sposób mierzonej wysokością rocznego zarobku). Aż 30-tu pracowników zakładów pozbawiono premii bez wskazania podstawy pominięcia. Kilku dalszych skreślono z listy nagrodzonych już po jej ogłoszeniu. W każdym wypadku — jak się przyznaje po niewczasie — „decydowało widzi mi się dyrektora“.

DRWINY Z ROBOTNICZEJ PRAWORZĄDNOŚCI

Jak nie trudno ustalić, winnym w tej sprawie był nie tylko dyrektor zakładów, aktywista PZPR. Zawinił — i to grubo — sekretarz zakładowej organizacji partyjnej. Zawinił również ślepo ulegli dyrektorowi przewodniczący rady robotniczej (reprezentującej samorząd zakładowy) oraz przewodniczący rady zakładowej (stanowiącej przedstawicielstwo ruchu zawodowego).

Wszyscy winowajcy — jak podaje samorządowe pismo katolickie — chciały także nie wymienia ich z nazwiska — zostali odwołani z zajmowanych stanowisk. Brak jednak wyjaśnienia przez kogo, bo dyrekcję miała prawo odwołać administracja gospodarcza, lecz ocenę postępowania tzw. przedstawicielstwa społecznego winna przeprowadzić załoga.

Wiemy, że było inaczej. W obu wypadkach — jak ujawniła korespondentka dwutygodnika włóknarzy — decydowała brew założeniom prawa formalnego specjalna komisja partyjna.

Partia miała prawo karanania, lecz tylko swych członków. Powinna to była uczynić natychmiast, gdy tylko ujawniono nadużycia. Wiemy jednak, że czekała z tym około pięciu miesięcy. Dlaczego? Czyżby na karanie zdecydowano się dopiero wówczas, gdy oburzenie pokrzywdzonej załogi odbiło się na wynikach produkcji?

Lecz jak już zaznaczyłem, wyciągnięcie konsekwencji w stosunku do przedstawicieli samorządu zakładowego należało do załogi i tylko do załogi. Fakt powołania specjalnej komisji partyjnej, interweniującej w wewnętrzne sprawy przedsiębiorstwa, przeczy w oczywisty sposób jakimkolwiek zasadom praworządności, o której komuniści stale deklamują, lecz dla której nie mają ani krzty poszanowania. Widzimy z tego

TOWARZYSZY DYREKTORÓW

również, że tak zwane samorządowe uprawnienia załóg fabrycznych wywalczona w październiku 1956 roku są dziś tylko pozorne i praktycznego znaczenia nie posiadają. W rzeczywistości aparat partyjny rozciąga nad samorządem robotniczym surową kuratelę i w podobny sposób, choć najczęściej z innego szczebla kontroluje administrację gospodarczą.

BEZSILNOŚĆ ZAŁÓG

Stwierdzenie tego faktu jest jednocześnie wyjaśnieniem dlaczego pokrzywdzona załoga zakładów w Gdańsku była całkowicie bezsilna wobec samowoli partyjnego dyrektora, działającego w przestępczej zмовie z sekretarzem organizacji partyjnej. Postępowanie tych osobników daje jednocześnie świadectwo lekceważącego stosunku partii do załóg robotniczych i ich rzekomego samorządu.

Nadużycia w Zakładach Futrzarskich w Gdańsku nie stanowią zresztą odosobnionego wypadku. Są raczej potwierdzeniem reguły. Nadużycia tego rodzaju — okradanie przez kierownictwo załóg z premii — stały się tak powszechne, że nawet w zbiurokratyzowanych związkach zawodowych podnoszą się głosy ostrzeżenia. Np. specjalne badanie przeprowadzone w zeszłym roku w przedsiębiorstwach kontrolowanych przez Zw. Zawodowy Pracowników Budownictwa dały wynik wprost zatrważający. Ujawniły mianowicie, że w większości zakładów tego typu „samorządy nie kierują się przy podziale funduszu zakładowego względami sprawiedliwości społecznej“. Prawie z reguły „premie dyrektorów, kierowników i górnego aktywu przedsiębiorstw wynoszą 100% ich miesięcznego uposażenia, podczas gdy zwykli członkowie załogi otrzymują po 30% do 40%.

Wiadomo również, że „w wielu zakładach nie przestrzega się postanowienia o jawności podziału funduszu zakładowego“. Potwierdza to słuszność zarzutów robotniczych, że „dyrekcje mają hojną rękę przy fundowaniu premii kierownictwu“, gdy robotników, którzy fundusz wypracowali obdzielają nim niezmiernie skąpo.

Taka jest miara praktyki i teorii o

samorządzie robotniczym i jego uprawnieniach w ustroju komunistycznym.

INNE FORMY NADUŻYĆ FUNDUSZU ZAKŁADOWEGO

Są również inne metody odbierania załogom premii z funduszu zakładowego na cele niezgodne z jego przeznaczeniem. Partyjna katowicka „Trybuna Robotnicza“ omawiała niedawno przykładowe wypadki nadużywania tego funduszu na przyjęcia wydawane przez dyrekcje zakładów. Zamiast na premie dla robotników znaczna część funduszu szła na wódkę, koniaki i bażanty dla „towarzyszy“ z kierownictwa i „górnego“ aktywu.

Charakterystyczne jest przy tym, że nawet w wypadku ujawnienia tego rodzaju nadużyć, nazwiska winowajców zachowane są w ścisłej tajemnicy. Partia karze ich tylko naganami, które są szybko zacierane i o których szeroki ogół nie wie. Oznacza to, że w praktyce patrzy się przez palce na uprawianie tego procederu, krzywdzącego szeroki ogół ludzi pracy. Co najmniej, gdy skandal jest zbyt wielki i głośny, idzie w ruch tzw. „karuzela kadrowa“. Skompromitowani „towarzysze“ dyrektorzy lub kierownicy wędrują wówczas z jednego zakładu do drugiego, oczywiście, na stanowiska równorzędne, bo te mają zagwarantowane z tytułu różnych „zasług“ partyjnych.

Właśnie dlatego nie publikuje się ich nazwisk w prasie, aby nie szkodzić im na nowym miejscu pracy i „działalności“. Idzie po prostu o to, aby załogi nie wiedziały jakich to „dobrodziejów“ nasyła im partia.

Tak było w zeszłym roku w Zakładach Akumulatorowych w Piastowie pod Warszawą, w wielkich Zakładach Przemysłu Gumowego w Dębicy, na kilku wydziałach Fabryki Samochodów Ciężarowych w Starachowicach, w Miejskim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym w Skarżysku-Kamiennej, żeby wspomnieć tylko parę najgłośniejszych skandali.

Nawet w poznańskich Zakładach Cegielskiego tajemnicze odejście wieloletniego dyrektora, inż. Kostuja, odbyło się z wielką dyskrecją, bez żadnego pożegnania i jakiegokolwiek wyjaśnienia załodze przyczyn tej zmiany. Słowem tajemnica partyjno-państwowa najwyższego rzędu.

POŻĄDANA INNA SPRAWIEDLIWOŚĆ

Nie miała więc racji Władysława Rameczykowska pisząc, że w Gdańskich

Zakładach Futrzarskich „sprawiedliwość stało się zadość“. Odejście dyrektora i zmiana sekretarza w Komitecie Zakładowym partii oraz zmiany personalne w radzie zakładowej i robotniczej — to jeszcze nie wszystko. Winnych kumoterckiego zawłaszczenia funduszu zakładowego, należącego do całej załogi, trzeba było pociągnąć do odpowiedzialności karnej. Tak samo jak stawia się przed sądem robotników podejmujących próby przywłaszczenia mienia fabrycznego. Dopiero takie postawienie sprawy może się przyczynić do rzeczywistego ukroczenia samowoli partyjnych dyrektorów i partyjnych kontrolerów zakładowej praworządności.

Słuszna jest uwaga katowickiej „Radę Robotniczej“, że najistotniejszym czynnikiem fabrycznej praworządności powinna być „czujność całych załóg... i konsekwentne rozliczanie administracji“. To prawda. Nie wystarczy jednak o tym pisać. Ważniejsze jest, aby te zasady wprowadzić w czyn. Niestety, nie pozwala na to partyjna kuratela nad załogami i ich samorządem fabrycznym. Dlatego właśnie pełni się po przedsiębiorstwach rzekomo uspołecznionych, a faktycznie przejętych przez użytkowników władzy komunistycznej przywilej nietykalności partyjnych dyrektorów i sekretarzy zakładowej organizacji PZPR „rekomendowanych“ na te stanowiska przez władze centralne.

UKAZAŁ SIĘ

KALENDARZYK KOMBATANTA

na rok
1968

★

najtańszy i najpraktyczniejszy
podarek świąteczny dla każdego

zawiera kilkaset adresów
organizacyj oraz instytucyj
polskich w świecie

CENA 6/6

OGŁOSZENIE ZAMIESZCZONE W „ORLE BIAŁYM“
CZYTAJĄ POLACY
W 25 KRAJACH ŚWIATA

Prosimy uprzejmie Prenumeratorów „Orla Białego“ o adresowanie czeków i P.O. tylko na:

GRYF PUBLICATIONS Ltd.

WPROWADZENIE w Polsce, z początkiem 1966 r. reformy gospodarczej odbyło się według określenia ekonomistów polskich, przy zachowaniu „ostrożnego entuzjazmu.“ Reforma nie jest, jak to wielu obserwatorów zachodnich usiłowało tłumaczyć, kopia profesora Libermana z Charkowa, który we wrześniu 1962 r., odważył się ogłosić w Prawdzie moskiewskiej swoją nową teorię p.t. „Plan, zyski i premie“. O podobne zmiany walczyli polscy ekonomiści-pragmatycy już od 1950 r., czyli o dwanaście lat wcześniej, natrafiając stale na opór ortodoksyjnych zwolenników centralnego planowania. Można by przeto równie przyjąć, że Liberman oparł swoją teorię na wzorach ekonomistów polskich.

Reformę w Polsce zapoczątkowały dwie uchwały rady ministrów z 29 lipca 1964 r.: „W sprawie postępu ekonomicznego w gospodarce uspołecznionej i organizacji służb ekonomicznych“ oraz „W sprawie środków zmierzających do przeciwdziałania wadliwej produkcji i kierowania do obrotu wyrobów złej jakości.“ Tu należy stwierdzić, że druga uchwała, po raz pierwszy, nie zawierała sankcji karnych.

Dalsze zasady zamierzonej reformy uchwaliło 4. plenum K.C. w lipcu 1965 r., oraz rada ministrów z 28 października tego roku „W sprawie gospodarki zjednoczeń przemysłowych i zgrupowanych w nich państwowych przedsiębiorstw objętych planowaniem centralnym“, które zajęły 24 strony Monitora Polskiego.

Wreszcie, w sierpniu 1966 roku, przewodniczący komisji planowania przy radzie ministrów wydał zarządzenie „W sprawie zasad ustalania wskaźników rentowności“, zaś w grudniu 1966 roku rada ministrów uchwaliła „zasady organizacji i funkcjonowania zjednoczeń przemysłowych“. (11 stron Monitora Polskiego).

Fundamentalnym założeniem, podkreślanym we wszystkich uchwałach jest rentowność przedsiębiorstw państwowych, nazwana popularnie „motywy zysku“. Zysk, według nowych zasad ma być wynikiem nie ilości towarów wyprodukowanych, lecz sprzedanych, co ma zmusić producentów do śledze-

JAN ADAMSKI

WĄTPLIWE WYNIKI

nia ruchów na rynku i zadowolenia konsumentów.

Trzeba przyznać, że teoretycznie, nowe zasady zostały opracowane wyczerpująco. Zachodzi pytanie, czy i w praktyce osiągnięto zamierzone wyniki.

PO DWÓCH LATACH

Czy zatem reforma, wprowadzona w Polsce dwa lata temu, dała gospodarce narodowej wyniki, jakich się partia spodziewała? Czy zasada produkcji jakościowej zajęła miejsce produkcji ilościowej i czy z rynku polskiego znikły „buble“, a ich miejsce zajęły towary o wysokiej jakości, na które polski konsument czeka już od wielu lat?

Na to pytanie nie odpowiedział dotychczas główny planista Jędrzychowski, gdy referował plan gospodarczy na rok 1968, czyli na trzeci rok bieżącego narodowego planu gospodarczego. Wyjaśnił je natomiast „Komentarz“ w „Życiu Gospodarczym“ z 12 listopada ub. roku, napisany przez naczelnego redaktora tego pisma, znanego ekonomistę-pragmatyka Jana Głowczyka, dzięki któremu tygodnik w ostatnich latach zdobył posiadany dzisiaj standard pisma ekonomicznego, cytowanego przez ekonomistów zachodnich.

Jak wynika z treści „Komentarza“, producenci tylko z trudem i opóźnieniem dostosowują się do potrzeb odbiorców. Dotkliwe braki poszukiwanych towarów i płynące stąd zakłócenie równowagi rynku są, jak mówi autor, tym bardziej paradoksalne, że nie zmieniły sytuacji na rynku w okresie pomyślnej, ogólnej sytuacji gospodarczej.

Ale autor poszedł jeszcze dalej, stwierdzając, że wbrew oczekiwaniom, nie możemy odnotować ani wielkich sukcesów w wydajności pracy, ani wzmożonego dopływu na rynek produktów o wyższych walorach technicznych. W wędrownkach po sklepach, klienci przekonują się naocznie, że pewna część towarów nie tylko nie ma nic wspólnego z estetyką, modą, czy też z funkcjo-

nalną i niezawodną konstrukcją wystawionych na sprzedaż przedmiotów, ale wyraźnie kompromituje swych producentów rażącymi, elementarnymi błędami kroju, szycia, obróbki i montażu, niezależnie od tego, że wykonana została z niewłaściwych materiałów. A co gorsze, że towary te pochodzą z fabryk, które uchodzą za renomowane firmy. Postęp asortymentowy nie nadąża za wzrostem społecznych wymagań.

Autor, posługując się cyframi z „Rocznika Statystycznego“ zwraca uwagę, że w ciągu ostatnich 10 lat, mimo wzrastającego zaopatrzenia rynku w artykuły nieżywnościowe, struktura ich nabywania bynajmniej się nie zwiększa, ale w niektórych wypadkach nawet maleje. Za zahamowanie obwinia się producentów, nie stosujących się do nowych zasad, zawartych w reformie gospodarczej, chociaż po dwóch latach powinni wiedzieć, że odcinkowe zakłócenia rynkowe mają wpływ na zakłócenie równowagi globalnej. A wydawało się, że nowe inwestycje, które pochłonęły miliardy złotych, wpłyną na zmianę. Niestety, zawiedli i producenci, jak również i dystrybucja nie uległa polepszeniu.

Producenci, mówi autor, okazują brak znajomości potrzeb rynkowych i skutków, jakie ich obojętność wywiera na gospodarkę narodową. Zwraca uwagę na zmiany, jakie zaszły w ostatnich latach w strukturze socjalnej społeczeństwa. Względna zasobność wzrastającej części społeczeństwa daje się odczuwać na rynku, gdzie odbiorcy poszukują towarów o dobrej jakości. Minęły czasy, gdy konsument musiał zadowolić się artykułami, jakie mu narzucał przemysł państwowy, ponieważ innych na rynku nie było. A nacisk odbiorców rośnie w sposób zdecydowany. Jeśli nie znajdą towarów odpowiadających ich wymaganiom, wtedy zaopatrują się albo poza handlem uspołecznionym albo kupują towary importowane.

Ale przemysł nie zwraca na to wszystko uwagi, nie nadąża za prze-

REFORMY GOSPODARCZEJ B.D.I.C

mianami, żyje w przeszłości i ignoruje siłę rządzącego na wszystkich rynkach świata prawa podaży i popytu, uparcie trzyma się starych zasad. Jest ślepy na wzrastającą stopę życiową ludności, a wymagania odbiorców określa jako fumi, efemerydy i nieprzystojne zachcianki. Toteż, mówi autor, nastawienie producentów musi ulec szybkiej i radykalnej zmianie, a 25 miliardów złotych, które w latach 1966 i 1967 poszły na nowe inwestycje przemysłowe, należało użyć wyłącznie tylko na ulepszenia produkcji i unowocześnienie technologii tak, by producenci dostarczyli na rynek asortymenty nowe i towary wysokiej jakości.

GŁOSY PISM PARTYJNYCH

W tym samym czasie, gdy kompetentny ekonomista przedstawił prawdziwe źródło, odpowiedzialne za zaburzenia rynkowe, prasa partyjna, jak zwykle, doszukuje się tych przyczyn w nadużyciach, popełnianych w samych przedsiębiorstwach. I tak radio warszawskie zacytowało w dniu 13 listopada ub. r. „Gazetę Krakowską“, która, pisząc o problemie nadużyć i ochrony mienia społecznego w zakładach pracy, stwierdza, że głównym powodem wypuszczania na rynek „bubli“ jest powierzchowna kontrola wewnątrz samych przedsiębiorstw. Według pisma, szczególnie sprzyjające warunki do popełniania nadużyć istnieją w tych zakładach, w których działalność administracji fabryki nastawiona jest nadal na wykonanie planu ilościowego, z pominięciem nowych zasad produkcji dobrej jakości. Artykuł obwinia kontrolę techniczną, która legalizuje te nadużycia, dokonywane na szkodę odbiorców. Nieuczciwi pracownicy, mówi pismo, w ten sposób wygospodarowują nadwyżki produkcji i podobnie jak dawniej zagarniają premie za przekroczenie planu ilościowego.

Pismo i radio skrętnie pominęły wyjaśnić, że kontrolerzy techniczni są pracownikami tego samego przedsiębiorstwa i podobnie jak zarząd i

pracownicy są zainteresowani w uzyskaniu jak najwyższych premii. Stąd dalej zalew rynku tradycyjnymi „bublami“.

A w dniu 16 października w „Życiu Warszawy“ pojawił się artykuł pt. „Pełne składy — puste szafy“, napisany przez kompetentną redaktorkę tego pisma, która na wstępie zwraca uwagę, że w magazynach, w sklepach, na wieszakach, pełno jest płaszczy, sukien i garniturów, i w zasadzie każdy klient winien wyjść z tych składów przyzwoicie ubrany. Wychodzi zaś najczęściej albo nieubrany i niezadowolony albo ubrany i również niezadowolony. Producenci nie chcą uwierzyć, że zmieniły się czasy i zmienili się też ludzie. Wprawdzie znikły już garnitury męskie o nierównej długości rękawów i wykrzywionych nogawkach, za to dzisiaj przemysł dalej zalewa rynek, jak dawniej, konfekcjami w brudno szarych kolorach.

Z artykułu dowiadujemy się również, że w 1967 r. dostawy przemysłu odzieżowego wzrosły o przeszło 12 procent, zaś dostawy z hurtu do sklepów tylko o 5 procent. Różnica leży w hurtowniach zasypana nafiłiną, a fachowcy oceniają wartość tych „odleżyn“ na 6 miliardów złotych, a ich wartość sprzedażną, jeśli w ogóle kiedyś można je będzie sprzedać tylko na jedną trzecią wartości, jaką hurtownie zapłaciły już producentom. Stąd co pewien czas ma miejsce „przecenianie“, a towar wysyła się na wieś, gdzie chłop ostatecznie kupuje towar, by mógł coś na grzbiet włożyć.

Za to na rynku powstał zastój w obrotach, który można nazwać „strajkiem konsumentów“, wzrasta w szybkim tempie tzw. „wyż“ odbiorców, bo młodzież dobrze jest zorientowana w zmianach w produkcji konfekcji w niesocjalistycznym świetle.

Czy zaszły jakieś zmiany, pyta autorka. Istotnie tak, odpowiada, bo produkowany obecnie masowo polski macron zawiera za wiele taniego włókna i kurczy się o 15 procent. Jest więc zmiana, ale na gorsze.

A jeśli chodzi o konfekcję damską, to dowiadujemy się, że spódniczki wyrabia dla całego kraju jedna tylko wielka fabryka. Nie ma zatem celu chodzenie po sklepach bo wszędzie są te same kolory i ten sam fason, narzucony przez producentów.

„Pełne sklepy — szafy puste“, w tym krótkim tytule autorka przedstawiła najtrafniej sytuację na polskim rynku konfekcyjnym po dwóch latach reformy gospodarczej.

BILETY

**KOLEJOWE,
SAMOLOTOWE,
OKRĘTOWE**

•

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

**273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5**

Tel. FRE 1186

•

**MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.**

Tel. Moss Side 4683

•

**BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street**

Tel. MID 1526



SZYBKO I TANIO!
Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
w y k o n u j ą
ZAKŁADY GRAFICZNE
GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.
171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879

IZRAEL WIDZIANY Z LONDYNU

JESTEM niespokojna, że tak mało mówią i piszą o Izraelu — skarżyła się przyjaciółka, która swoje wiadomości o świecie zbiera z drugiej ręki, czyli od studiujących gazety i telewizji znajomych. „W tym Izraelu codzień coś nowego, kiedy to już się skończy?“, biadał kto inny. „Jestem oburzony, co ci Izraelczycy wyprawiają z tymi uchodźcami“, rzucał gromy młody człowiek, ochotnik w czerwcowej wojnie, po przeczytaniu wzmianki o „przymusowym“ exodusie Arabów, zamieszczanej w „Private Eye“. „Ci Izraelczycy to jednak nadzwyczajni! Ile już zrobili i ile robią dla uchodźców, których ich arabscy bracia trzymali przez dziewniąca lat w nędzy i ciemności, jako pionki w polityce nienawiści i zafobania“, powiedział inny, który dopiero co wrócił z Izraela.

Wysadzili w powietrze, wypędzili, ukarali, uczą, organizują, budują, generał powiedział, król orzekł, to i owo podają dziennikarze, w zależności od swego własnego nastawienia i od tego kto ich publikuje. Dziennikarze, też ludzie, nie mogą nie być subiektywni. A ich odbiorcy, czyli czytelnicy, słuchacze lub telewizyjni, widocznie „łakną krwi“, wobec czego większość dziennikarzy czy reporterów podkreśla w swoich sprawozdaniach, świadomie czy mimowoli, to „krwawe“, sensacyjne, niecodzienne, dając w ten sposób obraz niepełny, często spaczony.

W chaosie wiadomości sprzecznych, goniących za sobą w nierównych odstępach, nierzadko naszpikowanych pustymi frazami czy podłanych sosem politykierstwa, jakże często gubi się zwyczajna niesensacyjna prawda prostego człowieka z jego minimalnymi żądaniami, żeby żyć w spokoju. Oliwy do wiecznie płonącego ognia ogólnego zamieszania dodaje krótkoterminowość ludzkich reakcji, pobudzonych wyrwanymi z kontekstu całości wiadomościami po jednej myślimy tak, po drugiej, że wprost przeciwnie. Ponieważ podobny galimatias informacyjny znajdziemy i w wielu innych sprawach, od Wietnamu zacząwszy na giełdzie skończywszy, warto zrobić eksperyment i obok codziennej prasy przestudiować raz jeszcze gazety sprzed 3—4 tygodni, albo nagrać na taśmę rozmowy z ludźmi w takim okresie.

Jak wygląda dzisiaj Izrael w niedzielnikarskich i niepolitycznych oczach? I kiedy siedzi się w Londynie, a wiadomości zbiera z różnych źródeł

z listami na czele, Jadzia, której ocalony z Oświęcimia syn padł w czerwcu w obronie zaatakowanej zdradziecko Jerozolimy, chodzi dalej do pracy, a na dodatek musi opiekować się dwojgiem małych, bo jej owdowiała synowa uczy arabskie kobiety, jakie prawa przysługują im w drugiej połowie XX-go wieku. Do tej pory żyły bowiem jak niewolnice, nieomal rzeczy, własność mężów, którzy spędzają leniwe godziny na grze w szesz-besz i piciu araku.

Nieomal codziennie kogo innego zabija podłożona przez terrorystów w najbardziej spokojnych miejscach mina czy bomba albo skrytobójcza kula; nieomal codziennie wojsko czy straż graniczna wyłapuje sabotażystów, szkolonych przez arabskich „sąsiadów“ a zbrojonych przez Rosję, Chiny, Polskę, Czechosłowację i inne komunistyczne reżymy, które popierają „postępowe“ rządy, król czy nie król. Nota bene, terroryści strzelają do swoich własnych braci, o ile tylko który odważy się myśleć o pokoju, czy o stworzeniu samodzielnego państwa palestyńskiego — a jest takich dużo wśród ludności nowych terenów.

Przyzwyczajeni do takiego stanu rzeczy Izraelczycy żyją jak żyli; orzą, budują, zakładają nowe osiedla; łowią ryby w Kanale Suezkim i gdzie indziej; organizują wycieczki narciarskie na Hermon; szukają nowych źródeł dostaw broni, bo de Gaulle złamał kontrakt i nawet zamroził wpłaconą już na samoloty gotówkę; dyskutują jeszcze więcej niż zawsze, tyle jest przecież do dyskusowania, zapelniają kina i teatry, uczą się, dają rządowi rady jak zawsze dawali. I modlą się przy krwawymi łzami wypłakanej ścianie Płaczu, żeby narzeczcie i dla nich nastał spokój, żeby nie mówili tyle o nich na świecie, żeby już nie byli sensacją, tylko zwyczajnym normalnym narodem.

Pod koniec grudnia Jerozolima i wszystkie święte dla trzech religii miejsca tonęły w morzu światła, od lampek i pochodni. W dzień Bożego Narodzenia izraelskie radio nadawało bez przerwy koledy, huczały strzały armatnie na zakończenie uroczystości muzulmańskiego Ramadan, paliły się chanukowe świeczki. Do klasztorów i do szkół misyjnych, do arabskich wiosek i do kościelnych sierocińców brodaty „sabry“ przyniósł dary, lalki i piłki futbolowe, czekoladę i zabawki. Na każdej paczce stał Święty Mikołaj wielkości trzyletniego dziecka. El Fatah co prawda grozili, że „przerwą“ modły w Betlehem we włas-

ciwy sobie sposób, ale nic z tego nie wyszło. Może była to tylko ich wersja świątecznego dowcipu.

Doktorantka z Jerozolimy, normalnie niezbyt chętna do pisania, uszczęśliwiła mnie trzema dramatycznymi listami, jak bardzo jej potrzebny kawałek peruki, pół metra, włosy blond, i żeby ich było jak najwięcej. Znajoma lekarka w starszym wieku prosiła mnie usilnie o specjalny lakier do paznokci, określonej firmy, perłowo-różowy z liliowym odcieniem. Siedząca z daleka, karmiona wiadomościami jak wyżej, oburzałam się, jak mogą myśleć o takich głupstwach, kiedy ja tutaj przeżywam każdy strzał na granicy czy na szosie, trzęsę się o każdego Iliuszyna, którego dostarczają Egipcjom jego postępowi i „pokojowo nastawieni“ przyjaciele. „Nie jesteście przecież w ghecie, życie toczy się dalej, normalnie, inaczej nie można. Wszystkie piątki i soboty mam już zamówione na przyjęcia do marca“, odpisała mi inna przyjaciółka, z którą podzieliłam się moim oburzeniem wobec lekkich głów tej od peruki i tej od lakieru.

„Musimy uzbroić się w cierpliwość, wzmocnić pogotowie wojskowe i ekonomiczne, bo kto wie, czy nie będziemy musieli przetrzymać jeszcze dwadzieścia lat takich jak te które mamy za sobą, a które sprowadziły na nas trzy wojny“, powiedział premier Eshkol. Więc Izraelczycy uzbrajają się w cierpliwość i żyją jak żyli do tej pory, tylko obciążeni większymi obowiązkami, większą odpowiedzialnością wobec siebie samych i tego dodatkowego miliona ludzi, którym przez tyle długich lat świat i ich bracia dali niewiele więcej niż nienawiść do wszystkiego co nowe czy po prostu inne.

Doskonała książka na nagrody młodzieży w szkołach przedmiotów ojczystrych

ICH MŁODE LATA

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

Opowieść o chłopcach z Legionów

Cena: 9/-

„GRYP“ — 171, Battersea Church Rd.
London, S.W. 11.

PRZEWROTNA POLITYKA

JUGOSŁAWIA niczym Polska przeżyła tragedię ostatniej wojny, broniąc się bohatercko przed Niemcami, lecz zawiedziona przez aliantów stała się ofiarą komunizmu.

Z chwilą napadu Niemców na Jugosławię, 6-go kwietnia 1941, młodociany król Piotr, zaproszony przez W. Brytanię, schronił się razem ze swym rządem do Londynu, by wspólnie ze sztabem angielskim kierować akcją wojskową swej armii, stawiającej opór najeźdźcy. Niestety, wkrótce zagrały wewnętrzne nastroje i społeczne dysonanse Jugosławii, które osłabiły zwartość jej obrony, tworząc kilka ośrodków walki.

Powstał bowiem w Jugosławii rząd z premierem gen. Nedičem, rzekomo reprezentujący króla Piotra i jego armię, nazwaną „czetnikami“, których istotnym wodzem był płk. Draža Michajłowič; działała grupa chorwackich faszystowskich separatystów, zorganizowana przez Ante Paveliča; na czoło elementów radykalnych wysunął się wychowanek Moskwy Józef Broz, który pod pseudonimem Tita, dnia 22 kwietnia 1944 r., powołał do życia „Komitet Komunistyczny Partii Jugosłowiańskiej“, gromadzący tzw. „partyzantów“, walczących nie tylko z Niemcami, ale również z ideą monarchii i „rządów burżuazyjnych“.

Daleka Anglia wspomagała na razie w mundur, broń, lekarstwa i pieniądze legalną armię króla Piotra, lecz pod naporem Sowietów, zwłaszcza od chwili, gdy stały się jej partnerem w wojnie z Niemcami, poczęła lekceważyć legalistyczne siły Jugosławii, a nawet osobę króla Piotra — na co on się skarża w swym Pamiętniku — starając się przede wszystkim o utrzymanie bojowej aktywności tego przyłodka Bałkanów, mającego utrudnić Niemcom dojście do Morza Śródziemnego.

Dopiero w dwa lata po wejściu Niemców do Jugosławii Londyn zdecydował się na wysłanie do niej własnej misji wojskowej, detasowanej z Kairu, która pod kierowni-

ctwem mjr. Greenwooda, złożona z 6-ciu oficerów i radiotelegrafisty, została zrzucona 9-go maja 1943 r. we wschodniej Serbii, między Niszem i Dunajem, pod górskim masywem Homolje, na południe od miasteczka Żagubica. Przydzielonym do niej był ponadto Polak, niegdyś kapitan polskiej armii, później członek A.K., który choć urodzony w Białej Podlaskiej, znał język serbski, gdyż matka jego była Jugosłowianką. On uciekł spod okupacji niemieckiej w r. 1940 przez Węgry na Bliski Wschód i dostał się do polskiego wojska stacjonarowego w Egipcie. Nazywał się Adam Maciąg, używał jednak pseudonimu Nash (wymawianego z angielska Nesz), który wkrótce rozślawił w całej Jugosławii dzięki swym bohaterskim poczynaniom.

Zadaniem misji angielskiej było przede wszystkim mobilizować ochotników, rozeznać się w skomplikowanych wewnętrznych stosunkach jugosłowiańskich i być miejscem zrzutów amunicji i wszelkiej pomocy wojennej. Polak, kpt. „Nesz“ okazał się niezastąpionym najpierw jako tłumacz i jako wyjątkowo zdolny i odważny oficer, a także jako werbownik Polaków, rozsianych po różnych kątach i oddziałach jugosłowiańskich.

* * *

O działalności kpt. Nesza, jego stosunkach z misją angielską i w ogóle o ówczesnej sytuacji Jugosławii, dowiadujemy się z książki pt.: **Kryptonim Homolje** Zygmunta Katuszewskiego, podwładnego, a potem następcy kpt. Nesza. Katuszewski, złapany przez Niemców podczas jakiejś łapanki w Warszawie i odesłany jako więzień do Belgradu, zdołał uciec w góry serbskie i dostać się do oddziału Nesza*).

Książka Katuszewskiego przedstawia nieznaną szerszemu ogółowi

*) Zygmunt Katuszewski „Kryptonim Homolje“. Wydawnictwo Obrony Narodowej, Warszawa 1967. Str. 334.

podziemną walkę Jugosławii z Niemcami, patriotyzm chłopów serbskich i ich życzliwość dla Polaków, będącą ich ratunkiem obok gór i lasów... Tym samym, książka o której mowa, jest jednym więcej świadectwem polskiego bohaterstwa, jak też, co we wstępie do niej podkreśla Mieczysław Juchniewicz — „nieznaną kartą dziejów walki Polaków z faszyzmem“.

Należy bowiem z góry zaznaczyć, że książka Katuszewskiego, wydana przez Warszawskie Ministerstwo Obrony Narodowej, jest niejako oficjalnym wydawnictwem „Polskiej Ludowej“ i jest ... „ludową“ w nastawieniu obu jej protagonistów, tj. Nesza i Katuszewskiego.

Kpt. Nesz np. wykonując rozkaz mjr. Greenwooda pomnożenia swego oddziału, udaje się do Rumunii, by powołać pod broń internowanych tam Polaków. Nie mogąc jednak do nich dotrzeć, przewozi przez Dunaj, z ryzykiem własnego życia, 200-u Rosjan, chętnych do ucieczki z niemieckiego obozu, nie czyniąc różnicy między Polakami a Moskalami.

Determinacja polskich ochotników pozwala im zasadać się na Niemców, sabotować ich komunikacje, nawet zlikwidować budowę tunelu poprzez górę Gornjak, gdzie niemiecką personel techniczny siłą zmuszał do pracy 600 tys. Serbów. Ten wyczyn był dziełem autora książki, Katuszewskiego.

Między innymi opowiada on o ciekawym zjawisku: pewnego dnia zameldował się u nich marynarz z Pomorza, by w dowód uznania ofiarować mu książkę, którą „taszczył po serbskich połoninach“. Był to **Król Duch** Słowackiego. — „Gdzie ją wytrzasnął?“ — zapytał się go Katuszewski. — „Wziąłem ją na wojnę... to piękna książka“ I Katuszewski dodaje od siebie: „...fakt faktem, do rana czytałem **Króla Ducha** w górach serbskich, po bitwie z Niemcami. Jakież czar miały te słowa! Zasnąłem o brzasku...“

Ilość ochotników Polaków pod do-
(Dokończenie na str. 14)

wództwem kpt. Nesza, która wzrosła do liczby 300 oraz ich aktywność, bo przy każdej potyczce utlukli kilku czy kilkunastu Niemców, poczęła budzić zazdrość czetników, pragnących polskie oddziały sobie podporządkować. I wkrótce „wojska królewskie“ i polskie oddziały zaczęły sobie zawadzać. Nesz i Katuszewski starali się utrzymać poprawne stosunki z ich dowódcami, lecz ci zamiast im pomagać odmawiali im amunicji i broni.

Wkrótce Polacy przekonali się na własnej skórze, iż czetnicy są ich wrogami. Dnia 11 grudnia 1943 r. płk. czetników Sinisza zawiadomił Katuszewskiego, że we wsi Kula zginął kpt. Nesz zaskoczony nocą przez Niemców. Wedle zeznań chłopów okazało się jednak, że kryjówką Nesza zdradził Niemcom nie kto inny tylko tenże płk. Sinisza. Skoro Katuszewski został następcą Nesza, nasłani na niego czetnicy zamordowali jego wartownika, a on tylko przypadkiem uszedł śmierci. Polacy musieli więc prowadzić walkę na dwa fronty, przeciw Niemcom i czetnikom, tym trudniejszą, że misja

angielska odmawiała im już amunicji.

W tym czasie radio londyńskie podało wiadomość, że „partyzanci Tita“ zostali uznani przez rząd W. Brytanii za legalną armię jugosłowiańską, do której sztabu w Serbii przybyli oficerowie angielscy z kpt. Macleanem i Randolphem Churchilllem na czele. Po wykryciu w górach dowódcy „wojsk królewskich“ płk. Draży Mihajloviča, misja angielska wydała go Ticie, który uśmiercił go torturami, lecz nie wy dobył zeń przyznania się do kolaboracji z Niemcami. Było to następstwem zmiany polityki W. Brytanii w kierunku ugody z Sowietami.

Odtąd panami Jugosławii stali się Tito i jego „partyzanci“. Gdy jeden z jego oddziałów zbliżył się do postoju oddziału Polaków w pobliżu miejscowości Gorjane, Katuszewski powitał jego dowódcę, który okazał się też Polakiem, zdziwionym na widok również angielskiego munduru, aż wykrzyknął: „To dranie! Wszystkim zrzucają“....

Wobec kończącej się jugosłowiańskiej wojny Katuszewski poczuł się

bezrobotnym. Postanowił więc przedostać się do Rumunii, skąd wojska radzieckie rozpoczęły z końcem września 1944 r. natarcie od wschodu na masyw gór Homolje. Skoro przeprowił się przez Dunaj, powitał go na drugim brzegu oficer sowiecki: „Nu, haraszo, maładiec“, kończąc tymi słowami bohaterską walkę Polaków w Jugosławii przeciw Niemcom.

* * *

Przyczyną klęski Jugosławii była niezdecydowana i przewrotna polityka W. Brytanii, będącej pod wrażeniem mirażu potęgi Sowietów, który kazał uznać jej wrogów za sojuszników, a w Jalcie zgodzić się na oddanie im połowy Europy.

Ubolewać należy, iż interesująca, barwna i bogata we wiele prawdopodobnie autentycznych szczegółów, książka Katuszewskiego swym krytycyzmem wobec legalistycznych elementów Jugosławii na korzyść komunizmu partyzantów Tita, jest — jak wspomniano powyżej — wyrazem poglądów obecnego ustroju Polski.

Władysław Günther

STEFAN WÓYCICKI

SPRAWY POLSKIE W DRUGIM TOMIE PAMIĘTNIKÓW MACMILLANA

(„The Blast of War“ — Macmillan, 1967)

W DRUGIM tomie swojej autobiografii były premier brytyjski Harold Macmillan opisuje swoje przeżycia w czasie ostatniej wojny światowej. Obowiązki jego w tym okresie dotyczyły pracy w ramach Komitetu Pomocy dla Finlandii podczas jej samotnej wojny z Rosją, następnie — po upadku Chamberlaina — Macmillan zostaje Parlamentarnym Sekretarzem Ministra Zaopatrzenia, a w roku 1942 zostaje przeniesiony na podobne stanowisko w Ministerstwie Kolonii. Najbardziej interesujący okres działalności Macmillana w czasie wojny przypada na jej drugą połowę, gdy obejmuje on stanowisko ministra brytyjskiego, przydzielonego do Alianckiej Kwatery Głównej na odcinku śródziemnomorskim. W tym charakterze bierze on udział w konferencjach w Casablance i w Kairze, oraz nawiązuje bliskie stosunki z generałami

Eisenhowerem i Alexandrem. Również w tym okresie spotyka się kilka razy z gen. Andersem.

Jeśli chodzi o sprawy polskie, występują one zwykle w pamiętnikach Macmillana w charakterze tła dla wydarzeń, w których autor bierze bezpośredni udział. Tak więc na samym początku wspomina on o niemieckim ataku na Polskę, stwierdzając, że Wielka Brytania nie posiadała środków, aby w jakikolwiek sposób pośpieszyć Polsce z pomocą. Jedyną możliwością wsparcia była akcja dywersyjna na froncie francuskim. Ale, jak pisze Macmillan, Francuzi byli tak zaniepokojeni swoim własnym położeniem, iż nie tylko nie byli skłonni do żadnej ofensywy na Zachodzie, ale również nalegali na Anglików, aby ci nie przeprowadzali nalotów na Niemcy w obawie akcji odwetowej ze strony lotnictwa Rzeszy. Autor surowo potępia pakt Molotow—Ribbentrop i zabór państw bałtyckich oraz krytykuje trudną — jak pisze — do zrozumienia

decyzję władz całkowitego pozostawienia Polaków ich własnemu losowi. Zamiast co najmniej przeprowadzać ataki powietrzne na lotniska i linie komunikacyjne Rzeszy, lotnictwo brytyjskie zrzucało ulotki — stąd nazwa dla tego okresu działań lotniczych „Wojna przy użyciu confetti“. Te dziwne posunięcia przypisuje Macmillan nieczym nieuzasadnionym złudzeniom, jakie mógł jeszcze żywić Chamberlain i jego otoczenie, że pod wpływem brytyjskich ulotek „dobrzy Niemcy“ obalą ustrój Hitlera.

Następnie autor wspomina, że najtrudniejszym problemem w stosunkach anglo-radzieckich, już po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej, była sprawa Polski. Pisząc, że gwarancja, udzielona przez W. Brytanię Polsce, należała do przyczyn wybuchu wojny, Macmillan pyta, jak Wielka Brytania mogła się pogodzić „z czwartym rozbiorem Polski, z wywózką setek tysięcy Polaków, i z krzywdą, wyrządzoną wszystkim tradycjom polskiego życia“. W odpowiedzi,

konkluduje z żalem, że „zarówno Wielka Brytania, jak i później Ameryka, przeciwstawiały się rosyjskim żądaniom natychmiastowego uznania wytworzonej sytuacji, ale ostatecznie nie były dość silne, aby stworzyć prawdziwy ustrój demokratyczny w Polsce“. Autor kończy poświęcony tej sprawie ustęp zdaniem: „Po zakończeniu wojny tragedia Polski stała się jedną ze skaz na obliczu zwycięstwa“.

Zarówno praca w Ministerstwie Zaopatrzenia, jak i większa część okresu, spędzonego przez Macmillana w Alianckiej Kwaterze Głównej Odeinka Śródziemnomorskiego nie pozostawały w żadnym związku z losami wojennymi Polski. Niemniej, warto tu zacytować wyjątek z podanych w tekście książki notatek autora z czerwca 1943 roku, napisanych po dłuższej rozmowie sam na sam z de Gaullem: „Jest on (de Gaulle) z natury samowładca. Po prostu tak, jak Ludwik XIV i Napoleon. W głębi ducha jest przeświadczony, że powinien wydawać rozkazy, a wszyscy inni powinni go słuchać. Nie jest to, ściśle biorąc, „faszyzm“ (słowo bardzo nadużywane), to jest samowładczość“. Innym, zasługującym na zacytowanie, wyjątkiem z tej części wspomnień Macmillana są dwa aforyzmy, wypowiedziane w rozmowie z autorem przez niesławnej pamięci byłego oskarżyciela publicznego Wyszyńskiego, który przez jakiś czas jako wiceminister spraw Zagranicznych, reprezentował rząd sowiecki w sprawie zawarcia pokoju z Włochami. Wyszyński stwierdził: „Demokracja jest jak wino. Jest dobra tak długo, jak długo używa się jej w sposób umiarkowany“. Wiemy, co oznaczało to „umiarkowane używanie demokracji“ według Wyszyńskiego; I druga perła mądrości tego wielbiciela demokracji: „Wolność słowa, to dobra rzecz tak długo, jak długo nie sprzeciwia się polityce rządu“. Można i tak!

Pod koniec książki Macmillan opisuje swoje kilkakrotne spotkania z generałem Andersem. Pierwsze z nich miało miejsce 24 kwietnia 1944 roku, a więc na krótko przed bitwą o Monte Cassino. „Mogłem wyczuć — pisze autor — że chociaż i on i jego żołnierze lojalnie wypełniali swoje zobowiązania wobec aliantów, wspomnienia o Polsce, obawa o jej przyszłość, i równie silna nienawiść zarówno do Rosjan, jak i do Niemców, nie opuszczały jego myśli“. Dłuższy ustęp poświęca autor wrażeniu, jakie na nim wywarł hejnał krakowski, grany w polskiej kwaterze dowództwa 2 Korpusu, opisując jego historię i cytując znane wydarzenie grania hejnału

przed polskich trębaczy na rynku Sarmarkandy.

Drugie spotkanie z gen. Andersem miało miejsce w kwaterze gen. Alexandra pod Sieną 15 września 1944 roku, a więc w czasie trwania powstania warszawskiego. Macmillan pisze: „Tego wieczoru gen. Anders zjadł z nami obiad i odbyliśmy długą rozmowę. Rzecz zrozumiała, że był bardzo rozgoryczony tragedią Warszawy, ale jego lojalność pozostała niewzruszona“.

Do tej rozmowy Macmillan powraca już na samym końcu książki, gdzie poświęca kilka stron opanowaniu władzy w Polsce przez komunistów. Autor pisze o rosyjskim wezwaniu do powstania, nadanym przez radio z Moskwy przez polskich komunistów, i o braku pomocy dla powstania ze strony rosyjskiej, komentując: „W ten sposób większa część tych, którzy mogli się okazać niebezpiecznymi dla dominacji komunistycznej, została pomyślnie usunięta przez Niemców“. Po ogłoszeniu decyzji jałtańskich 12 lutego 1945 roku natychmiastową reakcją generała Andersa było zwrócenie się do marsz. Alexandra o wycofanie oddziałów polskich ze służby frontowej. „16 lutego — pisze Macmillan — wysłał on swoją sławną depeszę do Londynu, w której stwierdził, że 2 Korpus odmówił uznania ważności decyzji jałtańskich i że w dalszym ciągu uważa rząd polski w Londynie za jedyne przedstawiciela majestatu niepodległej Polski“. W tych przykrych warunkach Macmillan spotkał znowu generała Andersa na obiedzie u marszałka Alexandra 17 lutego. Gen. Anders był w nastroju gorzkiego rozczarowania, niemalże rozpacz. Autor zanotował po tej rozmowie: „Raczej bolesna dyskusja, a właściwie monolog, w którym gen. Anders powiedział, że Polska jest zgubiona, zdradzona przez swoich aliantów. Jest to już tylko sprawą czasu, aby cała Europa dostała się w moc bolszewizmu“. Macmillan kończy: „To był straszny wieczór“. Po tej rozmowie autor spodziewał się, że 2 Korpus nie będzie się już nadawał do walk frontowych, a nawet, „w najgorszym razie, może się zamienić w tłum uchodźców“. Okazało się jednak, że opinia ta była błędna i 2 Korpus wyróżnił się w czasie ofensywnych walk w kwietniu. „Stracili swój kraj, ale zachowali swój honor“ — konkluduje Macmillan. Autor dodaje jeszcze, że po defiladzie na cześć zwycięstwa w Londynie w czerwcu 1946 roku, w której do wzięcia udziału polskie oddziały nie zostały zaproszone (poza 25 lotnikami, którzy odmówili), napisał list do gen. Andersa, wyraża-

jąc z tego powodu żal i „nawet wstyd“.

Końcowa krótka wzmianka o Polakach, dotycząca ostatniego spotkania z gen. Andersem w dniu 22 kwietnia 1945 r. Polacy właśnie odnieśli sukcesy ofensywne i gen. Anders był zmieniony nie do poznania, jak pisze Macmillan. „Ani słowa o polityce, lub przyszłości Polski; nie poza triumfalnym wyłożeniem przebiegu działań wojsk polskich“.

Oczywiście, uwagi Macmillana na tematy polskie nie dodają wiele do tego, co już od dawna wiedziliśmy o stanowisku W. Brytanii w sprawie Polski w czasie wojny i bezpośrednio po wojnie. Przyjemną dla nas nutą jest brak usprawiedliwień dla posunięć brytyjskich w tej sprawie poza otwartym stwierdzeniem, że Wielka Brytania po prostu była za słaba, aby móc wywrzeć odpowiednią presję na Rosję. Drugi tom wspomnień Macmillana pozostawia na czytelniku polskim wrażenie, że autor dosyć jasno zdawał sobie sprawę z sytuacji, w jakiej znalazła się Polska z końcem wojny, ale nie widział sposobu, w jaki rząd brytyjski mógłby przyjąć swemu sojusznikowi z istotną pomocą.

Księgarnia S.P.K.

20, QUEENS GATE TERRACE,
LONDON, S.W. 7.

Wyłączne przedstawicielstwo
Instytutu Literackiego i
„Kultury“ na Wielką Brytanię

Aleksander Hertz

SZKICE
O IDEOLOGIACH 20/-

Herling-Grudziński G.

INNY ŚWIAT 25/-

Singer Bernard

OD WITOSA
DO SŁAWKA 30/-

Witos Wincenty

MOJE WSPOMNIENIA
3 tomy 145/-

Zaremba Paweł

HISTORIA POLSKI
tom I 33/6

Przesyłka każdej książki 3s.

S C E N A

(I) AKTORZY KRÓLA

LEŻY przede mną książka w marmurkowej oprawie, o staroświeckim wyglądzie. Na grzbiecie wytłoczono złotymi literami tytuł: „Dzieje Teatru Narodowego przez Wojciecha Bogusławskiego“. Data wydania — MDCCCXX. (1820).

Taką samą książkę włożono w dniu 19 listopada 1825 r., obok innych dokumentów, do skrzyni kamienia węgielnego na Marywilu, gdzie, dla upamiętnienia pierwszej, stałej, publicznej, demokratycznej i oświeconej sceny polskiej, ufundowanej przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, postanowiono zbudować nowoczesny Teatr Narodowy, zaprojektowany przez Antoniego Corazziego.

Dokumenty te, wraz z dziejami teatru, przetrwały lat przeszło 120 i zostały odnalezione w gruzach gmachu zniszczonego przez Niemców w 1944 roku.

Bogusławski nie dożył otwarcia teatru corrazziańskiego, zmarł bowiem 23 lipca 1829 r., teatr zaś otwarty został 24 lutego 1833. Nie otrzymał ów teatr nazwy „Narodowy“. Nazwano go „Wielkim“, w odróżnieniu od „Rozmaitości“, które z niewielkiej sali Tow. Dobroczynności na Krakowskim Przedmieściu przeniesiono do Sali Redutowej Teatru Wielkiego we wrześniu 1833.

Obie te sceny narodowe broniły polskości przez lat dziesiątki, nawet w okresie największego nasilenia rusyfikacji za czasów Hurki i Apuchtina. Aż do pierwszej wojny światowej obowiązywały je Ustawy Teatru Narodowego, opracowane na zlecenie Dyrekcji Rządowej przez specjalną komisję pod kierunkiem Bogusławskiego i zatwierdzone w roku 1822 przez namiestnika w Królestwie Kongresowym, gen. Zajączka.

Czym zasłużył sobie Bogusławski aby jego dzieje sceny polskiej położono pod fundamenty narodowego teatru, łącząc w ten sposób przeszłość z przyszłością, jakby wytyczając drogę, po której polska scena miała się rozwijać?

W porównaniu z jego zasługami błędna wysiłki wszystkich współczesnych tytanów teatru, dyrektorów, reżyserów i scenografów. Przez lat 30 był Bogusławski bowiem budowniczym gmachów teatralnych, kierownikiem literackim, aktorem,



Wojciech Bogusławski

śpiewakiem, tłumaczem i autorem sztuk, a w końcu historykiem polskiej sceny.

Zajrzyjmy do książki. Nic tu nie może być sfalszowane: jest to „fototypia“, a więc fotograficzna, reprodukcja owego tomu wydobytego z gruzów. Mamy zatem oryginalną paginację, ortografię, a nawet nieliczne omyłki autora i typografa.

Dzieje obejmują szmat czasu i ocean wysiłków — 50 lat historii polskiej sceny od jej narodzin w roku 1764 aż do roku 1814, w którym strudzony i zrujnowany autor porzucił pracę w teatrze. Kierował tą sceną wśród największych przeciwności, złej woli intrygantów i chępców, podczas powstania w 1794 r., wojen napoleońskich, na przekór rywalizującym z polskim teatrem zespołom włoskim, francuskim i niemieckim.

Bogusławski pisze obiektywnie, nie wysuwa się na pierwszy plan, przeciwnikom nawet przyznaje sprawiedliwość i chwali ich jeżeli na to zasługują. Jest człowiekiem sprawiedliwym.

Drugą cechą, która uderza czytelnika, jest jego patriotyzm, szczerzy i czynny. Na wstępie pisze: „Stanisław August, Król, któremu odnowienie wszelkiego rodzaju nauk niezaprzeczenie potomność przyznać powinna, był pierwszym, początkowego Oczystej sceny zaprowadzenia twórcą. Wstąpiwszy na tron zaraz o

założeniu tej naydzielniejszej obyczajów szkoły staranny, zalecił zebrać ludzi, którychby do sztuki scenicznej ukształcić można było“. I podkreśla zaraz polskość repertuaru tego pierwszego teatru: „Wszystkie niemal narody najpierw obce dzieła wystawiały na scenie, nasz od własnych zaczynał. Najpierwsza komedia „Natręci“, lubo niejakim sztuki Moliere „Les Facheux“ zda się być naśladowaniem, wszystkie atoli wchodzących w tę komedię osób charaktery, zupełnie narodowe wystawiały obyczaje. Tę samą zaletę miały pierwiastkowe sztuki Bohomolca, a nawet i z obcych Autorów przerobione, brały zawsze za cel poprawę domowych wad i śmieszności“.

Dalszą dodatnią cechą jest lojalność wobec nieszczęsnego Króla, który w chwili pisania tych dzieł teatru dawno już spoczywał w grobie w Petersburgu jako zdetronizowany wygnaniec. Ale z przytoczonego przez autora przebiegu losów sceny polskiej wynika jasno że król, pełen dobrych chęci w stosunku do polskich widowisk, (jakkolwiek sam wolał teatr francuski, włoską operę i balet), otaczał się cudzoziemcami, których głównym celem było nabicie sobie per fas et nefas kalety w tym dziwnym kraju, gdzie dla obcokrajowców złoto leżało niemal na ulicy.

Weźmy np. Tomatisa, Włocha, którego król naznaczył przedsiębiorcą teatralnym. Sprowadził on do Warszawy operę buffa, która odciągnęła publiczność od sceny polskiej. Po kilkunastu miesiącach teatr polski upadł, aktorów rozproszono. Tomatis napełnił sobie kieszenie złotem zarobionym przez operę i — opuścił oba teatry obawiając się stracić zarobiony majątek. „Dziesięciu prawie lat przeciąg zapełniony był samymi obcymi widowiskami, w różnych językach i pod różnych osób zarządzeniem“ — pisze ze smutkiem Bogusławski.

Sytuacja zmieniła się, niestety — na krótko, kiedy naród uchwałą sejm

NARODOWA JEGO MOŚCI

B.D.I.C

kową nadał księżętom Sułkowskim wyłączny przywilej utrzymywania w stolicy narodowych widowisk. Ks. August Sułkowski prowadził własny teatr w Rydzynie, miał zatem potrzebne doświadczenie i dysponował wyszkolonymi aktorami, których sprowadził do teatru narodowego. Bogusławski wymienia kilka nazwisk przyszłych gwiazd polskiej sceny: komika Hempińskiego, Sierakowską — w rolach wesołych wykwintniś, Granowiczową — w rolach garderobianych, Owsieńskiego, świetnego zarówno w rolach tragicznych jak i komicznych, piękną Sikorską, „nader przyjemną wymową od natury obdarzoną“. Do tego zespołu dołączyła para Truskolańskich, pierwszorzędnych aktorów. Ks. Adam Czartoryski — gen. Ziem Podolskich podjął się doskonalenia artystów i „zaprowadzenia sztuk wyższego rzędu“. Jemu to zawdzięczał teatr „wybornie do kraiovych obyczaiów przystosowane komedie: „Panna na wydaniu“, „Gracz“, „Kawa“, „Bliźnięta“, „Pysznoskap-ski“.

Złota era teatru skończyła się już jednak po upływie półtora roku. Wiedeński aktor, baron Curtz zjechał do Warszawy z gronem dobrze dobranych włoskich śpiewaków. Kiedy po dwóch latach zainteresowanie publiczności operą poczęło słabnąć, sprowadził z Wiednia doskonały balet, który stał się nową atrakcją. Aby nie opłacać się ks. Sułkowskiemu, posiadającemu wyłączny przywilej utrzymywania w stolicy teatrów chciwy Curtz wraz z równie chciwym Ryxem, wówczas kamerdynerem królewskim, zwabili do swego teatru wielu polskich aktorów obietnicą wyższych gaź. Ks. Sułkowski, pozbawiony najlepszych swych sił, zniechęcony niewdzięcznością aktorów, odstąpił przywilej obrotnej spółce.

Zaczął się teraz złoty okres opery włoskiej i złoty strumień płynął wartko do kalet Curtza i Ryxa. Wprowadzona przez nich opera se-

rio zapełniała teatr, rozentuzjzmowana publiczność płaciła trzykrotne ceny aby usłyszeć i podziwiać opery: „Dido“, „Demofontes“ i „Eurydyka“.

Scena polska, poświęcona jedynie komedii, prowadzona przez „dyrektorów“ nie znających języka polskiego, podupadła — i wówczas to oświadczono królowi, że Przedsiębiorcy Teatrów, przynoszących im wielką stratę Aktorów Polskich, rozpuścić są przymuszeni“.

Król, pragnąc ratować scenę polską, „rozkazał utrzymywać ciągle Teatr Narodowy, pozwalając aby wszelkie wyniknąć ztąd mogące straty, własny jego Skarb zastępował. O, jak te kilka słów Monarchy wiele kosztowały!“ — mówi z żalem Bogusławski.

Teatr Narodowy został ponownie otwarty. Wystawił nowe sztuki: tragedię „Bewerley“ i dramat „Eugenia“. Owsieński i Truskolaska budzili entuzjam. „Cała Warszawa przez kilka tygodni o tём jedynie rozmawiała“. Sytuacja zmieniła się obecnie: opery włoskie, ciągle te same, sprzykrzyły się publiczności, teatr polski największe przynosił dochody. Ale 4000 zł. pol. wynosząca miesięczna gaźa wszystkich aktorów polskich „niewiadomo czy przez jakie czarodziejskie szkło pomnożona, czyli przez niedoskonałych rachmistrzów mylnie dodawana, do dwóchkroć stu tysięcy złotych Królewskiemu Skarbowi przyniosła uszczerbku“. Król, obrażony nadużyciem swej wspaniałomyślności, odmówił dalszej pomocy. Wszystkie widowiska zostały zamknięte.

Następnym przedsiębiorcą widowisk francuskich, polskich i baletu został były artysta opery francuskiej Montbrun — i tutaj dopiero wchodzi na scenę narodową młodziutki Woyciech Bogusławski. Młody aktor tak pisze o swym dobroczyńcy:

„Ten to, pełen dobroci Przedsiębiorca Montbrun, przy pierwszym zaraz poznaniu powziąwszy ku mnie

niczém niezastużone przywiązanie, ciosy nieprzyjaznej fortuny, które mnie poniewolnie Aktorski stan przybrać przymuszały, dobroczynnością swoją osłodził“.

On to uczył młodego aktora sztuki dramatycznej i muzyki, on zachęcał go do przekładania obcych sztuk na język polski, on był jego opiekunem, nauczycielem i dobroczyńcą.

Posłuszny zachętom Montbruna napisał Bogusławski pierwszą komedię: „Amant Autor i sługa“. Z jego inicjatywy dorobił arie i duety do komedijki Bohomolca „Nędza uszczęśliwiona“ w układzie muzycznym Kamińskiego. Tak oto powstała pierwsza polska opera.

Ale na przedsiębiorcę, aktorów i scenę polską spadło nieszczęście. Teatr mieścił się w wynajętym pałacu ks. Karola Radziwiłła Panie Kochanku, który przebywał w Paryżu. Zdecydowawszy się na powrót do kraju, książe kazał pałac natychmiast opróżnić. W przeciągu kilku dni teatr przestał istnieć, Montbrun zbankrutował, a aktorzy rozpiechli się jak rozpędzone owce.

Dopiero w r. 1788 otrzymuje scena polska własny teatr kosztem 540.000 zł. pol., teatr mały, „wszelakich wygód pozbawiony, bez malarni, składów na dekoracje i ubiory“. W kilka lat później przybudowane Sale Redutowe zastąpiły niedostatek malarni, garderób i sal na próby.

Rok 1779 — to okres pomyślności połączonych teatrów pod kierownictwem nowego przedsiębiorcy — Włocha, nazwiskiem Bizesti. Kamiński komponuje dwie opery: „Prostota cnotliwa“ i „Wiejskie zaloty“, Trembecki przekłada wierszem „Syna marnotrawnego“ Voltaire'a, biskup Krasiecki pisze komedie: „Solenizant“, „Statysta“, „Łgarz“; Zabłocki daje oryginalną komedię „Fircyk w zalotach“. Trwa ten rozkwit niedługo — tylko półtora roku: troje najlepszych aktorów — Truskolascy i Osiński przenoszą się do Lwowa. Teatr upada. Bizesti zrywa umowę z resztą zespołu i z pełną kabzą ogłasza bankructwo. Wówczas to aktorzy, zdradzeni po raz jeszcze jeden, decydują się po raz pierwszy w dziejach polskiego tea-

(Dokończenie na str. 18)

tru stworzyć „Spółnictwo połączone umową” — grają na działu.

Teatr otrzymuje nazwę „Aktorów Narodowych”. Z powodu jednak niesnasek wewnątrz zespołu król wyznacza nowego zwierzchnika — stolnika koronnego Moszyńskiego. Stolnik zaś, chcąc zatrzymać zniechęconego do sceny Bogusławskiego, przedstawia go królowi. „On to, zalecając mnie nieprzestannie względem Iego, tyłu i tak wielkich dobrodziejstw stał się dla mnie sprawcą. Przystałem więc na Iego żądanie.”

Niedoszły dezertor ze sceny wprowadza na niej teraz inowację. Przekłada libretta trzech włoskich oper: „Frascatanca”, „Szkoła zazdrośnych” i „Włoszka w Londynie”, opracowuje partie głosowe z polskimi śpiewakami, sam przygotowuje rolę Fabrycego we „Frascatance” — i wbrew przycinkom i złym wróżbom, wbrew „niespokojności w sercu Monarchy — opera bez pomyłki odśpiewana została”.

Te trzy opery i „Amfitrion” Moliera, pięknie przez Zabłockiego wierszem przełożony, zrobiły furorę i popłaciły długi. Na nieszczęście aktorów i teatru — powodzenie wzbudziło chciwość: widowiska znowu otrzymały nowego przedsiębiorcę, pochodzącego tym razem z jednej z najprzedniejszych rodzin magnackich. Przedsiębiorca ów, zebrawszy ogromne sumy za bilety wstępu, porzucił znowu teatr nie popłaciwszy kilkumiesięcznych gaź aktorom. Bogusławski, mianowany dawniej już przez króla dyrektorem artystów, pozostał na lodzie z głodnymi i zrozpaczonymi aktorami. W tym to krytycznym momencie interwencja „Grafa Moszyńskiego” uratowała teatr z toni: z woli królewskiej miał Bogusławski przejąć na siebie przedsiębiorstwo sceny narodowej wraz z baletem, którego kierownik Curtz miał być jego współnikiem. Monarcha wypłacił z góry dwumiesięczne gaże. W taki to sposób wziął młody aktor na swe barki brzemię, które będzie dźwigał aż do starości.

Repertuar został wzbogacony o nowe włoskie opery „Czekina”, „Don Juan”, „Wieśniaczka u dworu”, przełożono z obcych języków kilka ko-

medii, wystawiono i oryginalną, „przedziwnie narodowe obyczaje malującą Komedję wierszem Wybickiego „Kulig”.

W tym czasie teatr narodowy wyjechał po raz pierwszy w swych dziejach na gościnne występy do Dubna, wezwany tam przez ks. Michała Lubomirskiego na okres trwania sławnych kontraktów dubieńskich. Curtz zdradził jednak polską scenę skoro tylko zawitała do Warszawy opera włoska i przyłączył się do niej; królowi wytłumaczono, że dwóch teatrów — polskiej sceny i baletu — utrzymać równocześnie nie można i że „Scena Narodowa aż do wynalezienia nowego Przedsiębiorcy, zamknięta być musi”.

Część zespołu rozproszyła się tworząc oddzielne teatry w Poznaniu, Lwowie, Lublinie, Wilnie i Nieświeżu, część pozostała przy Bogusławskim wędrując do Grodna i Wilna, „gdzie sądzący Trybunał Litewski wielu zawsze zgromadzał obywateli”. Będąc w Wilnie rozbudował Bogusławski mały teatrzyk w pałacu Oskierczyńskim, przybudowując łożę i galerię, sprawił również nową garderobę gdyż aktorzy byli ogółeni z kostiumów teatralnych, które — jako swą własność — zatrzymywali zawsze przedsiębiorcy, „tak dalece, że każdy po skończonej swojej Antreprzyzie, wychodził znięty (podobnie iak ia) niemając ani iednę parę scenicznego ubioru: chociaż na sprawianie onych, połowę niemal dochodów łożyć potrzeba było”.

W Wilnie to ukazała się po raz pierwszy na scenie polskiej sławna komedia Beaumarchais’go „Wesele Figara”. Prócz tego grano opery: „Filozofowie wrzekomi”, „Wyspa Alezyny”, „Zafira”. Lwów-Wilno-Grodno-Dubno honorowały i hojnie

opłacały zespół, dla którego nie było miejsca w Warszawie.

I oto w r. 1790 doszła Bogusławskiego przysłana do Dubna sztafeta z wyraźnym rozkazem królewskim „abym natychmiast, i z takim iakie z sobą miałem towarzystwem, do Warszawy przyjechał”. Nauczony smutnym doświadczeniem wyjechał on jednak sam do Warszawy wysyłając aktorów do Brześcia. „Zadrżałem stawiając, po pięciu latach niewidzenia, przed dobroczynnym Panem, w którego oczach niezaniebano czarnymi malować mnie farbami. Po uprzejmym powitaniu, „Czuliśmy, że cię tu nie było. Zostań już z nami, a ja niezapomnę o tobie”. — „Te były słowa Iego — słowa zdolne zamienić nayokropniejszą przepaść w Elizejskie pola, dla serca podobnego moiemu!” — pisze nasz historyk teatru. Sprowadził z Brześcia artystów i teatr grał przez kilka miesięcy przed pełną widownią. W maju zamierzał powrócić do Wilna, „kiedy oto niespodziewane zniesienie na Seymie wszelkich Monopoliów, między którymi i wyłączny Przywilej na teatr uchylonym został, odmieniło w iedną chwilę całą postać rzeczy i z dwudziestoletnię niewoli oswobodziło Scenę Narodową. — Wtenczas to dopiero dowiedzieliśmy się prawdziwéy przyczyny tak gwałtownego nas do Warszawy wezwania. Była to boiaźń utracenia Przywileju, czém iuż naówczas zagrażano powszechnie, widząc, że on zamiast służyć za podporę Oczystem, wspomagał tylko obce widowiska: które wywożąc za granicę znaczne bogactwa, niszczyły kary i odbierały sposób utrzymania się rodowitym Artystom”.

Czy wolność ta nie przyszła zbyt późno, aby pomóc scenie polskiej do wspanialszego rozkwitu — rozważymy w następnym odcinku.

Krystyna Brzozowska

**Prosimy
o odnowienie prenumeraty
na rok 1968**

DALEKA DROGA DO ZAMKU

ODKŁADANIE z roku na rok odbudowy całkowicie zniszczonego Zamku Królewskiego w Warszawie, niewątpliwie, nie tylko razi oko każdego turysty trafiającego na pustawy plac Zamkowy, ale drażni i boli każdego Polaka, choć zamek warszawski, w przeciwieństwie do Wawelu, nie był naszym „panteonem“ i świadkiem szczytowej chwały i wielkości Rzeczypospolitej.

By to niezadowolenie złagodzić i przynajmniej przejściowo rozładować, sejm PRL powziął przed kilku laty jednoznacznie manifestacyjną, ale platoniczną uchwałę, że należy ten okazały i pamiątkowy gmach odbudować. Terminu rozpoczęcia prac oczywiście nie określili, by faktycznie decydujących czynników nie kępować. Toteż niezadowolenie trwa i z każdym rokiem rośnie.

Celem wykorzystania tych nastrojów, zawiązał się w Londynie w ubiegłym roku rzekomo politycznie niezależny „Komitet Obywatelski Odbudowy Zamku w Warszawie“, który ma zbierać na ten cel pieniądze po tej stronie żelaznej kurtyny, a de facto, jak o tym świadczy streszczony poniżej artykuł „Życia Warszawy“, ma dostarczać reżymowi warszawskiemu dewizy. Artykuł ten, umieszczony w tym najpoczytniejszym dzienniku naszej stolicy przed kilku tygodniami, powinien otworzyć oczy tym naszym naiwnym sentymentalistom, którzy, nieczuli na palące potrzeby naszego uchodźstwa, są wrażliwi na tak chwytliwe hasła — jak „odbudowa Zamku“ czy „zasilenie Funduszu Olimpijskiego“.

Autorem wspomnianego artykułu był znany architekt i publicysta warszawski — Tadeusz Jankowski. Czy napisał go z inspiracji władz partyjnych czy z własnej inicjatywy, nie wiadomo. Pewne jest natomiast, że znalazł ich aprobatę, bo usprawiedliwił odkładanie podjęcia odbudowy „ad Calendas Graecas“.

Jankowski oczywiście nie kwestionuje słuszności powziętej swego czasu uchwały sejmowej, wykazuje natomiast niemożność wczesnego zrealizowania tego „pium desiderium“. Zresztą nie po raz pierwszy, bo zaraz po jego uchwaleniu zajął podobne stanowisko. Choć niektóre jego argumenty są kontrowersyjne, trzeba przyznać, że per saldo ma rację i co ważniejsze, że ułatwiał reżymowi dalsze odkładanie podjęcia prac rekonstrukcyjnych.

Przypomniawszy na wstępie ogromne osiągnięcia w odbudowie Warszawy (m.i. wybudowanie lub odbudowanie ca 800 tysięcy izb), stwierdza nie bez racji, że mimo to istnieją wciąż jeszcze i sta-

le rosną dotkliwie braki w dziedzinie mieszkaniowej, obsługowej i komunikacyjnej i że „trudno zważyć wszystkie narodowe konieczności, wynikłe bądź z potrzeb życia codziennego, bądź z potrzeb sentymentalnych i historycznych, na barki jednego pokolenia“. Niezbędny jest jakiś kompromis i racjonalny układ kolejności. Obecne pokolenie zrobiło już bardzo dużo i odbudowało znacznie więcej zabytków, niż odbudowano w jakimkolwiek innym kraju: w samej Warszawie około 600 zabytkowych budowli, nie mówiąc o bardzo licznych w Gdańsku, Wrocławiu, Poznaniu, Baranowie, Lublinie itd. Z drugiej strony, trwają bardzo kosztowne prace rekonstrukcyjne lub konserwatorskie na Wawelu, na Starówce krakowskiej, na zamku malborskim, a niebawem rozpocznie się konserwacja i przebudowa zamku w Krasiczynie.

Do tego dochodzi fakt, że odbudowa Zamku w Warszawie będzie jeszcze droższa niż odbudowa i rozbudowa Teatru Wielkiego, pochłonnie ogromne sumy. Zwłaszcza że, jak uczy doświadczenie, wydatki puchną zatrważająco podczas budowy i urządzania tak ogromnego i reprezentacyjnego obiektu i ostatecznie wielokrotnie przewyższają pierwotny kosztorys. W rezultacie podejmowanie już obecnie tak zawrotnie kosztownego dzieła zmusiłoby do poniesienia bodaj wszystkich już podjętych prac i do zrezygnowania z wykonania daleko pilniejszych zamierzeń i zadań.

Podjęmowane zarówno w Polsce jak i wśród Polaków na obczyźnie inicjatywę zbiórkową na odbudowę Zamku, świadczące o przywiązaniu do naszej historii, nie mogą tej odbudowy przyspieszyć. Mogą jedynie kiedyś się przydać, gdy czas rozpoczęcia tej ogromnej pracy nadejdzie, o ile zebrane na ten cel pieniądze zostaną w bankach odłożone, co warto by zrobić.

Ale, jak uczy doświadczenie, tak wielkich przedsięwzięć nie można drogą składek urzeczywistnić. Nawet szeroko zakrojona i efektywna zbiórka może stać się tylko jedną z cegiełek. Gros wydatków musiałoby, jak słusznie stwierdza Jankowski, ponieść państwo. I tylko ono może dać materiały budowlane, ekipy specjalistów, urządzenia wewnątrz itd. A przecież na państwo spada jeszcze obowiązek pilniejszy: zabezpieczenia przed ruiną starych miast i zamków, jak Zamościa, Sandomierza, Krasiczyna i licznych miast i zamków piastowskich na odzyskanych ziemiach zachodnich.

Można z nim spierać się, czy istotnie zabezpieczenie niektórych miast, zamków czy pałaców lub budowa nowych biurów jest pilniejsza niż odbudowa ostatniej krajowej rezydencji naszych królów a później prezydentów. Nie może natomiast ulegać wątpliwości, że podchodzi on do zagadnienia choćby tylko dlatego rzeczowo, że orientuje się w nastawieniu decydujących czynników, których pięciolatka żadnych wydatków na odbudowę warszawskiego Zamku nie przewiduje. Nie zanosi się również na to, by następny plan je uwzględnił. Z różnych powodów, jak Jankowski podkreśla, ta odbudowa nie mogłaby być na x lat rozłożona, tylko musiałaby być w szybkim tempie przeprowadzona, więc obciążenie budżetów rocznych byłoby bardzo zmasowane.

Niech więc ci, którzy chcą koniecznie choćby jedną cegielkę na ich odbudowę złożyć, poczekać ze swoim datkiem do czasu, gdy władze reżymowe lub już niereżymowe zabrają się na serio do realizacji uchwały powziętej przez „sejm“ na zlecenie — partyjnej góry. Nie ma sensu składać już obecnie ofiary, które ani o jeden dzień początku odbudowy nie przyspieszą, zaś w tak zwanym międzyczasie wykorzystane być mogą na zgoda inne i dla naszej sprawy szkodliwe cele. Daleko lepiej złożyć te płynne funty, dolary czy franki na potrzeby uchodźcze, na Skarb Narodowy albo na taką czy inną instytucję czy organizację, które na swą pożyteczną i konieczną działalność potrzebują już teraz pieniędzy, a z żadnego skarbu państwowego otrzymać ich nie mogą.

To samo dotyczy również zbiorów na tak zwany Fundusz Olimpijski. Reżym montuje tę akcję nie tylko celem zdobycia dewiz na obesłanie igrzysk olimpijskich, bo i bez tych zbiorów obsyła licznie wszystkie mistrzostwa świata czy Europy i ze względów propagandowych tak czy inaczej okazały reprezentację do Grenoble i do Meksyku wysłał. Idzie mu raczej o wykorzystanie ucuciowego związania emigracji z sukcesami polskich olimpijczyków dla celów jej zmięczenia lub penetracji. Czy nie lepiej wpłacić ten wdowi grosz na potrzeby naszego emigracyjnego sportu, borykającego się — wobec braku jakichkolwiek pomocy państwowych — z ogromnymi trudnościami a przyczyniającego się walcnie do utrzymania naszej młodzieży przy polskość? Tak skierowana ofiara będzie nie mniej patriotyczna, a z pewnością potrzebniejsza i pożyteczniejsza.

Autorkę tego pamiętnika wiosną roku 1940 Rosjanie wywieźli na zesłkę do Kazachstanu, skąd postanowiła uciec. Niniejszy, siódmy kolejny odcinek opowiada przygody 20-tego dnia podróży w stronę Polski.

DZIEŃ DWUDZIESTY

Obudziły mnie dzieci — stały przy naszej ławce i przyglądały się Jeżykowi. Jeżyk również już nie spał i robił to samo.

Leżałam na ławie pod oknem, okryta starą różową kołdrą. Głowę też miałam wprost na tej twardej ławce i kark mi zdrętwiał. Poduszka leżała obok. Siedział na niej mój synek i ssał paluszek. Spuściłam nogi na ziemię i usiadłam na ławce. Synek natychmiast zsunął się z tej poduszki i znalazł się na moich kolanach.

Wygląd mój przedstawiał się raczej żałośnie: włosy miałam zlepione po tym przemoknięciu i wszystko na mnie było jeszcze wilgotne i bardzo pomięte. Spałam w ubraniu, płaszcz i bucików nie miałam obok siebie.

Mój mały za to był suchy i wesoły jak szczygiełek.

Rezejrzałam się po izbie: milicjanta już nie było, a przy dużym rosyjskim piecu stała stara kobieta i zdejmowała moje podsuszane rzeczy: płaszcz, buciki i dwie chusteczki, którymi owijałam dziecko. W milczeniu przyniosła mi to i podała, a następnie zaczęła się krzątać przy kuchni. Zapachniało gorącym mlekiem. Nalewała je do garnuszków i stawiała na stole, przy którym już siedziało troje dzieci. Nam postawiła w naszym kącie na ławce herbatę z mlekiem, kostkę cukru i bułkę. Sama usiadła przy dzieciach i przyglądała się nam z daleka.

Herbata była bardzo gorąca. Ja czułam się w tym mieszkaniu niezbyt pewnie i ogromnie chciałam znaleźć się znowu na ulicy. Nalałam więc tej herbaty na spodeczek i dmuchałam, żeby ją było można prędzej wypić. Gdy skończyliśmy włożyłam swój płaszcz, wzięłam dziecko oraz swoje rzeczy i podeszłam do starej kobiety przy stole. Powoli i solennie dziękowałam jej za nocleg, za wysuszenie naszych rzeczy, oraz za śniadanie, a najmłodszej dziewczynce podałam pluszowego zajączka, który też z nami wędrował do domu.

Staruszka i te małe dzieci siedziały w milczeniu i słuchały poważnie i bardzo uważnie tego co mówię. Gdy skończyłam, podeszłam do okna i wzięłam mój paszport. Leżał tam gdzie go położyłam wczoraj i wyglądało, że go nikt nie oglądał.

Wczoraj, gdy milicjant wprowadził nas do swego domu i gdy usiadłam na tej ławce pod oknem, to ta staruszka

MARIA WILCZEWSKA

Z KAZACHSTANU

przyniosła nam ciepłą zupę z chlebem, a milicjant dwie stare kołdry i powiedział, że mogą się u nich przespać i wtedy to zapytał mnie o przepustkę. Odpowiedziałam, że mam i wyjęłam ten mój kazachstański paszport. Zamiast mu go podać, położyłam obok siebie na oknie. Nie wziął go wtedy do ręki. Był również przemoczony. Przebierał się właśnie. A potem to widocznie zapomniał.

Pokłoniłam się od progu tej milicjanczej staruszce i z ulgą wyszłam na ulicę z gościnnego domu przedstawiciela sowieckiej władzy. Pozatem ja zupełnie nie mogłam się zorientować jak powinienam się zachować w tej sytuacji, w jakiej się znalazłam — właśnie w takim domu. Oni byli dla mnie ogromnie dobrzy. Tak po Bożemu miłosierni. Wziąć kogoś nieznanego, przemoczonego, i spod płotu w nocy do swego ciepłego i czystego domu, a potem osuszyć, nakarmić i przemocować, nie każdy by to umiał. Inna rzecz, że oni, to znaczy milicjant i jego stara matka byli przekonani, że ja jestem rosyjską kobietą, ubogą zapewne, która właśnie znalazła się w jakichś tarapatkach, ale przebywającą w pasie granicznym legalnie, za przepustką.

Chciałam tej staruszce dać coś bardzo wartościowego, czy też zapłacić za gościnę, bo nie wyglądała zamożnie w tym domu, ale nie śmiałam. Dałam więc tylko tego zajączka.

Szłam teraz prędko, by odejść jak najdalej od tego domu, bo a nuż milicjant powróci i zainteresuje się nami. Dzień był suchy i przenikliwie zimny. Po przejściu kilku ulic, trafiłam na jakąś szeroką, która zaprowadziła mnie na wielki plac, wyglądający jak puste targowisko. Był bardzo zaśmiecony słomą, sieczką i końskim nawozem. W jednym rogu stały trzy dorożki. Konie były ponakrywane i jadły obroki z worków, a furmani stali nieco opodal przy drewnianym płocie i rozmawiali bardzo głośno, wymachując rękoma.

Może kłóć się ze sobą i są pijani — pomyślałam — i starałam się obejść ich z daleka.

Gdy znalazłam się jednak w polu ich widzenia, natychmiast przerwali burliwą rozmowę i jeden z nich zaczął iść dużymi krokami w naszym kierunku. Wielki i gruby, w kożuchu do kostek, przepasany rzemieniem i w czapie nad czerwoną gębą, wyglądał właśnie jak jeden z tych czterdziestu rozbójników od Ali Baby. Gdy doszedł do nas za-

czął krzyczeć głośno, że jego konie są najlepsze ciągnąc mnie za rękaw, żebym wsiadała.

Nawet nie zapytał, czy w ogóle mam zamiar jechać dokądś, a jeżeli tak, to dokąd. Wyglądał na Żyda i mówił też po rosyjsku inaczej niż wszyscy. Był to kamieniecki „bałagula“, rodzaj dorożkarza, który podejmuje się dalszych kursów do sąsiednich miasteczek.

Stanęliśmy przy jego dorożce i on zaczął robić tam miejsce dla nas, usuwając worki i pakunki, które leżały na siedzeniach. Gdy już siedzieliśmy w niej, zaczęła się dyskusja nad tym dokąd chcemy jechać i ile ma to kosztować. Wymieniłam miasteczko nad Zbruczem. On powiedział, że to bardzo daleko i wymienił cenę. Była bardzo wysoka. Gdy wahałam się, wyjaśnił, że dlatego tak dużo kosztuje, bo będziemy sami jechać. W tym kierunku on nie ma żadnych pasażerów.

Zgodziłam się w końcu na jego zdanie i dałam mu z góry połowę umówionej sumy. Spodziewałam się teraz, że zaraz wyruszymy. Tymczasem konie chrupały i chrzęściły tym obrokiem, a on i jego towarzysze krzyczeli do siebie pod tym samym płotem co przedtem. Jeżykowi przykrzyło się siedzieć spokojnie przy mnie, więc dokazywał, złaził i wylaził z tej dorożki, wchodził pod konie i miałam dużo kłopotu z wyciągnięciem go stamtąd. Wreszcie wstał na kozioł, wziął lejce i wyobrażał sobie, że powozi i to go uspokoiło trochę i dało mi chwilę wytchnienia.

Wreszcie konie skończyły, a furman teraz zaczął: poprawiał coś przy uprzęży, poklepywał konie i coś im przygadywał, a potem oglądał koła po kolei i raz jeszcze te worki i pakunki rozmieszczał. Wyraźnie czekał na kogoś.

Zapytałam go wreszcie, dlaczego nie jedziemy. Odpowiedział, że my już jedziemy. To już trwało dobre 20 minut. Ruszyliśmy, gdy na placu pojawił się pierwszy jego krewny. Ten w biegu wskoczył i usiadł przy dorożkarzu na koźle. Dorożkarz wtedy odwrócił się do mnie i wyjaśnił, że to nie jest pasażer tylko jego krewny.

Ten krewny wysiadł na przedmieściu. Poczekaliśmy trochę i następny krewny zajął jego miejsce. I tak „krewni“ zmieniali się. Czasami ich liczba dochodziła do czterech. Siadali wtenczas naprzeciwko nas, lub stali na stopniach pojazdu, bo tak lepiej im było rozmawiać z woźnicą. Koniki nie przemęczały się zbytnio. Jechaliśmy sobie pomalut-

DO DOMU

ku. Pod każdą większą górką przystawały a wtedy furman i jego krewni schodzili z dorożki i szli pieszo kawałek drogi, podpierając dorożkę z tyłu.

Klekot tego pojazdu i szwargot jadących w niej ludzi brzmiał równomiernie i działał nawet usypiająco, więc drzemałam trochę, a synek spał na dobre. Nie rozumiałam ani słowa z tego o czym mówili. Nikt tu się mną nie interesował. Czułam się w tej dorożce całkiem bezpiecznie. Strażników nie spotkaliśmy ani razu. Nasz bałaguta umiał ich unikać, a może to strażnicy sami nie okazywali zainteresowania tym, co i kogo ten człowiek przewozi.

Niebo wypogodziło się zupełnie i z początku jazdy przygrzewało nam słońce, teraz pod wieczór brało na przymrozek. Ja miałam wilgotne buty i wilgotny płaszcz, a do tego dreszcze. Ucieszyłam się więc, gdy zobaczyłam, że już dojeżdżamy. A tymczasem to nie było to miasteczko, ale jakieś inne, a potem przyszedł wieczór.

Krewni i znajomi mego bałaguty ułotnili się i znikł także stos worków i pakunków, który zapełniał dorożkę na początku tej jazdy. Jechałam teraz sama, jak pani, która opłaca sama za siebie całą podróż.

Już była późna noc, gdy furman odwrócił się do mnie i zapytał gdzie ma podjechać. Jakoś nie myślałam o tym. Planowałam po prostu wysiąść gdzieś na początku tego miasteczka nad Zbruczem i pójść od razu w kierunku rzeki.

Noc jednak była bardzo ciemna i miasteczko też ciemne i najbliższa nasza przyszłość wyglądała również tak ciemno. Ogarnął mnie lęk i zachciało mi się bardzo, żeby to ktoś inny musiał przechodzić tę granicę — ale nie ja. Bo ja — to raczej nie nadawałam się wcale do takich wyczynów. Nie dość, że jest ciemna noc i głęboka i mulista rzeka, a w dodatku jeszcze ta granica. Każdej z tych rzeczy z osobna wystarczająco się bałam. A co dopiero wszystkiego naraz. I nagle bardzo zapragnęłam znaleźć się, tak jak wszyscy ludzie, w jakimś domu i tę noc właśnie spędzić jeszcze w ciepłym łóżku.

Odpowiedziałam mu więc, że do zajazdu, a potem dodałam: do żydowskiego zajazdu. „Innego tu nie ma“ — odpowiedział furman i jechał jeszcze jakiś czas, a potem przystanął.

Znaleźliśmy się na dużym podwórzu, gdzie już stały jakieś wozy i konie. Zobaczyłam światelko w jednym małym oknie, a potem drzwi się otworzyły i

pokazało się drugie światelko w tych drzwiach. Lampkę trzymał wysoko bardzo chudy i wysoki człowiek. Zaprowadził nas do pokoju z dużym łóżkiem i małą świeczką. Tam stanęliśmy naprzeciw siebie: miał długą siwą brodę i czarne badawcze oczy. Wyglądał patriarchalnie i nagle poczułam do niego zaufanie, że nie wyda nas i że wskaże mi jutro jakiegoś przemytnika, który pomoże mi przejść tę rzekę. Nazajutrz dopiero okazało się, że pomyliłam się fatalnie.

Tymczasem wypytywał mnie, skąd przyjechałam i do kogo. Odpowiedziałam, że z Kamieńca i do męża, który tu służy w wojsku. To mu wystarczyło i o przepustkę nie zapytał, ale o kolację czy przynieść. Poprosiłam tylko o mleko i bułkę.

Z tym mlekiem przyszła do nas mizerna, o dużych, wyrazistych oczach Żydówka. Była wzrostu dziewczynki i wyglądała młodo. Gdy odwróciła się, by zasłonić okno, zobaczyłam, że jest garbata i nie tak młoda znowu. Powiedziała, że noc jest chłodna i że przyniesie nam jeszcze jedną pierzynę. Przyniosła i to ogromnych rozmiarów, a także, spojrzawszy na dziecko, duży rodzinny nocnik który, jak się potem okazało, odegrał pewną rolę w zajściu, jakie miało miejsce następnego dnia.

Pogadałyśmy trochę na stojąco, gdy tymczasem Jeżyk pił mleko i kruszył bułkę. Potem ona wyszła, a ja położyłam się w te pierzyny, gdzieś aż pod sufitem i starałam się je tak ułożyć, by mi nie udusiły dziecka. W pokoju jest zimno i duszno zarazem i nie mogę zasnąć. Nie lubię małych okienek i nie

lubię spać pod sufitem i nie lubię przechodzić nielegalnie żadnych granic. Jest mi źle, źle, źle. Chętnie bym powróciła do Kazachstanu, żeby to było troszkę bliżej.

Zgasiałam od razu świeczkę, żeby przedej zasnąć. Ale nie pomogło. Patrzyłam więc w małą prostokąt okna, trochę jaśniejszy od ciemności, którą naładowany był ten pokój. Ale nie było tam za oknem niczego, co mogłoby rozjaśnić mrok moich myśli.

Był tylko zimny i wilgotny listopad i pukał suchą gałązką w to okienko, a z nim nieprzyjemna, zagadkowa ciemność i szum wezbranej rzeki. Nie mogłam dłużej leżeć w tym łóżku. Zeskoczyłam i boso, by nikogo nie obudzić, chodziłam po pokoju. Dotykałam mebli, ale byłam nieczuła i martwa i nie mogły mnie pocieszyć. Zbliżyłam się do okna i próbowałam je otworzyć, ale się nie dało. Więc oparłam się o nie i starałam się zobaczyć coś przez nie. Tam za oknem, dość blisko, stało coś i poruszało się. Czasem przesuwało się na inne miejsce, czasem odchyliło się tylko trochę w dół lub do góry lub na boki. I to coś szeleściło właśnie, a ja myślałam, że to szumi rzeka. Zainteresowałam się tym, zachciało mi się sprawdzić, co to tak rusza się przed moim okienkiem. Ale sylwetki zlewały się i długo nie udawało się. Wreszcie odgadłam, że to konie; stały przy wozie i jadły siano lub słomę. A może nawet były to te same koniki, którymi przyjechaliśmy tutaj?

Nie było sensu stać tak przy tym oknie, lub błąkać się boso po pokoju, trafiałam więc do łóżka i znalazłam się znowu pod pierzyną. Jak długo można tak leżeć bezsenne i wyobrażać sobie wszystko co najgorsze? Po największych smutkach i udrczeniach — przychodzi zwykle mocny sen. Obudziłam się późno nazajutrz z potworną migreną. (C.d.n.)

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

KONKURS „ORŁA BIAŁEGO“

Zamieszczamy dalsze dwie prace nadesłane na KONKURS „ORŁA BIAŁEGO“, którego tematem był dzienniczek obejmujący siedem dni dowolnie obranego tygodnia i dający autentyczny obraz myśli i przeżyć.

Po ukazaniu się ostatniego dzienniczka redakcja zwróci się do czytelników z prośbą o wzięcie udziału w głosowaniu korespondencyjnym celem wyróżnienia najlepszej pracy. Autorzy dzienniczków ogłoszonych przez nas drukiem otrzymają normalne honorarium autorskie oraz do wyboru 2 z listy 10 książek. Autor dzienniczka wyróżnionego otrzyma potrójne honorarium.

„SERAFINA“

WŁASNY DOM

CZWARTEK, 10 SIERPNI 19...

DYWANY zwinęte, firanki złożone. Paki naczyń, bielizny, pudła, pudełka — skąd tyle tego nabierało się w moim tułaczym życiu? Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że przechowuję rzeczy, które powinnam dawno wyrzucić, czy spalić. Nie mogę się z nimi rozstać; czy to sentyment, czy obawa, pozostała z lat, kiedy każdy drobiazg i każda rzecz której zabrakło — sprawiała kłopot.

Jeszcze jedna noc — a jutro nowy dom.

Chodzę po pustych pokojach, które wydają mi się takie ogromne; oglądam ściany, które widziały kilka lat mego życia i trochę mi żal. Czy dlatego żal, że to był nasz pierwszy dom? Pierwszy po namiotach, barakach i wynajmowanych pokojach? Czy że zostawiamy tu tyle pracy, poświęconej na jego urządzenie? A może dlatego, że Witusz urodził się i spędził tu swoje pierwsze lata życia?

W nowym domu jest dużo zieleni i ogród i to mnie ogromnie cieszy.

Późno już, ale dziecko spać nie chce z nadmiaru wrażeń. Sprawdza ciągle swoje skarby; czy nie zapomniał, czy — broń Boże — nic nie wyrzuciłam, bo wszystko potrzebne. Ta sama zachłanność co u mnie. Tylko, że ja przechowuję stare rzeczy z potrzeby lub doświadczenia, a on przywiązuje się do przedmiotów tak samo szybko, jak do osób. Ogląda po raz chyba dziesiąty rower, czy naoliwiony, bo tam tyle przestrzeni, tam będzie ścigać się z czasem.

On nie żałuje niczego. Nie oglądając się czeka na JUTRO. A my? Zostawiamy tu cząstkę swego serca.

PIĄTEK, 11 SIERPNI.

Co za ulga, że już po wszystkim, choć meble jeszcze spiętrzone, a walizki i paki wszędzie. Pogoda wspaniała. Chciałabym zostawić to porządkowanie, ułożyć się na trawie i odpocząć trochę. A przede wszystkim zrobić rozkład zajęć. Taki chaos mam w głowie.

Wszystko chciałabym widzieć już tak, jak to sobie w ciągu ostatnich nocy wyobrażałam...

Witka dom nie interesuje, tylko ogród. Dla niego to istna dżungla. Zapuszcza się w zarośnięte ścieżki, przynosi ciągle jakieś figurki, ornamenty, stare pudła z książkami, wyrzucone przez poprzednich właścicieli, nawet stare radio — i znowu gromadzi skarby. Podrapała ręce w gąszczu jeżyny, ale jaki szczęśliwy. Przybiega ciągle z pytaniami. Obiecuję, że jutro. Jutro na wszystko będę odpowiadała, dziś naprawdę nie mogę.

I już wieczór. Dzień przeszedł tak prędko. Mam wrażenie, że gonię za czasem, a on mi ucieka. Nie przypominam sobie, żeby mi go brakło, gdy byłam młoda. Wtedy dłużył mi się ogromnie. Trudno było doczekać się niedzieli, czy jakichś świąt. I wtedy myślałam — jak to będzie? — A dziś? — wspominałam i porównuję z tym — co było. Wydaje mi się, że nie zdążyłam odwrócić kartki kalendarza z dnia na dzień, a to minął tydzień... Zbyt szybko leci czas...

Ten stary krzak bzu rozłożył się nad trawnikiem tak, jak w moim ogrodzie dzieciństwa. Nie ma tu, co prawda, alei jaśminowej, gdzie w taki dzień jak dziś, brzęczały pszczoły, a zapach wdierał się nocą do okien sypialni i spać nie dawał. Nie ma czeremchy, której delikatne kwiaty przypominają mi mimozę. I choć widziałam gaje mimozy w rozkwicie, na południu Francji, — to jedno, jedyne drzewko czeremchy w Kew Garden, rozczuliło mnie kiedyś do łez...

Witek znowu coś ciągnie — amerek. Bez łuku i z bardzo nadwyrażonym nosem, ale ustawimy go gdzieś wśród kwiatów. Oh — i rozbił. Wiedziałałam, że tak będzie; nie uważa co robi. Śpieszy mu się, żeby przedrzeć się przez ten gąszcz do końca ogrodu. Co on spodziewa się tam znaleźć?

Widzę, że pokochał już ten ogród, jak ja kiedyś mój, gdy byłam w jego wieku... Kochałam go na wiosnę, kiedy wiśnie osypywały się takim mnóstwem kwiecica, że ludzie przystawali, kręcąc

głowami z podziwu. Latem za królewskie bogactwo kolorów.

Muszę sprawdzić czy mamy tu piwonie. Wspaniałe, czerwone. Nie pachniały, ale w pamięci kojarzą się zawsze z obrazem mamy. Były jej ulubionymi kwiatami jak i dostojne lilie, które wyobrażałam sobie, że były zakłętymi księżniczkami i nie śmiałam ich nigdy ścinać do wazonów.

Pachnie skoszona trawa z sąsiedniego ogrodu i późno znowu.

Synezku, chodź spać.

SOBOTA, 12 SIERPNI.

Zdecydowaliśmy, że jutro odpoczywamy bez względu na to, jaki będzie dzień. Obiecałam Witusiowi, że on na rowerze, a my pieszo — pójdziemy zwiedzić okolice. Prześliczne domki z bajecznymi wprost ogródkami. O jakies dwieście metrów jest ogromny, na wpół dziki park.

Po zrobieniu zakupów i rozpakowaniu walizek, znowu miałam czas, żeby usiąść w ogrodzie i pomyśleć o tym, jak chciałabym żeby wyglądał za rok.

Witek przybiegał ciągle z pytaniami.

— Czy mogę mieć tu „piesa“? — Psa, dziecinko. Może nie. — Ale kotka możesz mieć.

— Dobrze, niech będzie kotka. — Kotek — poprawiam.

— A może lepiej, jak mamy teraz trzy łóżka — miał na myśli trzy pokoje sypialne — żebym miał siostrzyczkę. — Zobaczmy — odpowiedziałam, myśląc już o herbacie, bo gwizd imbryka dochodził z kuchni.

— To zobacz dobrze, bo ja chcę mieć siostrzyczkę. Może być braciszek. A jak nie masz czasu, to niech będzie kotek — zgodził się w końcu.

I znowu tarosił krzaki i rozmawiał z sobą. Może już wydawał rozkazy zastępom braci i siostr? — nie wiem.

NIEDZIELA, 13 SIERPNI.

Kocham słońce. Wprawia mnie zawsze w wymieniony nastrój. Czasami rozleniwia, ale tu w Anglii nie mamy go tak dużo i nie ma obawy, żeby lenistwo

stało się chroniczne. Powiedziałam sobie, że odkładam wszystkie, ale to wszystkie bez wyjątku prace domowe i rozkoszuję się słońcem.

Tylko, że nie mogę usiedzieć zbyt długo. Na grządce pełno chwastów, a tam zarosnięte trawą truskawki. Zdziaczały. Spróbujemy z młodych pędów posadzić w jesieni nowe. O, Witek gotów do drogi — idziemy na zwiady...

I znowu wieczór. Miodowy zapach dochodzi z powiewem zza płota. To chyba maciejka, och tak, na pewno. Muszę na przyszyły rok posiąć u siebie. Tak, jak tam... w moim ogrodzie dzieciństwa...

Spacerowaliśmy chyba ze trzy godziny. Park imponujący. Piękne drzewa i krzaki kwitnące, tunele rododendronów. Szkoda, że już przekwitły, muszą wspinać się wyżej, na wiosnę. Kasztany takie wysokie, że Witek pytał czy mają kilometr długości. No i trawniki. Trawniki angielskie, których zieleń jest znana na całym świecie. Byliśmy w ogródku skałkowym „Rockery“, gdzie strumyczek spada kaskadami z ułożonych skał w mały stawek, potem po kamykach i cementowych łóżyskach spływa do większego, zarosłego neufarami i trzciną. Staliśmy na mostku, a Witek chciał koniecznie „chociaż jedną“ rybkę do swego akwarium. Ojciec obiecał mu stawek z rybkami w naszym ogrodzie na przyszyły rok.

Przechodząc koło orzecha włoskiego, nie mogłam oprzeć się pokusie, żeby nie zerwać liścia i rozetrzeć go w dłoni. Mama zawsze używała tych wachlarzy do bukietów. Pachniały jakoś gorzkawo, ale nad wyraz orzeźwiająco. Rozgryzaliśmy miąższ orzechów, gdy były jeszcze zielone i cierpkie, żeby zobaczyć czy już dojrzały. Naturalnie, później dowiedziałem się, że gdy dojrzeją, spadają same, a pancerzyk wysycha i czernieje. Zbieraliśmy wtedy orzechy i przechowywaliśmy w przewieszonych woreczkach, aż do Bożego Narodzenia...

— Mama... — obudził mnie z zadumy głos Witusia.

— Czy twój ogród był taki duży jak ten — zatoczył rączką koło, gdy już siedzieliśmy, pijąc ostatnią „cup of tea“.

— Większy — odpowiedziałam. — Może cztery razy większy.

Rozgniewany powiedział, że go okłamuję. Najpierw mówiłam, że miałam ogród, a teraz to wygląda, że miałam „park“ — park — poprawiłam, — A dom? zapytał — czy taki duży jak ten w parku?

Patrzył na mnie z urwisowskim uśmiechem, czekając czy powiem, że miałam taki sam, jak pałacyk na wzgórzu.

— Nie taki duży jak w parku, ale większy niż nasz nowy dom.

— Ale nie ładniejszy? — dopytywał. Zaprzeczyłam.

— To dobrze, bo ten mój jest najładniejszy, ogród największy i powiedz tacie, żeby tych krzaków nie ścinał, bo tam jest gniazdo. Jak te ptaszki się przestraszą i uciekną — to ja ucieknę też — groził.

Kosy wystraszył sam, buszując po zarosłach.

PONIEDZIAŁEK, 14 SIERPNI.

Rano przedstawiłam się swoim najbliższymi sąsiadkami. Wiem, że „umierały“ z ciekawości i podglądały nas zza firanek, od pierwszego dnia. Pani Russel jest bardzo miła. Opowiadała, że spędziła 20 lat swego życia poza granicami Anglii. Wojnę spędziła w obozie internowanych u Japończyków, a więc rozumie nas i, o dziwo, orientuje się dobrze w sytuacji Polaków. Wyrażała ubolewanie, że nie mogliśmy wrócić do Polski, poza tym ma nadzieję, że będziemy miały więcej okazji do rozmowy. Przez płot, bo nasze ogródki sąsiadują ze sobą.

A w południe, kiedy z furią osadnika, karczującego puszcę dziewiczą, ciepłą i wykopywałam korzenie wybujałych roślin, doszedł mnie głos z ogrodu, gdzie siedziały w cieniu inne sąsiadki.

— „Crazy woman — it's far too hot for work“.

Śmiałam się w duchu. Nie wiedziały, że roznosiła mnie radość i szczęście i dlatego musiałam ten nadmiar wyładować w pracy. Ale zmęczyłam się okrutnie.

Ustawiłam Witkowi namiotek. Mam teraz wioskę indiańską, chyba najhałaśliwszego szczepu, bo tyle hałasu robi. Nosi pióra na głowie i tomahawk za pasem i ciągle chce palić ognisko. Obiecałam, że wieczorem, jak przyjdzie ojciec.

Później Witek oświadczył, że jeśli nie może sam zrobić obiadu to musi poszukać *squaw* i uważa, że choć jestem na to już za stara, chwilowo mogę mu gotować, póki nie rozejrzy się w okolicy.

WTOREK, 15 SIERPNI.

Dzielić swój czas między dom i ogród. Na górze, w sypialniach, panuje już jakiś porządek. Na dole — piekło i szatani — jak mówił ojciec, kiedy mamę ogarnął szal porządków wiosennych.

Witek mnie ciągle odrywa od pracy, żądając usług. Wreszcie powiedziałam, żeby mi nie przeszkadzał, bo jestem zajęta.

— Czym zajęta? — chciał wiedzieć. — Powiem tacie, że nie masz czasu dla

swego jedyne dziecko. Zajęta. Tata mówi, że ty nic nigdy nie robisz.

Westchnęłam tylko ciężko. Z mężczyznami nie umiem argumentować.

A wieczorem, kiedy wołałam go do kąpieli, a męża prosiłam, żeby zrobił coś do picia — Witek ze złością powiedział:

— Wykąp raz tatę, bo brudny, a mnie daj spokój.

Oj, syneczku, syneczku...

Rozczulam się zawsze widokiem mego śpiącego dziecka. Przypomina mi aniołka z obrazka, który wisiał nad moim dziecięcym łóżeczkiem.

ŚRODA, 16 SIERPNI.

Dziś dostałam list od mamy. Pyta mnie, czy w tym nowym domu dam sobie radę ze sprzątaniami. Powinnam się szanować, bo nie jestem już młoda... Jak wszystko uporządkujemy i poustawiamy na miejscu — nie będę miała za dużo roboty. I przez chwilę myślałam czy jestem stara, choć wiem, że już młoda nie jestem. Nie może czuć się starą kobieta, która ma małe dziecko. Przynajmniej ja — nie.

Pogoda psuje się. Wygląda na to, że będzie deszcz. Chciałabym przygotować grządkę i posadzić trochę kwiatów, które znalazłam zarosnięte trawą. Deszcz dobrze im zrobi. Mnie też. Zajmę się domem.

CZWARTEK, 17 SIERPNI.

Tydzień minął, jak z bicza trzask. I właściwie nic nie zrobiłam. Czy moi panowie nie mają czasami racji, mówiąc, że nic nie robię? Ale w takim razie kto gotuje, pierze, robi zakupy? W dobre duszki-krasnoludki Konopniczek już nie wierzę. Nawet Witek mówi, że te bajki nie są dla chłopców.

Aha, obiecał zrobić dzwonek u siebie w pokoju, bo nigdy nie słyszy jak go wołam. W ogrodzie mam wywiesić gong, w który mam bić w odpowiedniej chwili. Bardzo mu się taki podobał na wakacjach u „Litwinów“. Wy tłumaczyłam mu, że taka rzecz jest niemożliwa, bo sąsiedzi będą przerażeni i na pewno niezadowoleni z hałasu.

Jest bardzo zajęty przeciąganiem sznurków i drutów. Obawiam się, że zrobi coś wymyślnego, bo wyciągnął wszystkie pokrywki od rondli i wiadro.

Minął już tydzień w naszym nowym domu. Tydzień zamieszania, ale i szczęścia.

~~~~~  
**CZYTAJ  
 POLSKĄ  
 KSIĄŻKĘ!**  
 ~~~~~

WCZEŚNIE rano lecę wielkim odrzutowcem, który zatrzymuje się w Glasgow, a następnie robi skok do Nowego Jorku. Na lotnisko zawiózł mnie Kaute, który wśród swoich rozlicznych zawodów jest również taksówkarzem. W czasie drogi zdążyłem z nim omówić część programu na Kursie Podchorążych. Jest on pełen zapału do pracy wojskowej i dumny ze swej funkcji szefa kursu.

W samolocie gwar i jakaś nieelegancka atmosfera. Okazuje się, że większość pasażerów to Żydzi lecący do Stanów Zjednoczonych. Jest kilku ortodoksów z Cheatham Hill z brodami i w pilśniowych kapeluszach. Harmider potężny jak w warszawskim tramwaju 24 przed Dworcem Wileńskim. To jednak było w innym wcieleniu. Przypomniał mi o tym zresztą mój sąsiad miły starszy pan, który widząc „Dziennik“, zagadał mnie po polsku. Przegadaliśmy cały lot, zresztą bardzo krótki, gdyż po pół godzinie byliśmy już w Prestwick.

— „Włocławek? to było miasto, tam było życie“. Cały czas zachwalał mi ten Włocławek — dziurę nieprawdopodobną według moich ówczesnych wrażeń.

Z Prestwick jadę do Glasgow autobusem koło terenów, na których były w czasie wojny wojskowe obozy. Przeżyłem tu straszne chwile. Na samo Boże Narodzenie dowódca baonu wysłał mnie do obozu repatriacyjnego z ładunkiem różnych nowych sort mundurowych dla żołnierzy baonu wracających do kraju. W obozie atmosfera makabryczna. Musiała działać tam jakaś namiastka „bezpieki“. Zupełnie dobiła mnie Pasterka, na zakończenie której ksiądz odśpiewał modlitwę za Polskę i za... Bieruta (...sługę Twego Bolesława itd...) Potem wszyscy śpiewali prosiąc Boga o pobłogosławienie „wolnej ojczyzny“... Uciekłem stamtąd klnąc i bluźniąc strasznie. W ogóle wspomnienie „beczek śmiechu“ i PKPR to makabra. Nie znalazłbym chyba siły, żeby przeżyć coś podobnego po raz drugi.

W biurze firmy w Glasgow zastaje jakąś panią z Warszawy z „Polimexu“. Przedstawiam się i rozmawiamy o różnych sprawach, a zwłaszcza o warszawskich nowościach. Pani, ćmiąc nieprzytomnie amerykańskie papierosy, poinformowała mnie, że chodziła do najlepszego gimnazjum w Przemysłu, że mówi po niemiecku, że uznaje tylko podróż samolotem, węgierskie wina, prawdziwą kawę itp. itd. Była niesamowicie zaskoczona, gdy na jej pytanie, kiedy wyjechałem z Warszawy, odparłem, że we wrześniu 1939. Nie chciała wierzyć, że od tego czasu nie byłem w Warszawie. W ogóle myślała, że jestem

członkiem jakiejś „delegacji“. Delegacja rzeczywiście przyjeżdża koło południa. Trzej panowie „K“ jak ich tu nazywają, z „Mostostalu“ w sprawie „Puławy II“. Po obiedzie jedziemy na lotnisko i lecimy z powrotem do Manchester. Lokuję moich podopiecznych w hotelu i jadę do domu. Radość wielka, gdyż Sonia nie spodziewała się dziś mego powrotu. Heniuszek jeszcze nie śpi, więc kładę go do łóżeczka i opowiadam, jak zwykle, o tym „jak tatuś był mały — dziś onże „mały tatuś“ był z dziadkiem Zygmuntem na spacerze nad Wisłą. Boże mój, komu ja to opowiadam? Temu małejkiemu chłopczykowi, czy sobie?

WTOREK, 23 MAJA.

Od rana działam jako tłumacz dla moich panów „K“. Coś mi się wydaje, że celem tej „delegacji“ było wyrwanie się zagranicę. Okazuje się, że ci trzej panowie to dyrektorzy „Mostostalu“ (naczelnicy, techniczny, handlowy). Nie mają zupełnie pieniędzy. Informuję o tym dyskretnie firmę, która wypłaca im ciepłą ręką po £15 na głowę. Natychmiast organizuje się wyprawa do Stockport po zakupy. Biegają podnieceni między „Marksem i Spencerem“, „Woolworthem“ i „British Home Stores“. Kupują masę damskich kawalków, jakieś sweterki „polo“(?), trykoty itp. Potem zachwyty nad śrubkami w plastikowych torebkach, „wsadami“ do długopisów itd. Zwracamy wyraźnie uwagę tubylców. Zły jestem i żal mi tych ludzi ogromnie.

Zapraszam panów „K“ do domu na kolację, podobnie jak tyłu ich poprzedników. Podziwiają nasz skromny domek. Przeglądają polskie książki i czasopisma. Języki zaczynają im się rozwiązywać. Narzekają na wszystko i na wszystkich w Polsce, tak że brzmi to niepoważnie. „Ruskami“ gardzą i nienawidzą ich podobnie jak właściwie wszystkich naszych sąsiadów. Ogólne wrażenie po tej nocnej rodaków rozmowie raczej przygnębiające, podobnie jak w tyłu innych wypadkach, których doświadczyłem. O Emigracji, jej celach, działaniu itd. w ogóle pojęcia nie mają i słuchają o tych sprawach z niedowierzaniem. Nie mogli się nadziwić, że nie jestem i nie chcę być brytyjskim obywatelem. Moje argumenty są dla nich zupełnie niezrozumiałe. Wydaje mi się jednak, że trochę „skorupy plugawej“ z nich opadło. Przy pożegnaniu p. K. uściśnął mi mocno rękę i rzekł: „Dziękujemy panu bardzo za tę

KAWAŁEK

kąpiel prawdziwej polskości“. Zwariować można z tymi Polakami.

ŚRODA, 24 MAJA.

W pracy zupełnie urwanie głowy. Z trudem kończę biuletyn handlowy. Telefon do Paryża i do Karlsruhe w sprawach patentowych. To nie moja praca, ale tubylcy, jak zwykle w takich wypadkach, wpadli w panikę i przylecieli do mnie.

W czasie przerwy obiadowej piszę list do Mamusi. Znowu poruszam sprawę jej przyjazdu do nas.

Trzej panowie „K“ wyjeżdżają po południu. Żegnają mnie bardzo serdecznie i obiecują pisać. Wiem doskonale z poprzednich doświadczeń, że nic z tego nie będzie. Powiedziałem im kilka słów patriotyczną drętwotą zalatujących i dałem na pamiątkę odznaki 2 Korpusu. Przyjęli ze wruszeniem. Generał Anders jest zresztą jedyną osobą na emigracji o której coś słyszeli.

Napięcie na Bliskim Wschodzie. Egipt i inne państwa arabskie gotowe do napaści na Izrael. Oczywiście Arabowie nie odważyliby się na to bez zachęty i pomocy Sowieców. W poniedziałek wrócił z Izraela Fred i opowiada dużo o nastrojach wśród Żydów, spokojnych i zdecydowanych bronić się do ostatka. Daj Boże, żeby im się to udało.

Dziś miałem ostatnią lekcję włoskiego w Davenport Institute. Moi uczniowie zrobili mi miłą niespodziankę: ofiarowali mi piękne wieczne pióro.

Powrót autobusem do domu zupełnie mnie wykończył. Zmókłem na Mersey Square, gdyż znowu zaczęło lać. Kłębiły się tam w deszczu jakieś ohydne gromady, wyrostków i dziewczyn w skórzanych kurtkach. Śmierdzą z daleka. Gzili się rycząc i piszcząc koło cuchnącego wychodka na stacji autobusowej. Makabra!

W autobusie próbuję czytać kwietniowe numery „Kultury“ Wilhelmiego. Straszliwa to lektura. Czy to w ogóle można czytać? Wyjątki z pamiętników Berlinga — nic nowego, dorabia sobie legendę do swego postępowania. Na szczęście jest kilka nieznanych wierszy Andrzeja Morsztyna. Szkoda, że w takim towarzystwie.

W domu czeka już na mnie pani K. Prosi ażeby napisał list do „Education Committee“ w sprawie jej Tomka, który zdał egzamin do „grammar school“, ale ma trudności z przyjęciem do wybranej szkoły. Oczywiście piszę, wysłuchując litanii domowych kłopotów po śmierci pana K.

Kolację jem o 11-tej. Marek wylazł z łózka i prosi, żeby mu poprawić francuskie wypracowanie.

W czasie mej nieobecności był gen. K. Zostawił biuletyny Instytutu Józefa Piłsudskiego tudzież przypomnienie o niezapłaconych składkach. Podziwiam jego energię, prawość i godność. Jest już na emeryturze. Dorabia sobie pracą w sklepie. Poza tym poświęca się całkowicie pracy dla Instytutu i opracowuje historię jednego z pułków, którym dowodził.

Chwila oddechu i szczęścia: wieczorna rozmowa z Sonią. Martwię się jej zdrowiem, męczą ją stale bóle głowy. Rysuję dalszą część haftu na sztandarze.

Kilka stron „La campagne de Russie“ do poduszki i to cały mój dzisiejszy odpoczynek.

CZWARTEK, 25 MAJA.

Budzę się z bólem głowy po jakichś ciężkich snach: jestem znowu w Warszawie (jeśli mi się w ogóle coś śni, to tłem tego jest zawsze Warszawa), błądzą po ulicach, szukam Mamusi i Tatusia, biegnę zrozpaczony, płacze, dobijam się do drzwi naszego mieszkania... takie sny mogą człowieka wykończyć. To pewnie skutki późnej kolacji i to obfitej (spaghetti a la carbonara z normalnymi dodatkami, które są specjalnością Soni).

„Wem Gott will rechte Gunst
erweisen
Den schickt Er in die weite Welt“...
(Kogo Bóg łaską chce obdarzyć
Wysłał go w daleki świat...“)

Psiakrew. Chętnie zrezygnowałbym z tej łaski. Byłbym zupełnie zapomniiał w tym pogańskim kraju, że dziś jest Boże Ciało. Ile wspomnień! Procesja na pogańskim rynku, śpiew tłumów, wśród których drepczę przy boku Dziadzia — głos trąb z ratuszowej wieży — chorągwie — wspaniałe ołtarze — szpaler wojska — wzruszenie...

W „Stolicy“ zdjęcia strasznych ryl działaczy politycznych „ludowego“ wojska. Coś tam obchodzą i odznaczenia sobie przypinają. W tym samym numerze makabryczne przemówienie tow. Kociółka do warszawskich harcerzy; jak długo trzeba będzie to wszystko znosić?!

Tyrmand w paryskiej „Kulturze“: „Świat zna prześladowania i zbrodnie komunizmu, ale ma katastrofalnie słabe pojęcie o tym, co komunizm robi z człowiekiem bez prześladowań“.

Gdy wracam z pracy na Chorlton Station czeka na mnie Sonia, piękna jak zawsze i z tym samym uśmiechem, z którym zobaczyłem ją po raz pierwszy przy bramie „della Vecchia“. Było to najpiękniejsze i najszczęśliwsze spotkanie mego biednego życia. Henio śliczny w białym sweterku i białych buciczkach przybiegł do mnie z wyciągniętymi łapkami i zamruczał mi w ucho: „Tatusiu kochany“. Poszliśmy prosto na mszę do miejscowego angielskiego kościoła. Msza w języku angielskim z ciągłym chóralnym odklepywaniem modlitw zupełnie nie do zniesienia. Mowy nie ma, żeby się skupić i modlić.

O 7.45 zbiórka zastępu wędrowników u mnie w domu. Sonia, jak zwykle, przygotowała stos kanapek i sagan kawy. Pochłonęli wszystko. Omawiamy przygotowanie do prób na sprawności III stopnia. Potem mam gawędę z historii wojskowości: opisałem im bitwę pod Obertynem. Wszystko co dotyczy „przewag“ Polaków interesuje ich bardzo. Rozmawialiśmy również i o innych sprawach. Mają masę pytań. Widać, że w domu rodzice nie mogą rozmawiać czy też nie mają czasu na rozmowę z własnymi dziećmi. Nie wiedzą, biedni, ile sobie i im szkody tym wyrządzają. Pamiętam ile zawdzięczam rozmowom z Tatusiem.

List od pana B. z Oldham: proszą mnie o przemówienie na Święto Żołnierza — dobrze, że powiadomili mnie o tym tak wcześniej, gdyż trudno mi będzie w sierpniu wygospodarować jakąś wolną niedzielę.

Po zbiórce do późnej nocy powtarzałem z Zygmutem łacinę i grekę. Mój kochany „Pajaczek“ uczy się dosłownie dzień i noc. Uparł się, że zda 12 przedmiotów na „O-level“, żeby pokazać Angolom. Tego jeszcze nikt w jego szkole nie dokonał. Chciał zdawać 14, ale mu w szkole nie pozwolono.

PIĄTEK, 26 MAJA.

Nasza „buda“ czeka na odnowienie, a ja zupełnie nie mam na to czasu. Sonia od kilku dni maluje boazerię i drzwi w korytarzu.

List od E., a właściwie od Marysi. Zygmut miał rozstrój nerwowy i był w klinice. Z pewnością się przepracował. Ogromnie chciałbym ich zobaczyć — może dałoby się to zrobić w czasie przejazdu przez Szwajcarię do Włoch. Muszę im trochę o nas napisać, tylko kiedy? Z korespondencją nie mogę sobie dać rady.

Pisał również Przemcio z Caracas

(gdzie go tam licho poniosło!) — zdaje się, że skapcał, a pamiętam go jak pięknie przekładał Heinego.

W czasie drogi z pracy do domu rozmowa z mjr. Z. o różnych naszych polskich sprawach. Wyrażam myśl, która od dawna we łbie mi się tłucze: po apokalipsie ostatniej wojny, a zwłaszcza po jej zakończeniu, coś się w nas Polakach złamało; jakaś struna pękła. Nie wiemy jak żyć, jak się zachować wobec problemów, które się na nas zwały. Problemy te przerastają możliwości naszego intelektu i charakteru. Dorabiamy sobie różne legendy, ułatwiające życie. Sprostanie straszliwemu położeniu w jakim znalazł się nasz naród przerasta nasze siły. Błąkamy się w ciemnościach zagęszczając je patriotycznym frazesem. „Rozłazimy się w szwach“ — Szczepcio zareagował swego czasu na podobne wywody po swojemu i ryknął: „A ja mówię, że narodził się Wielki Gówniarz w kraju i na emigracji!“

Po kolacji przechadzka z chłopcami. Sonia zostaje i haftuje sztandar. Na prośby Heniuska poszliśmy do parku i karmiliśmy chlebem kózki, owieczki i dwa małe kangury, które tu skaczą zdziwione po angielskich trawnikach.

Poprawiłem chłopcom zadania domowe z polskiego, potem czytamy trochę „Pana Tadeusza“.

SOBOTA, 27 MAJA.

Prowadzę ostatni próbny egzamin z j. polskiego na poziomie „A“ w szkole sobotniej. Zajęło mi to większość dnia, gdyż natychmiast zabrałem się do poprawiania prac. Sądzę, że kandydatki (mamy w tym roku same dziewczęta) powinny egzamin zdać i to z dobrymi wynikami. Wątpię jednak, żeby pobiły moją zeszłoroczną klasę (3 wyniki grade „A“).

List z Ashton z podziękowaniem za moje gadanie na zebraniu Komitetu Skarbu Narodowego. Jeżdżę tam prawie każdego roku. Ashton to mały, ale bardzo patriotyczny i czynny ośrodek. Nie mają własnego lokalu więc robią zebranie w jakimś okropnym „pubie“. Przychodzą na zebranie często prosto z pracy. Powiedziałem im, że w tym zadymionym „pubie“ jest kawałek Polski, że odczuwam tu więcej szczerzej troski o Nią niż na najwspanialszych akademiach. Patriotyzm, wierność i prawość tych ludzi są wzruszające. Mają ogromne zaufanie do gen. Andersa. Kompromitujące nas rozbicie emigracji (o co w ogóle idzie w tej chwili, gdy całe jedno pokolenie jest na wymarcu?) boli tych ludzi bardzo. Wbrew oczekiwaniom z wielu stron, problem ten

(Ciąg dalszy na str. 26)

nie maleje z czasem ale rośnie i chwilami przyjmuje wręcz dramatyczne formy. Zauważyłem to samo zjawisko w wielu innych ośrodkach. Nigdy nie zapomnę sceny w Ashton, gdy jakiś stary człowiek w kolejarzkiej kurcie wzywał mnie, ażebym na posiedzeniach Rady Jedności Narodowej poruszał tę sprawę i żądał podjęcia energicznej akcji zjednoczeniowej za wszelką cenę, dopóki jeszcze jest czas. „My chcemy umrzeć spokojnie a nie w rozpacz“ — mówił, a łzy płynęły mu po twarzy. „Mamy dość tego rozbicia. Dość mamy tego wstydu. Na czele emigracji mają stać dwa symbole: Prezydent Rzeczypospolitej i Wódz Naczelny“. Cóż ja mogłem mu powiedzieć? Że kiedy próbowałem poruszać ten problem, to raz zostałem dosłownie przepędzony przez panią C. pod pozorem, że mówię nie na temat, a drugi raz spotkałem się prawie że z wrogim milczeniem większości zebranych, tudzież z szuraniami nogami, ostentacyjnym rozkładaniem gazet i złośliwymi „zwischenrufami“ ze strony zwartego bloku S.N. Nic z tego nie będzie. Maciek nad Maćkami miał tylko jedno słowo na określenie skołowanych i tokujących Lechitów... Chciałbym, ażeby prawdziwi sprawcy naszego żalosego rozbicia mogli zobaczyć, tak jak ja, łzy tego starego żołnierza. Niechby im legły na sercu kamieniem młyńskim!

Po powrocie ze szkoły przeglądam masę listów i czasopism. Kiedy ja na to wszystko odpowiem?! Andrzej, facet jest zwykle niesamowity, przysłał z Włoch kartkę z cmentarza wojennego z Loreto, na której napisał: „I żał mi nie tylko materiej...“ („I żał mi tylko matiek...“) (to chyba Niekrasow — a może Puszkina?)

W dalszym ciągu brak listu od Mamusi. Bardzo mnie to martwi.

Po obiedzie (wspaniałe kiełbaski, które przysłała nam ciocia Francesca; poszło do tego tokańskie wino) pomagam Soni zlikwidować kuchenne sprawy, potem Sonia zasiada do haftowania, a ja przeżywam chwile kompletnego szczęścia z Heniuskiem. Czytamy nasze ulubione książeczki: „Lokomotywa“, „Rzepka“ i inne wiersze Tuwima (taki wielki a chwilami był jakiś „ścierkawaty“) potem „Za króla Jelonka“, „Szelmostwa Lisa Witalisa“ i inne arcydzieła Brzechwy. Heniulek siedzi na otomanie przytulony do mnie i czuje po prostu jak wchłania każde słowo.

Chłopcy uprościli pozwolenie pójścia na mecz piłki nożnej — pobiegli bezpośrednio po szkole polskiej.

Przed kolacją wpadł pan K. z prośbą o przetłumaczenie różnych niemieckich papierków w związku z odszkodowaniami.

Wieczorem jadę z Sonią do miasta,

idziemy do kina na „Doktora Żiwago“. Film przyjąłem lepiej niż książkę: zartała się w nim cała ta rosyjska atmosfera biadania, bezwoli i poddawania się złu a równocześnie nie raziły te niezwykle spotkania bohaterów książki, którzy raz po raz natykają się na siebie na bezkresnych obszarach Rosji, jakby to był deptak w małym miasteczku.

Chłopcy śpią. Omawiamy z Sonią nasze położenie finansowe, które jest dość ciężkie. Musimy w przyszłym miesiącu zapłacić £60 podatku. Równocześnie jest masa innych ważnych domowych wydatków, a zwłaszcza trzewiki i ubrania dla Zygmunta i Mareczka. Naprawdę trudno jest nam związać koniec z końcem, mimo że nie mamy żadnych nalogów i nigdy nawet na żadnej zabawie nie byliśmy, zresztą tylko dlatego, że nas to zupełnie nie bawi. Mój płaszcz ma tyle lat co Marek, Sonia koniecznie chce mnie zmusić do tego, ażebym pomyślał o kupnie nowego. Pomyśleć mogę... ale szkoda pieniędzy na kawałek nowego łacha. Jeśli chce się kupować książki, prenumerować czasopisma i w ogóle żyć na jakimś choćby minimalnym poziomie kultury, a także jeśli chce się jadać w sposób cywilizowany) chłopcy zrozumieli w lot różnicę i nigdy nie chcieli jadać szkolnych posiłków), to mój zarobek nawet z dodatkami jest niewystarczający, zwłaszcza przy stale rosnącej drożyznie. Nie są to jednak sprawy istotne, damy sobie jakoś radę. Szkoda czasu na głupstwa.

„C'est me chose inexprimable, affreuse et sainte l'exil“ („Niewyrażalną, straszną i świętą sprawą jest wygnanie“. Trochę chyba przesadził stary romantyk. Nawet mu z tym było wygodnie i do twarzy... Po prostu wypadło pobięgać trochę za cierpiętника.

Próbuję uporządkować trochę książki — trzeba będzie zrobić nową półkę. Przeglądamy z Sonią piękne rzymskie monety otrzymane ostatnio od wuja Umberto.

Wieczorna pogaduszka z Zygmusiem i Markiem dopóki nas Sonia do łózka nie zapędziła. Jesteśmy bardzo szczęśliwi. Dzięki Ci Boże za każdą chwilę.

NIEDZIELA, 28 MAJA.

Pojechaliśmy na mszę św. o 12-ej.

Po mszy niespodziewane i miłe spotkanie z D. z mojej kompanii (słynny to był pijak i awanturnik — ileż to razy musiałem go zomykać). Ucieszyliśmy się ogromnie. Wspominaliśmy wojskowe czasy, a potem spotkanie w kopalni, gdy „mapa się skończyła“. Mieszka koło Derby, założył rodzinę, ale zdaje się, że się specjalnie nie ustatkował.

Załatwiłem z panem M. sprawę składek SPK. Ledwo wyostałem się z sali

parafialnej... Stale ktoś mine napastował z różnymi sprawami.

Popołudnie przeszło spokojnie. Żadnych wizyt rodaków w „ważnych sprawach“. Powtórzyłem z Zygmusiem cześć „Medei“, którą przygotowuje do egzaminu. Słowa Piastunki, które spokojnie mogą odebrać...“ cóż to za błogosławieństwo nie rozstawać się ze swą Ojczyzną“...

Sonia skończyła dziś haft orla na prawej stronie sztandaru. Jest jeszcze masa pracy, ale do października zdążymy. Jest to chyba wpadek bez precedensu: sztandar spalony we wrześniu zostaje odtworzony na emigracji i przekazany spadkobiercom jednostki Sił Zbrojnych Niepodległej Rzeczypospolitej.

Na kolację wspaniałe odsmażone pierogi z mięsem, które Sonia robi według recepty Mamusi. Nasze pierogi to nic innego tylko spolonizowane ravioli (nasze słynne „uszka“ robi się we Włoszech w ten sam sposób tylko, że do rosolu). Ciekawe są uwagi prof. Czekanowskiego o wpływie włoskiej kuchni na naszą i to pewnie od czasów królowej Bony.

Spokojny i szczęśliwy wieczór. Sonia haftuje chłopcy czytają, mały Heniusz bawi się ze swym ulubionym pluszowym kotkiem, a ja wykańczam tłumaczenie dla „Staubu“ a potem zaczynam dla Rolls Royce'a.

Do poduszki zaległe „Wojskowe Przeglądy Historyczne“. Jest w nich wiele ciekawych rzeczy i wartościowych informacji, ale całość może nerwowo wykończyć: np. obok artykułu o Kampanii Wrześniowej — wspomnienia bolszewickiego komisarza idącego na Warszawę w 1920 r., czy też działania „Batalionu Specjalnego“) zrzutkowie sowieccy i „polscy“) na terenie Polski, który ma na sumieniu wielu Polaków, a zwłaszcza żołnierzy AK. Treść odpowiada zresztą składowi komitetu redakcyjnego: „pop“ Bordziłowski — przewodniczący, a wśród członków jest m.in. morderca akowców Grzegorz Korczyński, a równocześnie płk Gliwicz, ongiś dowódca artylerii w Brygadzie Karpackiej. Czy obecność jego w takim towarzystwie jest spowodowana próbą ratowania co się da, przymusem, oportunistycznym, jakimiś złudzeniami, czy też rezygnacją? A może wszystkie te czynniki odgrywają tu rolę. Przypomina mi się fotografia ze „Świata“ (zdaje się z grudnia), na której gen. J. Rómmel, dowódca obrony Warszawy, stoi na baczność przed... Moczarem, który mu komandorię Polonia Restituta przypina. Wszystko już nam się pomieszało... Nie wiadomo, czy płakać, czy wściec się na to wszystko. Szczepcio ma, zdaje się, rację. No i jak tu można spać spokojnie...

NAGRODY REDAKTORSKIE B.D.I.C

DLA GIEDROYCIA i GRYDZEWSKIEGO

NAGRODA im. Anny Godlewskiej, ufundowana przez syna Juliana, przyznawana od roku 1963 pisarzom, tłumaczom oraz zagranicznym przyjacielom Polski i wynosząca w tym roku 3000 franków szwajcarskich, wyróżnia tym razem, po raz pierwszy na obczyźnie, osiągnięcia w dziedzinie wysiłku redakcyjnego i dziennikarsko-publicystycznego.

Jury, zebrane w siedzibie Kiermaszu Książki Polskiej w Solurze, dnia 18 grudnia 1967 w składzie: Konstanty A. Jeleński, Tadeusz Nowakowski, Jerzy Stempowski (przewodniczący) i Kazimierz F. Vincenz (sekretarz), postanowiło jednogłośnie nagrodzić ex aequo: Jerzego Giedroycia, redaktora wydawanego w Paryżu miesięcznika KULTURA i Mieczysława Grydzewskiego, redaktora tygodnika WIADOMOŚCI w Londynie.

Jury przesyła Mieczysławowi Grydzewskiemu najserdeczniejsze życzenia powrotu do zdrowia.

* * *

Słowo napisane przez dziennikarza ma inny okres trwania niż słowo poetów i beletrystów. Norwid liczył na sąd wnuków, Horacy był pewny, że strofy jego są trwalsze od spiżu i będą czytane przez tysiąclecia. Proza dziennikarza trwa tylko jeden dzień, tydzień, w najlepszym razie miesiąc. Nikt nie chce czytać gazety wczorajszej, każdy wyciąga rękę po numer ostatni. Dlatego też proza dzienników znika szybko z naszej pamięci. Nawet po tak sławnym dziennikarzu jak Henri Rochefort, skazanym za „przestępstwa prasowe“ ogółem na 200 lat więzienia i dwukrotnie na karę śmierci, zachowało się tylko kilka zdań, cytowanych najczęściej niedokładnie.

Dlatego ocena periodyków emigracyjnych musi opierać się na ich wpływie na postawę i twórczość emigrantów raczej, niż na poszczególnych tekstach, jak to ma miejsce przy ocenie utworów literackich.

My, emigranci, mamy szczególne powody do życzliwej oceny pracy dziennikarzy. Z opracowania Jana Kowalika w LITERATURZE POLSKIEJ NA OBCZYŹNIE wiemy, że gdziekolwiek znalazła się grupa emigrantów rozporządzająca drukarnią, powielaczem lub chociażby hektografem, powstawało natychmiast wydawnictwo periodyczne. Jan Kowalik wymienia ich przeszło dwa tysiące. Te pospolite ruszenia piszących odpowiadały głębokiej potrzebie rozproszonych Polaków do wzajemnego informowania się i wspólnego poszukiwania drogi w zmieniającym się codziennie obrazie świata. Niektóre z tych periodyków wytrzymały próbę czasu i dotrwały do naszych dni. Dziennikarze emigracji spełnili więc ważne zadanie i praca ich została życzliwie oceniona przez czytelników.

Pisarz tworzy indywidualnie, często w najgłębszej samotności, dziennikarstwo natomiast jest na wszystkich poziomach pracą wybitnie zespołową. Zadania organizacyjne — dobór i nieustanne rozszerzanie zakresu współpracowników, poszukiwanie aktualnych zagadnień i troski administracyjne — pochłaniają często całkowicie kierowników pism, nie zostawiając im czasu na pisanie. W roli organizatora Mieczysław Grydzewski, z wykształcenia historyk i dr filozofii uniwersytetu warszawskiego, był największym ta-

lentem dwudziestolecia niepodległości. Wydawanie przez kilkanaście lat niezależnego tygodnika literackiego, było w Polsce czymś nowym. Nikt inny być może nie zjednał tylu czytelników w literaturze bieżącej. Przeniesienie warszawskich WIADOMOŚCI LITERACKICH do Londynu, utrzymanie ich tam wśród piętrzących się trudności i przystosowanie do nowych zadań jest faktem uderzającym, świadczącym o żywotności i ciągłości polskiej tradycji literackiej.

Talent organizacyjny Jerzego Giedroycia rozwinął się w pełni dopiero na emigracji. Założony przez niego w 1947 w Rzymie i przeniesiony wkrótce do Paryża miesięcznik KULTURA skupił dokoła siebie kilku najwybitniejszych pisarzy emigracji. Dla swoich i dla obcych KULTURA uchodzi dziś, po dwudziestu latach istnienia, za wyraz postawy i myśli politycznej znacznej części emigracji polskiej. Obok KULTURY pod kierownictwem Jerzego Giedroycia powstała też firma wydawnicza INSTYTUT LITERACKI mająca za sobą w tej chwili 151 tomów obejmujących prozę i wiersze, dokumenty, studia socjologiczne i polityczne. Miarą doniosłości KULTURY i jej wydawnictw może być nieprzytomny gniew, jaki wywołują w obozie komunistycznym.

J. S.

ALICJA POMIAN-POŻERSKA

NAJLONOWE SKRZYDŁA

POEZJE

ilustrowane drzeworytami

STEFANA MROŻEWSKIEGO

Słowo wstępne napisał

LEONIDAS DUDAREW OSSEŃSKI

Druk i oprawa graficzna Oficyny Poetów i Malarzy

Stron ponad 235

• 8 drzeworytów

• Cena \$ 4.75

ŚWIĘTA NOC W GRECCIO

MONOTONNY szmer litanii odmawianej przez zakonnice, zakłócały westchnienia i cichy płacz kobiet, leżących na nędznych posłaniach i skulonych z zimna.

Mrok baraku rozjaśniał księżyc, rzucając matową poświatę na zamarznęte szyby, za którymi nie było nic, tylko biała i martwa tundra syberyjska.

Wczoraj o tej porze, kobiety krzątały się jeszcze i podtrzymując ogień w żelaznym piecyku, reperowały smutne szczątki swojej gardaroby, utyskiwały na ciężką pracę, narzekały na chłód i głód. A dziś, w Wieczór Wigilijny, ta przedwczesna cisza była krzykiem rozpacz i straszliwej tęsknoty. Skryte na pryczach, w samotności wyplakiwały swój ból... Był to bowiem rok wojny, wysiedlenia z domów rodzinnych, rok biedy tułaczek.

Skończyła się modlitwa. Z ciemnego kąta baraku popłynęły ciche i drżące słowa — „Bóg się rodzi, moc truchleje...”

Ustał płacz i zamarły westchnienia. Zdawało się, że wzruszenie nie pozwoli kobietom podjąć kolędy. Ale z początku nieśmiało, a potem żywiej podnosiły się z posłań i niepomne zimna zaczynały śpiewać, pragnąc by pieśń ich dotarła do Stóp Małego, by złączyła ich z tymi co pozostali w Kraju, z tymi co walczyli na wszystkich frontach, z tymi w niewoli i przymusowych obozach pracy.

Wśród tej gromady kobiet tylko 15 letnia dziewczynka nie przestawała zanosić się łkaniem. Była to Frania sierota, której domem rodzinnym był sierociniec, a samotne jak ona dzieci i siostry zakonne, jej rodziną i najbliższymi istotami, jakie miała na całym świecie.

W sierpniu 1939 roku, po długiej chorobie wysłano ją na wieś, skąd nie powróciła już do domu, gdyż wybuchła wojna; zaraz potem wywieziona została wraz z właścicielami folwarku na Syberię. Rozdzielona i z tymi przygodnymi opiekunami, znalazła się dalekiej północy, niebożętko przez wszystkich zapomniane i opuszczone... Ale płakała nie z żalu

nad sobą. Płakała nad sierotami, które zostały bez niej i pewno nie miały w tym roku stajenki z Dzieciątkiem.

Siostra Franciszka przytuliła serdecznie dziewczynę i słuchała. Jak ślicznie śpiewały dzieci, jakie miały rozjaśnione szczęściem twarzyczki; widziała te oczy rozradowane i pełne podziwu dla bydłatek, tak zmyślnie ustawionych przez Franię, że wyglądały jak żywe... Frani jest żal, strasznie żal, że nie ma w tym roku Stajenki. Oparła głowę na ramieniu zakonnicy i mówi...

— Żebym była ptaszkiem, przeleciałabym tę śnieżną pustynię i poleciałabym do Krakowa zobaczyć Jasną; potem do Groty w Betlejem, a potem do Greccio... To tam święty Franciszek odtworzył Misterium Narodzenia i zapoczątkował tradycję szopki... Siostro, czy dobrze pamiętam?

Zakonnica przymknęła oczy i zadumała się przez chwilę, a gromadka kobiet otoczyła pryczę, rada słuchać opowiadania.

... Rok był 1223 i święty Franciszek wracał z Rzymu w dolinę Rieti, by spędzić tam święta Bożego Narodzenia. Dolinę tę upodobał sobie już dawno ze względu na łagodniejszy niż w Asyżu klimat i miłych, spokojnych mieszkańców. W miasteczkach Greccio, Rieti i Poggio Bustone, położonych na zboczach górskich oraz w pustelniach braciszków, ukrytych wśród zalesionych wzgórz, miał pełno przyjaciół. Lubił ich odwiedzać i wspierać w potrzebie. A Boże Narodzenie cieszyło go zawsze, bo ze wszystkich świąt było sercu jego najmiłsze. Popadał w zachwycenie, wyobrażając sobie Dzieciątko w ramionach Matki Boskiej, a wizja biednej Stajenki, w której się urodziło, wyciskała łzy z oczu Franciszka. I to nadchodzące święto chciał uczcić w jakiś specjalny sposób, by zostało w pamięci mieszkańców doliny Rieti na zawsze.

Z początkiem grudnia przyszedł do Greccio i odwiedził swego przyjaciela Giovanni Velita, który był właścicielem tych posiadłości. Giovanni nie żałował swoich pieniędzy

dla biednych i potrzebujących. Sam przy tym należał do Zakonu Franciszkanów III Stopnia i czuł się szczęśliwy kiedy mógł innym pomagać. Przed laty zbudował braciszkom sanktuarium na wysokiej górze, która do niego należała. Nie było ono zbyt wygodne, lecz chroniło od wiatrów, a Franciszkowi podobało się jeszcze i dlatego, że roztaczał się stamtąd cudowny widok na całą dolinę Rieti i ośnieżone wierzchołki gór, leżących po przeciwnej stronie doliny. Kwiaty i piękne widoki uważał Franciszek za dary od Boga i wielbił Go za te dary bezustannie. A na tej górze lubił przesiadywać i oparty o karłowatą sosnę, oddawał się medytacjom i modlitwom, a także wspomnieniom Bożego Narodzenia, które spędził kiedyś w Betlejem. Odnosił tam Franciszek wrażenie, że tak blisko Jezusa jeszcze nigdy nie był. Było to niezapomniane wrażenie, które chciał przeżyć raz jeszcze tu w Greccio i dzielił je z mieszkańcami doliny Rietti. Pragnął także, by ludzie wypowiadając słowa „Bóg się nam narodził“ czuli je w głębi serc swoich i by słowa te były aktem uwielbienia, a nie dźwiękiem na ustach tylko. Franciszek wierzył, że wzruszenie jakiego sam doznał na widok żłóbka w Grocie Betlejemskiej — udzieli się wszystkim mieszkańcom Rieti gdy zobaczą stajenkę i zwierzęta, które oddechami swoimi grzały Dziecinę i że w ten sposób łatwiej im będzie zrozumieć Misterium Narodzenia.

Dla urzeczywistnienia swych planów potrzebował pomocy przyjaciela. Giovanni jak zawsze rad był, że Franciszkowi może w czymś pomóc i przyrzekł, że zrobi tak, jak sobie Franciszek życzył. Zbudował więc w pobliżu sanktuarium stajenkę. Ustawił w niej żłóbek i napełnił go sianem, a obok zbudował ołtarz. Postarał się o to, aby w Wieczór Wigilijny w stajence nie zabrakło żywego wołu i osiołka. Wszystkie te przygotowania trzymane były w tajemnicy, by większą była niespodzianka dla tych, którzy przyjdą na nabożeństwo o północy.

Tymczasem Franciszek, ciesząc

się jak dziecko, zawiadamiał mieszkańców doliny Rieti o mającej się odbyć Pasterce przy ołtarzu w sanktuarium w Greccio.

Nadeszła wreszcie noc długo oczekiwana. Mieszkańcy wzgórz, leżących po przeciwnej stronie doliny schodzili w dół, oświetlając drogę latarniami, a mieszkańcy doliny nieśli pochodnie i świece, pnąc się wąskimi ścieżkami w górę, aż wkrótce cała dolina Rieti migotała tysiącami gwiazd, które świeciły nie tylko na niebie ale i na ziemi.

Szły kobiety, mężczyźni i dzieci, radując się niezwykłym wydarzeniem, a idąc śpiewali stare pieśni o Narodzeniu Chrystusa Pana, które w miarę zwiększania się tłumów rozbrzmiewały coraz to potężniej i wzbijały się pod niebiosa. Wyżej na wielkiej polanie czekali już braci-szkowie. Zaczisniej tu było i ciepłej, pachniało żywicą i igliwem, a świece paliły się jaśniejszym płomieniem, oświetlając krzewy i siedzące na gałązkach ptaki, które zawsze zlatywały się do świętego Franciszka. A nad polaną górował zbudowany na skalnym występie i oświetlony świecami ołtarz.

Polana stała się kościołem, a stajenka prezbiterium. Latarnie oświetlały klęczące pokornie tłumy, a św. Franciszek stojąc na stopniach ołtarza mówił kazanie.

Głos miał dźwięczny i słodki, a wzrok natchniony i kiedy powiedział „A Słowo Ciałem się stało i mieszkało między nami...” rozmodlonym ludziom zdawało się, że są pasterzami, którym Bóg łaskawo pozwolił witać Nowonarodzonego. Zaś Franciszek w ekstazie widział Grocie Betlejemską i przeżywał Misterium Narodzenia Bożego na szczycie górskim w Greccio.

Gloria in excelsis Deo... rozbrzmiewało echem po wzgórzach, po lasach. Nicślo się ku dolinom i wszystkim ludziom dobrej woli.

Podbiegunową noc rozpalila zorza polarna, rozjaśniając promieniami wnętrze baraku i ozłociła głowę Frania, opartą na ramieniu siostry Franciszki, która zapatrzona w okno, modliła się zapewne do swego Patrona.

— Gwiazda Betlejemska — szeptała Frania.

Szyby iskrzyły się wszystkim kolorami tęczy, a nadzieją napelnily się serca kobiet.

Janina Oołowska

JAN PEKSYZY

DRZEWIJEJ...

Szósty odcinek szkicu poświęconego przeszłości ziemi i człowieka.

CZĘŚĆ IV

UPADEK KULTURY ŁUŻYCKIEJ

Jednym z najważniejszych wypadków w dziejach ówczesnej Słowiańszczyzny jest prawie zupełny upadek i rozkład kultury Łużyckiej. Najważniejszym powodem tego upadku były najazdy Scytów na tereny środkowej Słowiańszczyzny w dorzeczu Wisły i Odry. Wtedy to uległ zniszczeniu gród Biskupin. Epoka tych najazdów i wojen scytyjskich na przestrzeni około stu lat była okresem nieszczęść i upadku dla Słowiańszczyzny. Po odpłynięciu tej fali, ludność na nowo się organizowała, ale już brakło jej sił na powrót do dawnej świetności i dobrobytu. Większa część osad, a w szczególności grody obronne, legła w gruzach, znaczna część pól uprawnych była opuszczona, część ludności została zabrana przez najeźdźców w niewolę, wielka ilość warstwow produkujących piękną ceramikę, okazałe ozdoby brązowe oraz broń i narzędzia żelazne uległa zniszczeniu, pozostałe zaś ograniczyły się do wytwórczości najprostszyc i najtańszych wyrobów wobec ogólnego zubożenia ludności, a w szczególności jej warstw przodujących, stanowiących dotąd najlepszych odbiorców tych towarów. Ujemne skutki tych najazdów spotęgował jeszcze fakt przecięcia stosunków handlowych naszych ziem z Południem, spowodowany usadowieniem się Celtów na południu Śląska i w Małopolsce Zachodniej.

Pomimo zaniku kultury „Łużyckiej“, ludność tej kultury nie zaginęła. Nastąpiło rozszerzenie się na naszych ziemiach pomorskiego odłamu kultury „Łużyckiej“, w nauce zwanej kulturą wschodnio-pomorską lub kulturą grobów skrzynkowych. Ta odmiana kultury „Łużyckiej“ była właściwa Słowianom nadbałtyckim, a po upadku na ziemiach nad Wisłą i Odrą starej właściwej kultury „Łużyckiej“, i po powstaniu dużych pustkowi po najazdach scy-

tyjskich, „Pomorcy“ częściowo napłynęli do centrum ziem polskich, a większość tych ziem przyjęła ich odłam rodzimej kultury, co było tym łatwiejsze, że mowa ludności tubylczej niewiele lub prawie nic nie różniła się od języka „Pomorców“ pochodzących z tego samego pnia etnicznego.

Pod koniec II-go wieku przed Chr. ludność ziem polskich przyswaja sobie wiele elementów kultur celtyckich. W miarę jednak osłabiania się aktywności Celtów nad Dunajem, kiedy władztwo celtyckie nad środkowym biegiem tej rzeki uległo ostatecznemu załamaniu się, widzimy szybki wzrost cywilizacyjny Słowian Zachodnich, uwydatniający się szczególnie w rozwoju kultury „Przeworskiej“. Wyraźne ślady celtyckie, przynajmniej w zakresie stylu „lateńskiego“, widoczne są także w kulturze „Zarubinieckiej“.

OKRES NAJAZDÓW

Tymczasem, na stepach czarnomorskich, nowe grupy stepowych nomadów Sauromatów (Sarmatów), zaczynają naciskać na osłabionych, w tych czasach Scytów. Ci ostatni ulegli w tej walce i Sarmaci zajęli ich miejsce na stepach Czarnomorskich.

Sarmaci przejęli w dużym stopniu dziedzictwo scytyjskie, ale ich stosunek do świata Hellenów był już inny. Zaczęły się najazdy na greckie miasta nad Morzem Czarnym, i miejsce poprzedniej symbiozy Greków i Scytów, zajął silny antagonizm i wrogość. Z chwilą pojawienia się Sarmatów, związki ludów słowiańskich ze światem kultury greckiej zostały przerwane.

Pojawienie się ludów germańskich na widowni dziejowej Słowian odnosi się do okresu około początków naszej ery. Pojawienie się ich było wywołane splotem wielu przyczyn. Przede wszystkim, w wyniku podbojów na terenie Galii, została tam zniszczona ostoja porządku celtyckiego w Europie. Po zawładnięciu Galią, Rzymianie przypuścili

(Ciąg dalszy na str. 30)

szturm na posiadłości germańskie na wschód od Renu. Na przestrzeni od 4-go roku do 9-go roku po Chr., legiony rzymskie zdobyły terytorium pomiędzy Renem a Łabą. Powstanie antyrzymskie, w podbitej już wcześniej Panonii umożliwiło Germanom oswobodzenie się na ziemiach na wschód od Łaby, po bitwie w lesie Teutoburskim, w 9-ym roku po Chr. W tym też czasie rozpoczęła się wędrówka ludów germańskich po spuściznę celtycką nad środkowym Dunajem.

Pierwszym plemieniem germańskim, które odegrało pewną rolę w dziejach Słowian, byli Gotowie. Ich ojczyzną była środkowa Szwecja. Przez jakiś — niezbyt długi czas — zamieszkiwali oni ujścia Wisły, skąd przesunęli się na stepy czarnomorskie, gdzie stworzyli związek plemion, zwany później „państwem Hermanaryka“. Po krótkim okresie istnienia „państwo“ to stało się lupem Hunów, właśnie nadciągających na ziemie Gotów z Azji. Potężne uderzenie Hunów na Gotów pociągnęło za sobą w krótkim czasie bardzo poważne zmiany w najrozmaitszych dziedzinach życia ludów Europy środkowej i Wschodniej. Jeżeli chodzi o ziemie Polski, to przez Bramę Morawską przenikały na urodzajne połacie Śląska i Małopolski Zachodniej pewne elementy huńskie w ciągu pierwszej połowy V-go wieku. W czasie panowania Attyli, w okolicach Wrocławia i Krakowa, sprawowali rzady jacyś miejscowi zarządcy — może nawet pochodzenia słowiańskiego — ustanowieni tu przez centralne władze Imperium Hunów. Po śmierci Attyli (453 r.), Imperium to, zlepek różnych narodów i religii, rozpadło się. Część Hunów odpłynęła na Wschód, a część pozostała w Europie, zasymilowawszy się, wśród otaczających ich ludów.

Duże znaczenie dla rozwoju społecznego i politycznego plemion słowiańskich miały właśnie te niepokoje i wędrówkę różnych plemion i ludów przez ziemie Słowian. Zaczęły powstawać organizacje państwowe typu terytorialnego. Jedne z nich były bogatsze i lepiej rozwinięte, inne zaś słabsze ekonomicznie i organizacyjnie.

Związki te powstawały najczęściej w gorących czasach rozmaitych wo-

jen — zaczepnych lub obronnych. Jedną z takich typowych „federacji“ był związek plemienny Antów, u Słowian Wschodnich. Jeżeli chodzi właśnie o Antów, to ich położenie geograficzne było raczej niekorzystne. Znajdowali się oni w konieczności utrzymywania stałego pogotowia obronności, początkowo przeciw Scytom i Sarmatom, a później przeciw innym ludom koczowniczym napływającym z Azji na stepy Czarnomorskie, oraz także przeciwko germańskim Gotom. Tym zapewne tłumaczyć należy fakt, że pośród wszystkich ludów słowiańskich, w obrębie kultury Zarubinieckiej, w tych czasach, tylko na terytorium Słowian Wschodnich występowały osady obronne. Począwszy od II-go wieku osady obronne zanikają na terenach związku Antów, zwłaszcza w południowej ich części. Zjawisko to jest prawdopodobnie odzwierciedleniem większej prężności gospodarczej i organizacyjnej tych plemion oraz początków ich penetracji w kierunku południowym, w dorzeczu dolnego Dniepru. Nastąpiło rozwinięcie się kultury zarubinieckiej i przejście jej w kulturę Czerniachowską.

Ogólny poziom kultury Czerniachowskiej jest podobny do kultury Wenedzkiej (specjalnie tej grupy „Przeworskiej“) południowej Polski, z jej warsztatami ceramiki toczonej na kole („siwej“ z tłustej gliny, o szorstkiej powierzchni), i jej rozwiniętą metalurgią żelaza. Badania osad i cmentarzysk kultury Czerniachowskiej na terytoriach leśno-stepowych i stepowych Ukrainy, wskazują że następowała tu pokojowa sławizacja grup sarmackich i alańskich koczowników, przechodzących częściowo lub całkowicie na życie osiadłe.

Po Hunach, drugim ludem koczowniczym, który wywarł duży wpływ na część ludów słowiańskich, tak jako ich sprzymierzeńców, jak i ciemiężycieli, byli Awarowie, lud pochodzenia mongolskiego, który pojawił się w Europie w połowie VI-go wieku. Parli oni na Zachód i dotarli aż do Turynii. W marszu swym w kierunku Renu zostali zatrzymani przez Franków, pod wodzą Siegieberta, pobici i zmuszeni do wycofania się z terenów państwa Franków. Osiedlili się oni w Panonii,

dzisiejszych zachodnich Węgrzech. Toczyli oni ze zmiennym szczęściem szereg wojen z Bizancjum i państwem Franków. I to byli właśnie Awarowie, którzy otworzyli drogę migracjom słowiańskim na Bałkany. Złamali oni bowiem opór jaki stawiało Bizancjum penetracjom Słowian na południowy brzeg Dunaju. Panowanie Awarów nad Słowianami w Panonii i na Morawach nie trwało długo. W 623 roku Słowianie powstali przeciwko Awarom, pobili ich i utworzyli własne państwo słowiańskie, tzw. w historii „Państwo Samona“ od nazwiska bogatego kupca frankońskiego Samo, który finansował to powstanie i pomagał Słowianom radami co do sposobu prowadzenia wojny, i dzięki stosunkom kupców frankońskich w Europie ówczesnej, miał doskonałe wiadomości o ruchach Awarów, co walnie też przyczyniło się do ich rozgromienia przez Słowian. Samo, po klęsce Awarów, został przez Słowian wybrany wodzem i głową ich państwa.

Wpływ kulturalny Awarów na Słowian zaznacza się szczególnie w dziedzinie wojskowej, gdzie Słowianie przejęli od Awarów wiele typów uzbrojenia, wyposażenia (np. rząd koński) oraz sposoby walki i organizacji wojskowej. Awarowie zaś wzięli od Słowian wiele nazw przedmiotów użytku domowego.

W archeologii, tę kulturę mieszaną słowiańsko-awarską, określa się mianem kultury Keszteleskiej, od m. Kesthely, nad Balatonem, gdzie znaleziono największe i najcharakterystyczniejsze cmentarzysko tej kultury; jej początek przypada na 560-570 r., a koniec na początek IX-go wieku. Kultura ta oznacza się wysoko rozwiniętą metalurgią, zwłaszcza brązu; w sztuce przeważają elementy motywów zwierzęcych, roślinnych i geometrycznych. Na cmentarzyskach grzebano wspólnie Awarów i Słowian.

Około 630 roku potęga Awarów poczyną słabnąć. Do ostatecznego upadku ich organizacji państwowej dochodzi w 796 r., kiedy syn Karola Wielkiego, Pepin, dotarł do centrum władzy Awarów (ich stolicy), i zniszczył ją kompletnie. Wtedy to najwyższy „chagan“ awarski, noszący

(Dokończenie obok)

FRANCJA. Mimo ponownego zmniejszenia liczebnego stanu sił zbrojnych (do 572.000) nowy preliminarz budżetowy przewiduje wzrost kredytów resortu obrony i to z 23.515 milionów franków do blisko 25.000 milionów. Oczywiście, tylko dlatego, że wydatki na „force de frappe“, tzn. bronie niekonwencjonalne, które w bieżącym roku budżetowym wyniosły tylko 5.500 milionów, wzrastają gwałtownie i stanowią aż 27% całego budżetu resortu obrony. W związku z tym tempo unowocześnienia konwencjonalnego sprzętu wojska ulegnie dodatkowemu zwolnieniu.

Głośny i bardzo kontrowersyjny artykuł generała Aillereta, szefa sztabu całości sił zbrojnych, umieszczony niedawno w „Revue de defence nationale“, wywołał liczne repliki nie tylko w międzynarodowej, ale także w francuskiej prasie Najspokojniejszą, ale równocześnie najmocniejszą odprawę jego autorowi dał bodaj b. ambasador francuski w Berlinie, Francois Poncet, na łamach „Figaro“ z 8 grudnia ub.r. Jak wiadomo, gen. Ailleret wypowiedział się

tytuł „Tudun“, przyjął chrzest i poddał się władzy króla Franków. W kronikach frankońskich z r. 805-go występuje nowy „Tudun“ awarski, imieniem Teodor. Obszar państwa Awarów w tym czasie jest już dużo mniejszy niż w czasach poprzednich, zajmuje już tylko tereny pomiędzy Rabą a Dunajem. Stopniowo jednak Słowianie osadzają się pomiędzy ludnością awarską, sławizują tę ludność, a resztę wypierają z tych ziem.

Ostatnim „Tudunem“ Awarów był niejaki Abraham; jego częste targi z książętami słowiańskimi doprowadzają do częstych interwencji królów frankońskich. Ostatnim śladem Awarów w historii jest wzmianka w kronikach frankońskich o wezwaniu Abrahama i kilku książąt słowiańskich na dwór cesarski, w 811 roku, dla rozstrzygnięcia jakiegoś sporu.

Po tym zanikają już wszelkie wzmianki o Awarach. Nic już o nich w kronikach europejskich; niedługo potem już tylko w legendach i opowieściach ludowych pozostała mglista pamięć o tym ludzie.

Jan Pększyc

zarówno za wystąpieniem Francji także z sojuszu atlantyckiego, jak i za stworzeniem takiego narodowego odstraszaka, który da Francji pełną swobodę we wszystkich „azymutach“. Postulaty te „uzasadnił“ tym, że prawdopodobieństwo agresji sowieckiej zmalało niemal do zera, że nie ma już wroga głównego i jedyne i że system atlantycki doprowadził do integracji i dominacji Ameryki, która mogłaby wciągnąć Francję do niedopowiedzianej wojny. Francois Poncet zakwestionował te tezy i postulaty w całości, przypominając nie tylko ponowne zwiększenie wysiłku zbrojeniowego Sowieców i ich wciskanie się na Morze Śródziemne i do świata arabskiego. Przypomniał także, że Francja odgrywała w NATO ważną rolę i nigdy nie była ani przez Amerykę, ani przez większość sojuszników do czegoś zmuszona czy do wojny w Wietnamie wciągnięta. Zaś w zakończeniu słusznie podkreślił, że izolowany odstraszak francuski nikogo nie odstraszy, zwłaszcza wobec zupełnego zaniedbania francuskiej obrony bierniej. Istotnie, nawet po osiągnięciu potęgi 30 megaton, planowanej przez ministra obrony Messmera, francuska „force de frappe“ będzie zaledwie ułameczkiem apokaliptycznych możliwości amerykańskich czy sowieckich, zaś bezpośredni sąsiedzi Francji, nawet wschodni, na razie o zaatakowaniu Francji nie myślą i myśleć nie mogą. Tymczasem komunizm bynajmniej nie rezygnuje z podboju świata takimi czy innymi sposobami, a przygotowanie Francji do obrony we wszystkich „azymutach“, tzn. na wszystkich kierunkach, jest tak czy inaczej niewykonalne. Toteż Francois Poncet przypomina słusznie stare przysłowie: „Zgoda buduje, niezgoda rujnuje“.

Forsowanie rozbudowy „force de frappe“ odbija się hamująco nie tylko, jak już wspomniałem, na modernizacji wojska, ale także lotnictwa. Dowodem tego m.in. zapowiedź ministra Messmera odłożenia budowy wojskowej wersji „Mirage G“, samolotu o przesuwalnych skrzydłach, poza rok 1970, choć jego prototyp odbył w październiku pierwszy lot przy szybkości 1.1 Mach, czyli o 50% mniejszej niż planowana, i wykazał kapitalne właściwości stratowe. Za to zapadła już decyzja budowania czwartego atomowego okrętu podwodnego, uzbrojonego w dalekonośne rakiety, i przebąkuje się o ewentualnej budowie piątego.

POLSKA. Inspektorat lotnictwa i dowództwo lotnictwa operacyjnego zostały ostatnio złączone w jedno „dowódz-

two wojsk lotniczych“, na którego czele stanął dotychczasowy inspektor lotnictwa, gen. dyw. J. Raczkowski. Jego m.p. jest Poznań.

Z okazji 20-lecia istnienia Akademii Sztabu Generalnego udekorował „marszałek Polski“ Spychalski jej sztandar orderem „Sztandaru Pracy“ I klasy. Przy tej okazji wygłosił rekordowo dretwą mowę, naszpikowaną wyświechtanymi frazesami, napaściami na „pro-imperialistyczną“ Polskę przedwojenną i gołostownymi przechwałkami na temat rzekomo doniosłego wkładu Akademii do wykuwania nowoczesnej doktryny strategicznej i taktycznej „w oparciu o braterstwo broni z niezłomną armią radziecką“. Że ta „niezłomna“ armia została rozbita w 1920 roku przez nie-naukowo prowadzone wojska polskie, a w 1939 roku przyspieszyła naszą klęskę w sojuszu z hitlerowskim napastnikiem, oczywiście przemilczał.

Nieco wcześniej, bo w rocznicę wybuchu powstania listopadowego. Spychalski inaugurował nowy rok akademicki szkół oficerskich nieco krótszym przemówieniem w „wyższej szkole oficerskiej“ wojsk zmechanizowanych we Wrocławiu, która jest de facto najstarszą podchorążówką Ludowego Pojska Polskiego. W uroczystości tej wzięła udział także podchorążówka wojsk inżynieryjnych, mieszcząca się także we Wrocławiu. Pozostałe szkoły podchorążych, m.i. wojsk raketowych i artylerii w Toruniu, wojsk pancernych w Poznaniu, wojsk obrony plot. w Koszalinie, wojsk chemicznych w Krakowie itd., inaugurowały nowy rok nauki u siebie. Wszystkie te podchorążówki otrzymały statut „wyższych uczelni“, bo tytułomania idzie w obecnej Polsce w zawody z orderomanią i pomnikomanią.

Pod koniec listopada przybył do Polski z kilkudniową wizytą szef szwajcarskiego sztabu generalnego, pułkownik korpusu Gygli — jako gość jego polskiego odpowiednika, gen. dyw. Jaruzelskiego.

Wydawnicza wydajność M. O. N. jest zaiste rekordowa. W 1966 roku wydało ono 262 książek i broszur o łącznym nakładzie 16 milionów egz.

Kage

**Dobry uczynek —
zachęcić przyjaciela
do prenumerowania
„ORLA BIAŁEGO“**

ZJAZD SPK WE FRANCJI

3 grudnia odbył się w Paryżu IX walny zjazd delegatów kół SPK. Obradom przewodniczył kol. A. Barański.

Prezesem Zarządu SPK Francja na nową kadencję został ponownie wybrany płk Marian Czarnecki. Członkowie Zarządu: Cz. Chowaniec, S. Domański, Jadwiga Nomarska, S. Paczyński, T. Parczewski i K. Szabelski.

Zjazd uchwalił następującą rezolucję:

1. Walny Zjazd składa hołd Prymasowi Polski J. E. Księdzu Kardynałowi S. Wyszyńskiemu, wyraziłemu najistotniejszych dążeń narodu polskiego.
2. Walny Zjazd zapewni naród polski, że polscy kombatanci na emigracji nie ustaną w swej walce o wolną, niepodległą i demokratyczną Polskę, że pozostają wierni ideałom Polski Tysiąclecia.
3. Zjazd wzywa władze SPK we Francji do stałej czujności wobec akcji reżymowej, do stałego badania metod działania aparatu reżymowego do walki z emigracją oraz do regularnego informowania kół SPK w tym zakresie.
4. Kolejne emigracje polskie już od dwóch wieków przechodziły takie czy inne kryzysy. Nasza emigracja także nie jest wolna od tego rodzaju przesilen. Walny Zjazd, świadomy tego stanu rzeczy, przypomina przejściowość tych zjawisk i wzywa wszystkich członków SPK do wytrwania i nieulegania słabościom chwili.
5. Historia nasza poucza, że wschodnie granice Polski są granicami cywilizacji zachodniej. Zjazd przypomina tę prawdę nie zapominając o nienaruszalności granic zachodnich, wytyczonych przez Bolesława Chrobrego.
6. W walce o swoje cele polscy kombatanci we Francji widzą w Generale Andersie swego przywódcę, wyraziłcia najistotniejszych dążeń emigracji.

ZEBRANIE

STOW. POLSKIEJ KULTURY W AUSTRII

23 listopada odbyło się we Wiedniu zebranie członków Stowarzyszenia Polskiej Kultury, na którym wybrano Zarząd: J. Kamiński — prezes, dr K. Wiż — wiceprezes, A.J. Chilecki — sekretarz, J. Wandel — skarbnik, A. Ballo, T. Kogut i E. Roland — członkowie Zarządu.

Z ŻYCIA KOŁA SPK W SAO PAULO

Na walnym zebraniu Samodzielnego Koła wybrano Zarząd w następującym składzie: Prezes — J. Wieliczka, wice-

Z ŻYCIA POLSKIEGO

prezesi — J. Kozak i A. Strojnowski, sekretarze — W. Sobierajski i W. Stypułkowski, skarbnicy — E. Zimand i E. Przytuła.

Koło posiada własny lokal na zebrania. W ub. roku brało czynny udział w polskim życiu zbiorowym. Zarząd czyni starania o przyznanie b. żołnierzom praw kombatanckich na równi z kombatantami brazylijskimi. Koło posiada Fundusz Pomocy Koleżeńskiej. Ostatnio w Sao Paulo utworzona została Rada Organizacji Wolnych Polaków, w której Koło SPK odgrywa aktywną rolę.

POMNIK JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W RIO DE JANEIRO

18 grudnia 1967 został odsłonięty pomnik Józefa Piłsudskiego — dar Polaków dla miasta Rio de Janeiro. Odsłonięcia dokonał Gubernator Stanu Guanabara, ambasador Francisco Negro de Lima w otoczeniu władz stanowych, attache USA i W. Brytanii, reprezentantów armii, duchowieństwa, delegacji stowarzyszeń kombatanckich Brazylii, Francji, Belgii, W. Brytanii oraz organizacji polskich z pocztami sztandarowymi. W uroczystości wzięła także rodzina Marszałka, mianowicie Anatol i Juliusz Piłsudscy, mieszkający w Rio od roku 1927.

Ze strony polskiej przemówienia wygłosili: Janusz Pawełkiewicz — prezes miejscowego Koła SPK oraz Roman Skowroński — prezes Tow. „Polonia“. Przemawiał również Gubernator Negro de Lima.

OBCHÓD STULECIA URODZIN JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W MELBOURNE

Dnia 26 listopada 1967 r. odbyła się w Melbourne uroczysta Akademia ku uczczeniu setnej rocznicy urodzin Józefa Piłsudskiego.

Trzeba przyznać, że Międzyorganizacyjny Komitet tego obchodu zadał sobie dużo trudu, aby dać imprezę niebanalną i na dobrym poziomie artystycznym.

Program rozpoczął się odegraniem i odśpiewaniem polskiego hymnu Narodowego, po czym powitał zebranych i słowo wstępne wygłosił prezes miejscowego Koła S.P.K., inż. S. Różycki. Jak wynikało z tego powitania, na sali znalazło się aż czterech byłych żołnierzy 1. Brygady. Zważywszy, że każdy „stary Legun“ jest już naprawdę stary, bo musi mieć od 70-tki w górę, zgro-

madzenie ich aż czterech w dalekim australijskim mieście było nie lada osiągnięciem. Z drugiej strony, świadczy to, że stare wiarusy nie żałują fadygi ani pieniędzy (jeden przyjechał aż z Sydney), na to aby zobaczyć czy usłyszeć o czymś, co przypomina szczęśliwe lata ziszczonych nadziei. Dekoracje i kostiumy były tak dobrze zrobione, że starzy żołnierze mieli zupełne złudzenie, że czas cofnął się o przeszło pół wieku i że widzą siebie na biwaku nad Nidą, Styrem czy Stochodem. A młodemu pokoleniu, które — czy to ze starej emigracji, czy ze świeżo przybyłych z Kraju — wie tak mało o Piłsudskim, ten obchód dał obraz tego czym był dla Polski Wielki Marszałek.

Główny trud a zarazem zasługą urządzania tej imprezy spada na barki p. Z. Zdanowicza, który z wielką starannością opracował teksty, dał oprawę muzyczną i inscenizację. Świetnie prezentowała się 6 strzelców ubranych w mundury legionowe. Toteż piosenki w ich wykonaniu wypadły bardzo przekonująco.

Obrazy z życia Józefa Piłsudskiego były inscenizowane w odpowiednich chwilach przerw w narracji przez mecenasa T. Małynicza, który opisywał najważniejsze epizody z bogatego życia Marszałka. Począwszy od rozmowy Ziuka z ukochaną Matką w Wilnie, poprzez obrazki z życia Legionów, a skończywszy na scenach obrazujących klasyczne powiedzenia i myśli Piłsudskiego — p. Zdanowicz przedstawił wybranym najważniejsze etapy z życia Marszałka.

Dekoracje wykonał pracowicie i wspanoręcznie p. J. Langhammer, a kostiumy szyły panie: N. Siedlecka i M. Drzymulska. Scenę zdobiło popiersie Józefa Piłsudskiego, rzeźba wykonana i ofiarowana przez p. A. Rzęką.

Widać było duży wkład pracy organizatorów i należy się wdzięczność temu niewielkiemu zespołowi ludzi, którzy się podjęli przygotowania tej imprezy i dali ją na najlepszym poziomie.

Wypełniona po brzegi duża sala była najlepszym dowodem zainteresowania Polonii Melbourneńskiej tym tematem, a zarazem chęci oddania hołdu pamięci Wielkiego Marszałka.

Tadeusz Saryusz-Bielski

TABLICA KU CZCI I. MOŚCICKIEGO

W stulecie urodzin prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego nastąpiło odsłonięcie tablicy pamiątkowej w hallu uniwersytetu we Fryburgu. Odsłonięcia dokonała wdowa po Prezydencie p. Maria Mościcka, która wygłosiła przemówienie.

(Dokończenie obok)

PRZEWAŻNIE DLA PAŃ

DZIECIŃSTWO SWIETLANY

O KSIĄŻCE Swietlany Stalin „Dwa-dzieścia listów do Przyjaciela“ napisano z pewnością więcej rozbiorów literackich, politycznych rozważań, krytyk i esejów, niż o jakiegokolwiek innej książce ostatniego dziesięciolecia. W naszym kąci dla pań nie ma miejsca na literackie, psychologiczne czy polityczne oceny tej książki — której wciąż mimo, że szereg miesięcy upłynęło od jej wydania, nie można otrzymać w bibliotekach publicznych — gdyż oceny takie należą do działu recenzowania książek. Warto natomiast wrócić uwagę na pewien fakt, który — o ile wiadomo — uszedł uwadze recenzentów, może dlatego, że gros ich było mężczyznami.

Otóż w pierwszych rozdziałach swej książki Swietlana Stalin wspomina uparcie, z uczuciem tęsknoty i miłości, wdzięczności i żalu, iż trwały tak krótko — pierwsze sześć lat swego życia. Wspomina na przykład beztróskie grzybobranie w podmoskiewskich lasach i pocałunek matki na dobranoc. Wspomina więc rzeczy jak najbardziej zwyczajne, które winny być udziałem każdego dziecka na świecie, a ze wspomnień tych wytwarza dla samej siebie tarczę ochronną przed tym co miało ją później spotkać. Daje ona uważnemu czytelnikowi jej wspomnień do zrozumienia, że owych pierwszych sześć lat jej dzieciństwa stało się dla niej drogowskazem dla zdobycia własnej etyki, oraz do wiary w istnienie Boga.

W każdej kobiecie wolnej obraz tych lat szczęścia Swietlanej budzi ogromny smutek. Bo jakże ubogie w uczucia były te lata naprawdę! Surowa matka Swietlany nie miała czasu dla swoich dzieci: czas jej wypełniały polityczne zgromadzenia, polityczne nauki i polityczne rozgrywki. Dobroć żony Stalina wydaje się nam, wbrew zamierzeniom autorki — bardzo problematyczna, a jej stosunek do własnych dzieci niemal bezlitosny. Jeżeli więc owe zwyczajne, rzadkie w tym kręgu rodzinnym, dzie-

jące radości, owo niezmiernie ubogie ciepło życia rodzinnego wydają się bystrej autorce „Listów“ aż tak bezcennym skarbem, to dochodzimy do wniosku, że nasze sowieckie siostry zostały przez system komunistyczny odarte nawet z tych wartości duchowych, które są przywilejem każdego najbiedniejszego nawet członka wolnego społeczeństwa. Dysproporcja rodzinnego ideału w książce Swietlanej jest tak olbrzymia w porównaniu z instynktownymi potrzebami najciemniejszej nawet katalońskiej chłopki, czy greckiej góralki, iż motyw ten wybija się na pierwsze miejsce przy lekturze książki. Dla myślącej czytelniczki to właśnie stanowi najcenniejsze odkrycie, to jest rewelacją tych wspomnień i to najbardziej pobudza do myślenia.

MATKA OSKARA WILDE'A

Lata dzieciinne, wpływ matki, a dawna uznane przez współczesną psychologię za za kamienie milowe w rozwoju postępowania człowieka. Czasami źle pojęta miłość do dziecka doprowadzić może do katastrofy w jego dorosłym życiu. Przykładem i przestrożą może być tutaj postać matki Oscara Wilde'a, tego wielkiego dramaturga i pisarza irlandzkiego, a jego „odrodzenie sceniczne“ możemy obserwować w londyńskich teatrach, które od początku teatralnego sezonu wznowiły szereg jego sztuk.

Matka Oscara, Speranza Wilde, wierzyła święcie, że pochodzi od Dantego, chociaż nie miała na to najmniejszych dowodów. Pisywała kiepskie wiersze w literackich miesięcznikach Dublina, miała wygląd amazonki, a suknie jej, usiane błyskotliwymi ozdobami, budziły wesołość dublińskiej gawiedzi. Mając olbrzymie pojęcie o swych zdolnościach poetyckich — zapewne po Dantem — nie znosiła swego małego wzrostem męża i nie mogła mu darować, że z unii z nim narodził się chłopiec, zamiast wymarzonej drugiej córki (pierwsza zmarła w niemowlęctwie), która by odziedziczyła po matce jej niepowtarzalny poetycki geniusz. O tym, że syn jej wbrew dziedzicznemu obciążeniu grafo-mańską matką, miał ogromne zdolności pisarskie — pani Speranza nie myślała nigdy. Chłopiec, mężczyzna — były to dla niej niższe stworzenia. Biedny więc Wilde od najwcześniejszego dzieciństwa ubierany był w dziewczęce sukienki, nosił loki i dostawał lalki do zabawy. Ucierpiała na tym jego wrażliwość, a przyszłe losy zostały w pewnym sensie przypieczętowane. Współcześni biogra-

fowie Wilde'a coraz bardziej skłaniają się do poglądu, że wytoczenie przez niego słynnej sprawy sądowej markizowi Queensberry, ona to w końcu wywołała tragiczny upadek i przedwczesną śmierć pisarza — było dziełem Speranzji Wilde, która do końca życia zachowała swój wpływ na syna. Dzisiaj sprawy powikłanego życia Oscara Wilde'a rozumiemy o wiele lepiej niż jego współcześni. Niechęć Wilde'a do kobiet, porzucenie pięknej i łagodnej żony na pewno znajdują także swe źródło w owych pierwszych upokorzeniach dzieciństwa: w sukience z koronki zamiast pary spodni, w lalce zamiast konia na biegunach, a przede wszystkim w tym, że dominująca i egoistyczna matka wmawiała przez lata w swego przewrażliwionego syna, że jedynie kobieta jest istotą wartościową.

PRYMAT NURKÓW

Pojęcie o futrze z nurków jako o najwytowniejszym i najkosztowniejszym z futer powoli zmienia się. Oczywiście tanie futro nurkowe wzbudza dalej podejrzania, że coś w nim „nie jest w porządku“, ale coraz bardziej futro to przestaje pozostawać w sferze marzeń dla większości kobiet jako coś o czym się nie tylko śni przez lata, a raz osiągnięte — zapisuje córce, lub nawet wnuczce w testamentcie.

Na światowym rynku handlu skórąmi nurki — mimo swej ceny — dzierżą prymat, gdyż sprzedaż ich wyraża się 70% całego obrotu handlowego. Na drugim miejscu znajdują się karakuly — 15%, a na trzecim — futerka wszystkich dzikich, nie hodowanych zwierząt.

Nawiasem mówiąc, pewnym brytyjskim hodowcom nurków przydarzyła się ostatnio bardzo niemiła przygoda. Otóż ich farma nurkowa zaopatrywała się w ptasie głowy z nieopodal znajdującej się farmy kurzej, hodującej taśmowo tzw. „gotowe do pieczenia“ tuczone kurczaki. Nurki bardzo sobie chwaliły dietę z kurzych główek, pięknie na niej tyły i obrastały w lśniące futro tylko, że... naraz przestały się rozmnażać. Cóż się bowiem okazało? Hodowcy kur, tak samo jak hodowcy nurków chcieli szybko wyhodować tłuste, zdrowe, ciężkie ptaki „prosto do pieca“. W tym celu kastrowali swoje ptactwo za pomocą pewnych chemikaliów, który to zabieg wpływał dodatnio na wagę kurzych ofiar. Chemikalia jednak przenikały do kurzych łebków, a potem przez ich spożycie — do żarłocznych żołądków nurków, które po kilkunastu takich posiłkach zostały dokładnie wysterlizowane.

Ale wróćmy do przemysłu nurkowego. Wielkie towarzystwo handlu nurkami

(Dokończenie na str. 34)

Na akademii przemówienie powitalne wygłosił rektor uniwersytetu prof. Edgardo Giovannini. Szkic biograficzny z życia Prezydenta wygłosił w jęz. niemieckim płk S. Karolus.

Kiermasz Książki Polskiej urządził wystawę, z której dochód w kwocie franków 211.70 przeznaczono na Fundusz Budowy Domu Polskiego w Marly-le-Petit.

WŁADZA monarchów w przeszłości opierała się zwykle na dwu głównych filarach: wojsku i administracji. Administracja, złożona z urzędników, stanowiła służbę cywilną w odróżnieniu od służby wojskowej żołnierzy w szeregach armii. Stąd wywodzi się nazwa Civil Service. Nowoczesne państwa, niezależnie od ustroju i formy rządów, nie mogłyby również istnieć bez funkcjonariuszy administracyjnych i urzędników. Rządy ustalają kierunek polityki, podejmują decyzje, przeprowadzają ustawy, tworzą ramy działania administracji państwa. Wykonaniem tych zarządzeń, postanowień i ustaw zajmują się urzędnicy państwowi. Bez nich rządzenie krajem stałoby się niemożliwe.

Brytyjska Civil Service w obecnej formie powstała z górą sto lat temu. Do tego czasu urzędnicy byli często ciemni, niekompetentni i zdemoralizowani. Dostawali się na posady dzięki protekcji i łapówkom. Zmiana na lepsze nastąpiła w 1855 roku, kiedy to powołano do życia specjalną komisję, której powierzono reorganizację administracji państwowej i podniesienie poziomu jej członków. Od tej pory Komisja przekształciła się w stałą instytucję, która dokonuje selekcji zgłoszonych kandydatów, przeprowadza wstępne egzaminy, bada ich charakter, zdolności i zdrowie. W ten sposób do urzędów państwowych przychodzą pra-

Canada Mink Breeders Association uważa, że za pomocą nowej techniki futro nurkowe stanie się obecnie dostępne dla szerokiej mas kupujących. Technika ta, czy metoda, polegać ma na tym, że przykrawanie skórek nurkowych będzie o wiele prostsze. Zamiast, jak dawniej, ciąć je w długie i równe pasy, z wielkim marnotrawstwem niektórych części skórek, futrzarze kanadyjscy, a za nimi i europejscy — używać chcą ostatnio całych skórek, bez cięcia. Poza tym skórki te mają być obecnie zeszywane poziomo, a nie, jak dotychczas, pionowo, co znowu oszczędzi wiele futrzanego materiału. No i w końcu — pociecha dla pań, które wciąż marzą o posiadaniu płaszczu z nurków — futra te będą tańsze także i dlatego, że moda obecna jest modą krótkich i wąskich przyodziewek.

A więc, drogie czytelniczki, możemy zacząć marzyć od nowa. Jeszcze trochę, a może damska moda na futra i sukienki dojdzie do tego, że będzie sięgać tylko do pasa? Wtedy to już naprawdę chyba każda z nas będzie mogła sobie pozwolić na to bezcenne dotychczas futro, gdyż na cały płaszcz będzie potrzebna jakie półtorej skórki tego szlachetnego gryzonia!

K. E.

WACŁAW NETTER

ARMIA URZĘDNICZA CIVIL

cownicy o odpowiednich kwalifikacjach i poziomie moralnym. Dobre warunki pracy, stałe pobory, regularne podwyżki oraz podział na klasy i kategorie służbowe, są magnesem przyciągającym nowych kandydatów.

URZĘDNIK A POLITYK

Według definicji Ministerstwa Skarbu (Treasury) Civil Servant to urzędnik, zatrudniony w charakterze pracownika cywilnego, na służbie królewskiej, opłacany z funduszków skarbu państwa. Osoby pracujące w instytucjach upaństwowionych i Korporacjach jak B. B. C., Izba Węglowa, Zakłady Energii Elektrycznej, Gazownie, Koleje i inne, nie są urzędnikami państwowymi, gdyż pobory ich nie pochodzą z Treasury. Civil Service podlega podwójnej kontroli: pośrednio — parlamentu, od którego zależą finanse państwa i bezpośrednio — ministrów, którzy stoją na czele poszczególnych resortów administracji. Minister jako głowa polityczna departamentu jest osobiście odpowiedzialny przed parlamentem za każdą urzędową czynność swoich urzędników. Może też być publicznie interpelowany na forum obu izb ustawodawczych na temat niedociągnięć lub zaniedbań swoich pracowników. Urzędnik nie będąc człowiekiem parlamentu nie może odpowiedzieć na żadne pytania. Czyni to minister. Ta zasada osobistej odpowiedzialności członków rządu przed izbą za prace podległego im departamentu, jest gwarancją wolności obywatelskich, zabezpieczeniem przed samowolą urzędników, zakusami biurokracji. Między funkcją ministra i urzędnika chociażby wysokiej klasy jest, jak widzimy, zasadnicza różnica. Minister, zawodowy polityk, członek rządu i parlamentu jest głową resortu. Pobiera ważne decyzje, broni ich w gabinecie i poza nim. Jego praca jest twórcza, produkcyjna, wymagająca inicjatywy, zdolności szybkiego reagowania na bieżące zagadnienia i narastające trudności. Civil Servant wykonuje swe codzienne obowiązki. Jego praca staje się rutyną. Jest on nieznany szerszemu ogółowi. Jak trafnie określił to Sir. W. Beveridge, urzędnik państwowy złożył potrójne śluby: anonimowości, posłuszeństwa i ubóstwa. Minister jest za niego odpowiedzialny i ponosi konsekwencje jego błędów i zaniedbań. Urzędnik natomiast ma funkcję wykonawczą, wymagającą znajomości przepisów i umiejętności ich stosowania.

Biorąc rzecz ogólnie praca jego polega na zdobywaniu funduszków dla skarbu państwa i wydawaniu publicznych pieniędzy w taki sposób, jak życzy sobie tego rząd. Urzędnik nie ma własnego autorytetu o ile chodzi o szeroką publiczność, lecz działa i decyduje w imieniu ministra, który stoi na czele jego departamentu. Nie może też przeciwstawić się polityce rządu ani jej krytykować. Po prostu musi ją wprowadzać w życie i wykonywać. W jednym tylko względzie jest równy ministrowi. Zarówno jeden jak i drugi może być w każdej chwili zwolniony. Członkowie Civil Service nie mogą brać czynnego udziału w życiu politycznym, chociaż wolno im należeć do stronnictw. Od 1949 urzędnicy państwowi klas niższych otrzymali prawo kandydowania do parlamentu bez konieczności zrzeczenia się swej posady. Tylko funkcjonariusze na wyższym szczeblu są zobowiązani ustąpić ze swego stanowiska w wypadku kandydowania do izby ustawodawczej.

BLASKI I CIENIE CIVIL SERVICE

Civil Service podlega służbowo Ministerstwu Skarbu (Treasury), które ustala wysokość uposażeń, podział na kategorie i stopnie służbowe. Podsekretarz Stanu tego ministerstwa jest głową organizacyjną Civil Service. W hierarchii urzędniczej najważniejszą klasą jest grupa administracyjna. Są to funkcjonariusze postawieni na szczyście drabiny. Tworzą rodzaj pomostu między rządem i administracją kraju. Ten urzędnicy sztab generalny liczący około 4 tys. ludzi zajmuje centralną pozycję służby państwowej. Są to bądź stali podsekretarze stanu poszczególnych ministerstw, bądź też dyrektorzy departamentów i naczelnicy wydziałów.

Klasa druga, wykonawcza zajmuje pozycje pośrednie w administracji państwowej. Liczy ona około 75 tys. pracowników. Piastują oni przeważnie funkcje „managerialne“ w departamentach związanych z handlem przemysłem i opieką społeczną. Najliczniejszą grupę stanowi klasa drobno-urzędnicza. Obejmuje ona pracowników biurowych, maszynistki, sekretarki, telefonistki, rachmistrzów itp. Liczba ich dochodzi do 300 tys. Grupa naukowo-techniczna liczy bezmała 100 tys. pracowników. Należą do niej uczeni zatrudnieni w laboratoriach i instytucjach doświadczalnych, prawnicy — w charakterze doradców,

W WIELKIEJ BRYTANII SERVICE

lekarze, geometrzy, inżynierowie, architekci i ekonomiści. Wreszcie klasa przemysłowa, obejmująca około 360 tys. ludzi — to pracownicy państwowych zakładów przemysłowych, doków, fabryk amunicji, zbrojowni, składów i magazynów. Pracownicy poczty, telefonów i telegrafów w liczbie 215 tys. zorganizowani są w oddzielną jednostkę administracyjną. To samo dotyczy służby dyplomatycznej (Foreign Service), która posiada własną organizację, lecz pracownicy jej są rekrutowani przez Komisję Civil Service. Około 40% armii urzędniczej Wielkiej Brytanii stanowią kobiety.

Civil Service nie ma jako całość własnej organizacji ani własnego statutu. Urzędnicy należą do związków zawodowych poszczególnych klas i kategorii. Związki bronią ich interesów i są rzecznikiem swych członków wobec pracodawcy (państwa). Istnieją też Mieszane Rady, National Whitley Councils, których zadaniem jest pogłębianie współpracy między obu stronami oraz rozpatrywanie zatargów. W 1925 roku powołano do życia Trybunał Arbitrażowy, do którego skierowuje się sprawy zarobków, godzin i warunków pracy, podwyżek, urlopów itp. Urzędnicy niższej kategorii mają swój stały Komitet Doradczy, który pilnuje ich interesów w Treasury.

Wspomniałem poprzednio, że członkowie Civil Service nie mogą brać czynnego udziału w działalności politycznej. Są oni lojalni w stosunku do państwa i służą każdemu rządowi niezależnie od tego, która partia jest u władzy. Przynależność do stronnictw i czynny w nich udział mógłby zachwiać równowagę administracji. Nie wtrącają się oni do polityki lecz tworzą korpus zawodowych administratorów. Inaczej byłoby trudno pogodzić przekonania z pracą, szczególnie w wypadku, gdy zaszłaby konieczność wykonywania zarządzeń partii, którą się zwalczało w czasie wyborów. Ciągłość rządów Wielkiej Brytanii opiera się na dwu instytucjach: monarchii i stałym funkcjonowaniu aparatu administracyjnego lojalnej Civil Service. Zmiana rządu jest tylko przesunięciem partii u władzy. Reszta pozostaje w poprzednim składzie. Lojalność i polityczna neutralność urzędników państwowych są esencją rządów demokratycznych. Nie wszystkim krajom zachodnim udało się dotychczas stworzyć taką właśnie administrację. W reżimach totalitarnych typu komunistycznego i faszystowskiego

wymaga się, by urzędnicy dzielili poglądy kliki lub partii u władzy. Nie istnieje różnica między pojęciem polityka i zawodowego urzędnika. Jeden i drugi staje się poplecznikiem reżymu.

Przypatrzmy się teraz drugiej stronie medalu. W prasie, telewizji i parlamencie słyszy się dość często słowa krytyki pod adresem urzędów i pracowników administracji. Narzeka się na formalizm i rutynę urzędników. Załatwienie drobnych zdawałoby się spraw wymaga wypełnienia niezliczonej ilości formularzy i kwestionariuszy (Red Tape). Opóźnia to wszelką działalność i powoduje stratę czasu. Innym zjawiskiem, które daje się we znaki obywatelom jest pewna sztywność i ważność urzędników państwowych. Po wielu latach pracy w jednym resorcie funkcjonariusz dochodzi do przekonania, że wie on dużo lepiej niż jego polityczny przełożony, jak kierować sprawami administracji. Ulega też złudzeniu, że obywatele są dla niego, a nie on dla obywateli. Wynikiem tego typowo biurokracyjnego podejścia są, na szczęście, nieliczne wypadki zaniedbań, błędów, uprzedzeń a nawet złej woli urzędników administracji. Od siedmiu miesięcy działa na terenie W. Brytanii człowiek-instytucja zwany Ombudsmanem. Jego pełny tytuł brzmi: Parlamentarny Komisarz dla Spraw Administracji. Zadaniem jego jest rozpatrywanie zażaleń i odwołań wniesionych przez poszczególnych obywateli przeciw krzywdzącej decyzji or-

B.D.I.C

**BIBLIOTEKA POLSKA
W
LONDYNIE
NASZA WŁASNOŚĆ
NASZ OBOWIĄZEK**

ganów administracyjnych. W ten sposób, choć częściowo, obywatel jest broniony przed arbitralnością administracji. Zagadnienie to zahacza o inne jeszcze zjawisko. Jest nim stały wzrost liczby urzędników państwowych w Anglii. Zasięg władz publicznych rozszerza się coraz bardziej. Ingerują one coraz głębiej w życie obywateli. Coraz więcej przedsiębiorstw ulega nacjonalizacji. Państwo opiekuńcze przejmuje pod swoje skrzydła zdrowie, wykształcenie, opiekę społeczną, pracę i rozrywki mieszkańców. Wymaga to siłą rzeczy zwiększenia ilości pracowników, którzy prowadzą te agendy. Z drugiej strony Komisja Civil Service napotyka na coraz większe trudności w werbowaniu zdolnych i stojących na odpowiednim poziomie pracowników. Musi walczyć z konkurencją wyższych zakładów naukowych i przemysłów, które ofiarowują lepsze warunki pracy, wyższe uposażenia i możliwości szybszego awansu. W brytyjskiej Civil Service zatrudnionych jest wielu Polaków. Nie sposób choćby w przybliżeniu podać ich liczby, gdyż brak jest oficjalnych danych na ten temat. Najwięcej rodaków pracuje w oświacie, lecznictwie oraz Pocztowej Kasie Oszczędności, gdzie znalazło zajęcie wielu naszych byłych wojskowych.

NO W O Ś C !

NO W O Ś C !

Zbigniewa Grabowskiego

OJCZYZNA EUROPA

Niezwykle interesująca książka o 14 krajach kontynentu europejskiego. Wizerunek Europy powojennej, skreślony przez wrażliwego obserwatora, podróżnika, doskonałego znawcę jej historii i kultury.

Cena: £ 2.10.0

Str. 484

S k ł a d g ł ó w n y :

**GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.,
20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.**

Do nabycia w księgarniach polskich.

ŻOŁNIERZ POLSKIEJ SPRAWY

ZGON PROF. Z. L. ZALESKIEGO

W DNIU 19 grudnia 1967 r. Polacy zamieszkali w Paryżu odprawili na miejsce wiecznego spoczynku śp. prof. Zygmunta L. Zaleskiego, zmarłego 15 grudnia.

Z jego zgonem ubył z naszego grona człowiek, który w szeregach polskiego uchodźstwa zajmował jedno z czołowych miejsc przez swoją postawę ideową, myśl polityczną i wartości intelektualne. Zapisał się bowiem na kartach polskiej emigracji wybitnie, jako pisarz na polu literatury i nauki, oraz jako działacz społeczny.

Urodził się 29 września 1882 roku w Klonowcu, w woj. kieleckim. Jako student Instytutu Politechnicznego w Warszawie, zaangażowany w ruch niepodległościowym Królestwa, a mianowicie jako członek Związku Młodzieży Polskiej „ZET”, Centralizacji i redakcji tajnego czasopisma „Kiliński”, kilkakrotnie aresztowany i więziony (1904 r.) w Cytadeli, był zmuszony do opuszczenia kraju i wyjazdu za granicę. Wyjazd ten wpłynął na zmianę jego studiów zgodnie z zainteresowaniami literackimi. Studiuje zrazu w Monachium na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu, potem po dwuletnim pobycie w kraju i pracy w zawodzie nauczycielskim, w r. 1910 udaje się do Francji, gdzie kontynuuje studia na paryskiej Sorbonie i w Szkole Wyższych Studiów Społecznych.

Odtąd Paryż staje się jego stałym miejscem zamieszkania aż do zgonu. Tych 58 lat pobytu we Francji wypełnia on aktywną działalnością literacką, kulturalną i społeczną, która pasuje go na seniora naszej emigracji.

To życie emigracyjne prof. Zaleskiego zaznaczyło się w czterech charakterystycznych etapach. Pierwszy — to lata 1910—1918, w których kontynuuje swoje studia uniwersyteckie i naukowe, ujawnia również działalność literacką i dziennikarską. Wydaje pierwsze tomiki poezji, ogłasza studia z zakresu krytyki literackiej, pisze do prasy w Polsce kroniki literackie i artystyczne, a równocześnie występuje z szeregiem odczytów i pogadanek poświęconych polskiej kulturze. Dnia 22 lutego 1911 r. wygłasza swój pierwszy odczyt w murach Biblioteki Polskiej w Paryżu. Pierwsza wojna światowa pomnaża tę aktywność prof. Zaleskiego. Staje w szeregu Polaków, służących Sprawie Polskiej. Pisze do prasy francuskiej, redaguje pismo „Polak” przeznaczone dla żołnierzy i jeńców polskich z armii nie-

mieckiej, bierze udział w kursach szkolnych dla żołnierzy formującej się armii polskiej we Francji.

Odbudowa Państwa Polskiego w 1919 roku otwiera przed prof. Zaleskim nowy rozdział jego życia i poszerza możliwości działania.

Staje się nie tylko pionierem w pracy nad zacieśnieniem stosunków kulturalnych między Polską a Francją, ale też wyrasta na oficjalnego jakby przedstawiciela kultury polskiej we Francji. Podejmuje wykłady literatury polskiej w Szkole Języków Wschodnich i na uniwersytecie paryskim, jest delegatem rządu polskiego do spraw naukowych, jest opiekunem stypendystów polskich, przewodniczy „Towarzystwu Wymiany Literacko-artystycznej między Francją a Polską”, jest jednym z założycieli „Towarzystwa Przyjaciół Książki Polskiej we Francji”, jest członkiem Komitetu miejscowego Biblioteki Polskiej, oraz Prezydium Ośrodka Studiów Polskich we Francji. W 1920 r. habilituje się na profesora nowszej literatury polskiej na Uniwersytecie Warszawskim, obejmuje naczelną redakcję rocznika „Życie Sztuki”.

Wojna 1939 r. zamyka ten drugi i otwiera nowy rozdział jego życia. Po przebyciu oblężenia Warszawy i pierwszych miesięcy okupacji w Polsce, gdzie go zaskoczyła wojna, w zimie 1940 r. przedziera się przez Karpaty do Francji, celem dołączenia do Polski Walczącej na Zachodzie. W ciężkich warunkach i przełamując wielkie trudności przybywa wczesną wiosną do Paryża, oddaje się do dyspozycji rządu polskiego w Angers. Klęska Francji i okupacja tego kraju przez armie hitlerowskie nie załamują jego ducha ani jego wiary. Ponownie przedziera się przez linię demarkacyjną do wolnej strefy Francji, staje na czele Polskiego Czerwonego Krzyża i rozpoczyna pracę w zakresie opieki nad uchodźstwem wojennym zgromadzonym w tej części Francji, przy czym główną uwagę poświęca polskiej młodzieży.

Staje się jednym z głównych inicjatorów założenia liceum polskiego w Villard-de-Lans pod Grenoble. Ta praca wiążąca go ściśle z polskim ruchem podziemnym na terenie Francji, ściąga uwagę okupanta i represje Gestapo. 19 marca 1943 r. zaaresztowany, potem przewieziony do Paryża poddany zostaje śledztwu i torturom, które nie łamią jednak ani jego ducha ani postawy. Badania kończą się wywiezie-

niem do obozu w Buchenwaldzie, gdzie przebywa do wiosny 1946 r. Impresje swoje z tego tragicznego okresu sformułował prof. Zaleski po powrocie do Paryża w odczycie: „Expérience psychologique et sociale des camps de concentration allemands” — wygłoszonym w Instytucie Francuskim.

Tragiczna sytuacja, w jakiej znalazł się naród polski po drugiej wojnie światowej, otwarła w życiu prof. Zaleskiego nowy rozdział dla jego działalności. Dzielać dole i niedole nowej polskiej emigracji prof. Zaleski nie zważając na stan swego zdrowia, zrujnowanego w Buchenwaldzie, cały swój wysiłek myśli, serca i czynu obraca w kierunku tych wszystkich postulatów, przed którymi stanęło polskie uchodźstwo na zachodzie Europy. Ratowanie polskiej młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej, pomoc uczynom, pisarzom i artystom emigracji, organizowanie nauki polskiej w duchu wolności w ramach udzielonego jej azylu w wolnym świecie, kontakty ze światem nauki Europy zachodniej, walka ze zniekształceniem prawdy a sprawie polskiej i posłannictwie narodu polskiego, wszystko to były dziedziny działalności prof. Zaleskiego, przedmiotem jego troski, jego zabiegów i jego pióra.

Jest jednym z założycieli i opiekunem Liceum Polskiego w Les Ageux. Jest sekretarzem generalnym Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu. Jest delegatem Związku Pisarzy Polskich na Francję. Jest wiceprezesem i jednym z założycieli „Academie Internationale Libre”. Jest członkiem londyńskiego Towarzystwa Naukowego Polskiego na Obczyźnie. Jest wykładowcą w „Centrum Studiów Słowiańskich” Instytutu Katolickiego w Paryżu. Jest profesorem na Polskim Uniwersytecie w Londynie. Zostaje członkiem-korespondentem „Institut de France” i doktorem „honoris causa” Uniwersytetów w Kontpellier i Lille.

Niezależnie od tego, osobną dziedziną, której wiele serca i pracy poświęcał był świat byłych deportowanych, z którymi od czasów buchenwaldzkich nawiązał nierozzerwalne koleżeństwo. Jako prezes Związku Deportowanych Polskich we Francji, oraz jako prezes honorowy Wolnej Federacji Międzynarodowej Deportowanych przyjął na siebie dodatkowe obowiązki wypełniające bez reszty jego czas i jego siły.

We wszystkich okresach jego życia, osobną ale trwałą kartą była jego

KOKLUSZ

Z WZGLĘDU na ogromną falę przeziębień, grypy, bronchitów i zapalenia płuc, jaka w styczniu tego roku nawiedziła W. Brytanię, warto

praca literacka i naukowa, która pozostawiła po sobie plon obfity w postaci kilku tomów poezji, wielu dzieł z zakresu krytyki literackiej, studiów nad estetyką i twórczością literacką, a przede wszystkim wielką bibliografię drobniejszych prac rozsianych po różnych czasopiśmie naukowych i literackich polskich, francuskich i innych. Biblioteka Polska w Paryżu posiada w swoim księgozbiornie około 60 jego prac. Był również wiernym współpracownikiem „Orła Białego”. „Słownik współczesnych pisarzy polskich” wydany niedawno w Warszawie, poświęcił wiele stron twórczości prof. Zaleskiego i podał szczegółową bibliografię jego prac.

* * *

Pogrzeb, który odbył się w przeddzień niemal świąt Bożego Narodzenia, zgromadził w kościele polskim w Paryżu setki Polaków i Francuzów, którzy przybyli, by złożyć hołd jego pamięci. Po nabożeństwie ks. infułat Kwaśny, Rektor Polskiej Misji Katolickiej, wzruszającymi słowami pożegnał zmarłego. Na ementarzu Wielkiej Emigracji w Montmorency przy składaniu trumny do grobowca Towarzystwa Historyczno-Literackiego przemawiali: ks. prałat Bernacki od Deportowanych, książę A. Poniatowski od Tow. Hist.-Literackiego, wiceprezes Ester od Międzynarodowego Związku Deportowanych, prof. Godlewski od dwu Uniwersytetów w Lille; prof. Kulezycki od Międzynarodowej Akademii Nauk oraz od grupy uczonych ukraińskich, prezes Rzewuski od Rady Wolnych Polaków, gen. Jaklicz od kolegów z Ruchu Oporu, dyr. Chowaniec w imieniu Biblioteki Polskiej.

Dominantą tych przemówień była jedna zasadnicza myśl: Zygmunt Zaleski dołączał do spoczywających w Montmorency patriotów Wielkiej Emigracji jako niezłomny żołnierz Polskiej Sprawy, który wykonał swoją powinność wobec Boga i Ojczyzny. „Spoczywając tutaj — mówił jeden z mówców — będziesz ciągle wśród nas wskazując nam z tego Campo Santo polskiego droge, którą torowałeś swoim pracowitym, meczeskim na deportacji, chlubnym życiem”.

Czesław Chowaniec

jest poświęcić naszą lutową gawędę kokluszowi, który tak często w swoich pierwszych stadiach rozwoju przypomina zwyczajne zaziębienie. Koklusz jest chorobą bardzo przykrą dla wszystkich, a może być także i niebezpieczny, szczególnie jeżeli chodzi o bardzo małe dzieci, oraz dorosłych, którzy nie przechodzili tej choroby w dzieciństwie.

Pierwsze oznaki koklusu nie różnią się niczym od zwykłego zaziębienia. Przez pierwszy tydzień zarazony skarży się na katar, kaszle suchym kaszlem, ale w zasadzie nie czuje się źle. Po tygodniu kaszel i katar ustają i — opisujemy tu typowy przebieg koklusu u dziecka — matka uważa, że dziecko może normalnie zacząć wychodzić, powrócić do szkoły i tak dalej. Czasami kaszel nie mija całkowicie, jest nadal suchy i przykry, ale dalej się go kładzie na karb zwykłego przeziębiecia.

Dopiero drugi tydzień daje uważnym rodzicom do myślenia. Dziecko coraz to częściej, szczególnie w nocy, zaczyna się zanosić kaszlem. Kaszel ten jest bardzo charakterystyczny, występuje bowiem w spazmatycznych okresach kaszlenia bez przerwy, by dać lepsze pojęcie o jego charakterze powiedzmy, że chory kaszle *na jednym oddechu*, bez dodatkowego zaczerpywania powietrza od ośmiu do dziesięciu razy. Aż wreszcie, po kilku takich nocnych atakach przychodzi moment, kiedy mały chory poza kaszlem zaczyna także wymiotować. Oczywiście i to jest bardzo łatwo położyć na karb przeziębiecia, „biedactwo zakosztowało się” i tyle. Ale jeżeli podczas takiego napadu kaszlu z wymiotami usłyszymy nagle, że dziecko „pieje”, czyli wciąga z trudem w płuca powietrze — daje to do myślenia, iż nie jest to tylko ostry atak przeziębiecia, ale właśnie koklusz. Oczywiście, jeżeli rodzice wiedzą, że np. w szkole, w sąsiedztwie, czy u towarzyszy zabawy dziecka miał miejsce przypadek koklusu — będą staranniej wsłuchiwać się w rodzaj kaszlu swojego małego chorego.

Przy najmniejszej wątpliwości co do charakteru choroby należy wezwać lekarza, który postawi diagnozę, niezależnie w pierwszych stadiach tej choroby łatwą.

Koklusz jest chorobą przewlekłą i każdy chory przechodzi go inaczej. Zasadniczo trwa on około 2-ch do 4-ch tygodni, ale nierzadkie są przypadki, kiedy trwać może przez trzy miesiące.

Obecnie mamy do pomocy w postawieniu diagnozy przeróżne testy labo-

ratoryjne. Jednym z nich jest test na flegmę, którą potem przenosi się na specjalny rodzaj żelatynowego preparatu, na którym zarazki koklusu rozwijają się bardzo szybko. Tego rodzaju próby robi się zwykle po dwóch tygodniach uporczywego kaszlu pacjenta.

Jeżeli dziecko ma poniżej lat dwóch, koklusz jest dla niego chorobą poważną i dlatego wszyscy rozsądni rodzice dowiedziawszy się, że w sąsiedztwie wybuchła epidemia tej choroby, winni z najwyższą ostrożnością odseparować swoją małą pociechę od jakichkolwiek możliwych kontaktów.

Kuracja może być przepisana jedynie przez lekarza w zależności od nasilenia choroby oraz wieku pacjenta. Nigdy nie próbujmy sami leczyć tej choroby, chociażbyśmy mieli jak najskuteczniejsze na nią „przepisy” od naszych matek czy babek. Zazwyczaj chłodna temperatura dopomaga do zwalczania choroby. Oczywiście, dziecko czy też dorosły, który zapadł na koklusz — musi być odpowiednio ubrany, aby na domiar złego nie zaziębić się. Chłód jednak przynosi nie tylko ulgę, ale i leczy.

Ponieważ wśród najprzykrzejszych symptomów po atakach są wymioty — dieta chorego musi być lekka, częsta i w małych ilościach. Wówczas bowiem jest szansa na to, że pacjent nie zrzuci wszystkiego co przed chwilą zjadł. Najlepszym momentem dla podania lekiego, a odżywczego posiłku jest okres zaraz po wymiotach. Nie wróć one tak szybko i jedzenie pozostanie w żołądku. Jeżeli sam kaszel jest bardzo silny, występuje oczywiście ból mięśni od samego wysiłku kaszlenia. Dla sprowadzenia ulgi można wówczas zaaplikować aspirynę lub codeinę.

Zarazki koklusu dojrzewają w okresie od 5 do 14 dni od chwili kontaktu. Kwarantanna jest konieczna i długa. *Nie wolno* jest posyłać dziecka do szkoły nawet gdy kaszel ustanie. Co najmniej pięć pełnych tygodni musi upłynąć od chwili zachorowania, aby dziecko powróciło do normalnych zajęć w gronie innych dzieci. Zaraźliwość koklusu ciągnie się bowiem tygodniami, tracąc na sile, ale wciąż istniejąc.

Na przestrzeni ostatnich lat zdołano wyprodukować szczepionkę przeciwkokluszową. W wypadku zupełnie małych dzieci jest ona po prostu konieczna na równi ze szczepionką przeciw polio, czy szczepieniem na ospę. Domowy doktor, czy klinika dziecięca udzieli wszelkich informacji na ten temat i zaszczerpi dziecko w odpowiednim czasie. Szczepionka ta, w formie zastrzyku jest zwykle podawana w kombinacji z innymi — np. szczepionką przeciwdyfterytową.

Dr Michał

OCZY W MROKU

OPOWIADANIE EGZOTYCZNE

JUŻ Środkowy Wschód wywiera olbrzymi wpływ na psychikę Europejczyka, a cóż dopiero tereny bliskie równika. Człowiek tam doznaje wrażeń, które nazywamy halucynacją. Ale czy są nimi? Złudzeń zmysłów, nie tylko wzroku. Prześliczne jak bańki mydlane, wielokolorowe fatamorgany jakie widziałem w Iraku, są moim zdaniem, pograniczem, za którym stoi nieznanymi i tajemniczymi świat.

Cały świat się modernizuje. Klasztory buddyjskie także. Przez jakiś czas mieszkałem w takim klasztorze, który był dopiero co zbudowany i służył za miejsce krótkich postojów mnichów wędrujących. Duży budynek, na parterze wielka sala pusta, gdyż posąg Buddy, nieco większej jak zwykły człowiek wielkości stał na zewnątrz budynku. Na piętrze kilkanaście pokoi-cel, z oknami pod sufitem, i na ganku coś w rodzaju kaplicy. Tu nieduży posąg Buddy w postawie siedzącej. Blisko schodów kilka pryszniców, ubikacje. To wszystko. W każdej celi łóżko, stolik i szafka oraz krzesło.

O kilkanaście metrów brzeg Oceanu Indyjskiego. Piaszczysta plaża z palmami, niektóre z nich wymyła woda i leżały uschnięte, maczając rude martwe liście w srebrnej wodzie. Naokoło domu palmy stare, resztki lasu, który wycięto by zbudować ulicę domów parterowych, ale obszernych, gęsto zaludnionych i łagodnie szumiących gwarem młodzieży dorodnej i o skórach na myśl przywodzących mleczną czekoladę.

Klasztor był pełen mnichów, którzy przybyli tu głównie z Indyj, ale również z bardziej na wschód leżących a buddyjskich krajów. Kontakt z mnichami był dosyć skąpy. Przeważnie nie mówili angielskim, a ponadto byli to ludzie o uduchowionych twarzach, świat zewnętrzny mało ich obchodził. Byli to poza tym ludzie wiekowi.

Przechodząc korytarzem między celami do schodów, którymi dostawałem się do hali parterowej, z której wychodziłem na podwórze piaszczyste — dawna łacha morska, obserwowałem siedzących na podłodze na skrzyżowanych nogach i medytujących mnichów. Starzec z sąsiadującej z moim pokojem celi, zwrócił się do mnie po angielsku. Mówił dobrą angielszczyzną. Wymieniliśmy kilkanaście zdań. Powiedziałem mu o sobie, on powiedział mi, że jest z północnych Indyj. Pożyczył mi jedną z broszur, których miał kilka, i którą przeczytałem, oddając mu ją następnego dnia. Traktowała o reinkarnacji. Była to historia kilkunastoletniej dziewczynki Hinduski, której rodzice rozpaczali po jej śmierci. Broszura tłumaczyła, że nie powinni się smuć. Ona znów żyje, choć pod inną postacią. W myśl nauki

Buddy „fala życia“ umierającego, objawia się narodzinami innej osoby. Broszura kończy się optymistycznie. Może właśnie co urodzone dziecko waszych sąsiadów to przedłużenie istnienia zmarłej córki.

Mnich był niezadowolony kiedy mu broszurę oddałem, bo chciał mi ją dać, i na tym się nasze kontakty skończyły. Niemniej widziałem go przez kilka dni następnych jak medytował. Nie zwracał na mnie uwagi. Opiekę nad klasztor sprawowała organizacja religijna, złożona z działaczy cywilnych. Przewodził jej urodziwy, średniego wieku mężczyzna, właściciel kilkunastu domów, tworzących ulicę, którą zamykał klasztor. Domy te zbudował jego ojciec, czynsz zaś z tych domów pozwalał jemu i jego licznej, i dalszej rodzinie, żyć spokojnie, bez pracy i czas oddawać organizacji.

Wykształcony w gimnazjum angielskim, orientujący się w sprawach politycznych, człowiek, który objechał za swej młodości glob ziemski wokół, chętnie ze mną rozmawiał. Dowiadywaliśmy się wielu ciekawych rzeczy jeden od drugiego. Wychodząc rano z klasztoru, by udać się do centrum miasta, do biblioteki, wstąpiłem do niego. Ponieważ zauważyłem, że drzwi celi mnicha mego sąsiada były zamknięte, powodowany ciekawością, zapytałem o niego, mego działacza.

Nie mógł zrozumieć o co pytam. A kiedy mu dokładnie wytłumaczyłem, że chodzi o mego sąsiada, powiedział: — To wielki kapłan z Indyj, on od czasu do czasu tu przyjeżdża. Był dwa dni, ale już go tu nie ma, od kilku dni.

Kiedy mu powiedziałem, że jeszcze wczoraj go widziałem, odpowiedział: — On jest w Indiach, a pan go mógł widzieć, bo jego ciało astralne może pokazać się w każdym miejscu, gdzie zechce. Zresztą czy i te dwa dni był tu, nie jestem zupełnie pewny.

— Pożyczył mi broszurę — powiedziałem.

— A gdzie ta broszura? — zapytał. — Oddałem mu!

Uśmiechnął się. — Czy na pewno?

— Na pewno! Powtórzyłem mu treść broszury.

— Był czy nie był tu cielesnie, nie ma znaczenia! Ludzie pokazują się nie tylko za życia ale i po śmierci!

Do kaplicy na pierwszym piętrze przychodzili ludzie z miasta, a wśród nich kobiety z rodzinami kierownika, or-

ganizacji opiekującej się klasztor. Wychodząc lub wracając widziałem jedną z kobiet, o której wiedziałem, że jest wdową.

Była to typowa Syngaleska, z tego pięknego narodu. Przewyższała jednak inne urodą. Kilka razy z nią rozmawiałem, była wykształcona i subtelna. Promieniowała jednak głębokim smutkiem. Kilka razy widziałam ją jak kłęczała w kaplicy. O coś zapewne Buddę prosiła.

Klasztor był pusty. Mnisi rozpiechli się po olbrzymich terenach południowej Azji. Został tylko woźny, który zeszedł mieszkał poza klasztor, a przychodził pozamiatać względnie zamknąć budynek na noc. Był maj. Właśnie wyszedłem z mego pokoju, i skierowałem się na korytarz, gdy zauważyłem, że przede mną stanął olbrzymi mężczyzna i świdrował mnie rozwścieczonym spojrzaniem. Ździwiłem się, raz, że widziałem tego człowieka po raz pierwszy, a po drugie, że mnisi mają wzrok łągodny.

Postąpiłem kilka kroków ku niemu. Nie było innej drogi by opuścić klasztor. I nagle mężczyzna oderwał się od ziemi, by za chwilę rozplynąć się w złocistej mgłę bezokiennego korytarza.

Wieczorem tegoż dnia odwiedziłem mego sąsiada, który dał mi do oglądania album rodzinny. Wśród zdjęć zauważyłem twarz mężczyzny, którego widziałem w korytarzu klasztornym.

— Kto to? — zapytałem.

— Był to mąż pięknej wdowy, ten który z zebranych funduszy, głównie jednak własnych pieniędzy, zbudował ten klasztor. Nie żył od kilku lat. Coś mu się stało w nogę, jakaś nieznaną chorobą tropikalną, a te zabijają często o wiele szybciej niż choroby w Europie.

— To był bardzo szlachetny człowiek! Gospodarz płakał. — Powtórzył: — Bardzo szlachetny człowiek i nasz wybitny działacz.

— Widziałem go dziś w korytarzu — powiedziałem.

— Tak — powiedział gospodarz — my buddyści wprawdzie nie wierzymy by ktoś pokazywał się po zgonie, ale ja wiem, że to był on. On tak ten klasztor kochał!

Myślę nieraz o tym zdarzeniu. Przyszedł z tajemniczego bytu, aby albo zaprotestować przeciw pobytowi w klasztorze buddyjskim rzymsko-katolika, albo...

Stefan Legeżyński

BŁOGOSŁAWIENSTWA DEWALUACJI

RZECZ jasna, że — jako człowiek żonaty — jestem wobec mojej lepszej połowy odpowiedzialny za wszystkie nieszczęścia i kataklizmy tego świata. Nie więc dziwnego, że od chwili decyzji dewaluacji funta, powziętej przez rząd brytyjski (który, nawiasem mówiąc, wcale mnie o radę w tej sprawie nie pytał), znajdowałem się pod stałym ostrzałem z jej strony. Czasami te ataki miały formę okrężną:

— Nie mogłeś też nam znaleźć innego kraju, jak właśnie Anglię!

Innym razem wydawały się obarczać mnie zupełnie bezpośrednią odpowiedzialnością:

— No, wiesz, coś tak idiotycznego! A ty, naturalnie, jesteś zawsze ze wszystkiego zadowolony! Żeby ci powiedzieli, że od jutra funt nie jest wart ani grosza, też byś uważał, że wszystko jest w najlepszym porządku!

Nauczony długoletnim doświadczeniem, zachowywałem dyplomatyczne milczenie, albo starałem się skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory, na przykład ku pogodzie. Ale nie doceniałem potęgi logiki kobiecej. Za ledwie bąknąłem coś na temat deszczu, czy chłodu, w odpowiedzi padała miążdżąca salwa:

— Widzisz? Co to za kraj! Nie tylko funta zdewaluowali, ale jeszcze nawet ich nie stać na przyzwyczajenie do pogody!

Czując w głębi ducha, że spada na mnie poważna odpowiedzialność za kaprysy brytyjskiej zimy, wykonywałem strategiczny odwrót. Słowem, sytuacja nie była łatwa. Nie dziwnego, że kiedy w pierwszy po świętach trzeci czwartek miesiąca zjawiliśmy się na tradycyjnym zebraniu u Sewilskich, i wchodząc do salonu, usłyszałem: „Na to się nie powinno pozwolić! Przecież to nasze funty zostały zdewaluowane!”, zadrżałem. Nauczony jednak przez mego sierżanta-szefa na kursie podchorążych, że kolejność wszystkich działań wojskowych powinna wyglądać następująco: domarsz — rozpoznanie — zajęcie stanowisk wyjściowych — natarcie — opanowanie stanowisk npla, przeszedłem do rozpoznania. Właścicielką głosu, wygłaszającego tyraide anti-dewaluacyjną, okazała się Szponderska. Podtrzymała ją nasz autorytet ekonomiczny, Erywański, o którym krążyły słuchy, że nie tylko ma odłożone pieniądze w Towarzystwie Budowlanym, ale nawet posiada kilka akcji. Erywański wyjaśnił z namaszczeniem:

— Akcja rządu podobna jest do tego, gdyby kto z nas powiedział wszystkim

swoim wierzycielom, że odtąd płaci im o 14.3% mniej.

— Świetna myśl — ucieszył się Astrachański. — Właśnie mam rachunek za elektryczność. Potrącę im różnicę wartości funta.

— I zamkną nam światło — powiedziała bez entuzjazmu jego żona.

— O, właśnie! — zapalała świętym ogniem Szponderska. — Im to wszystko wolno! A jak szary obywatel spróbuje się bronić, zaczyna się wtedy szantaż!

Doktor Dojda, kompletnie trzeźwy, patrząc ponurym okiem na bardzo wesołą żonę, wychylającą któryś tam kieliszek (bo właśnie na niego wypadła kolejka prowadzenia samochodu do domu), westchnął

— Tak jest ze wszystkim, proszę państwa. Zaczyna się od ograniczenia swobody obywatela w jego życiu prywatnym, a potem zmniejsza się wartość jego ciężko zapracowanych pieniędzy. Jeszcze trochę, a zaczną urządzać apele, jak za żelazną kurtyną, o dobrowolną pracę na rzecz państwa.

— Nie czytał pan? — wykrzyknęła Celycka. — Już urzędzają! Naturalnie, niby to spontanicznie, ale my się na tym znamy, co?

Nie wytrzymałam.

— Nie na rzecz państwa, tylko dla zwiększenia eksportu — powiedziałam. — I nie bardzo mogę sobie wyobrazić, jak tego rodzaju zgłoszenia mogłyby być organizowane przez państwo.

Słowa moje przyjęto wybuchem śmiechu.

— Znalazł się naiwny! — krzyknęła Szponderska. — A może panu dopłacają, żeby pan też szerzył propagandę za dobrowolną pracą? Pan przecież pracuje na poczcie, a to służba państwowa.

Żona pociągnęła mnie za rękaw.

— Nie gadaj głupstw! — syknęła mi w ucho. — Chcesz, żeby się rozniósło, że jesteś za rządem? Przeszają się nam kłaniać na ulicy.

Najwyraźniej rozpocząłem natarcie z nieodpowiedniego stanowiska wyjściowego. Zamilkłem. Głos zabrał major Miecz-Szablinski:

— Co mnie najwięcej oburza — stwierdził z wyraźnym smutkiem — to fakt, że dewaluacja najbardziej uderzy szarego człowieka. Czy państwo zdajecie sobie sprawę, jak poszły w górę koszty wyjazdów zagranicznych?

— Hiszpania też zdewaluowała — wtrąciłem.

Major zignorował moje słowa.

— Tak, proszę państwa — ciągnął — te miliony zwykłych obywateli bry-

tyjskich, które dotychczas spędzały swoje wyuczasy w słońcu południa, teraz, w dużej części, będą się musiały kontentować płazami angielskimi.

Wśród zebranych przebiegł pomruk zgrozy.

— A jak pójdą w górę wina — szybko wtrącił Genueski — to także poważnie obciążą przeciętny budżet.

— Tak, proszę państwa — podsumował swe wywody major. — Faktem jest, że dewaluacyjne posunięcie rządu socjalistycznego uderzy przede wszystkim w masę.

Zdecydowałem, że nadszedł odpowiedni moment do ataku. Odchrząknąłem. Czy obecnych zwróciły się w moją stronę.

— Chwileczkę, proszę pana — zacząłem. — Mam wrażenie, że z czysto arytmetycznego punktu widzenia popelnia pan pewną nieścisłość.

— Co też pan mówi! — oburzył się major.

— Weźmy chociażby taki przykład — kontynuowałem — powiedzmy, że pan zarabia cztery tysiące rocznie...

— No, no, przesadza pan — uśmiechnął się rozbrojony major. — Tak dobrze to nie jest.

— Powiedziałem „na przykład“ — ciągnąłem. — A ja, dajmy na to, pięćset...

— Żebraków z nas robisz? — warknęła nad moim uchem żona.

— Wszystko to, naturalnie, cyfry hipotetyczne, dla przykładu — wyjaśniłem, uwalniając mój łokieć z jej klezszczy. — Więc jeżeli, jak to państwo stwierdziliście, dewaluacja oznacza, że nasze zarobki zmniejszyły się o..., powiedzmy, o okrągłe 15 procent...

— Tak, tak, lepiej weźmy cyfry zaokrąglone — odezwęło się kilka głosów.

— To w moim przykładzie pan, panie majorze, stracił 600 funtów rocznie, a ja tylko 75.

Zapanowała cisza. Panowie robili nerwowe obliczenia na wyciągniętych z kieszeni kalendarzykach, kopertach i innych świstkach papieru, a panie zaglądały im przez ramię. Sewilski, który pracuje w buchalterii, skończył swoje obliczenia pierwszy.

— On ma rację, proszę państwa — zawołał, powiewając swoimi notatkami. Zapanowało gorączkowe ożywienie.

— To znaczy, że taki krezus, jak Wiktualski, który ma trzy sklepy spożywcze, musiał stracić naprawdę sporo, co? — entuzjazmowała się Szponderska.

— A nasz dyrektor? Tego to dopiero

(Dokończenie na str. 40)

FRASZKI

Na angielski „Pie“

Pytają mnie turyści,
co to są ich „paje“.
Opisać je dokładnie
słów mi nie dostaje.
To nie jest właściwie pierog,
jak myślą niektórzy,
lecz tak samo jak pierog,
do jedzenia służy.
Anglicy w poniedziałek
zapiękają we francuskim cieście
dosłownie wszystko,
co im w niedzielę
w gębie się nie mieści.

Na angielski trawnik

Recepta na angielski trawnik,
czyli „lawn“
jest prosta, zwięzła, jakże oczywista:
strzyc go co tydzień przez jakichś
lat trzysta,
co miesiąc się przejechać po nim
ciężkim walcem,
truć dżdżownicę
a potem wydłubywać palcem.
Trawniki będące równiutki
jak stół bilardowy, o ile
stosujemy regularnie
„selective weed-killer“.*)

*) Środek chemiczny, który niszczy chwasty, lecz nie szkodzi trawie.

uderzyło? — zacierał ręce Erywański.
— Kapsztadczycy mieli odłożone dobre
parę tysięcy na czarną godzinę. Ale
ich rąbnęło! — chichotał Genuński.
Nawet dr Dojda rozpogodził się zu-
pełnie.

— Panie, jak pomyślę, jak ta de-
waluacja dogodziła takiemu Abortkie-
wiczowi, który chyba ma najwięcej pac-
jentów w całej południowej Anglii, to
mi się jakoś ciepło koło serca robi —
powiedział, biorąc mnie przyjaźnie pod
ramię.

Epitafium amerykańskie
na mogile męża Anny

Izraelici chcieli chleba,
lecz Bóg im zesłał manę,
ten człowiek bardzo żony chciał,
lecz czart mu przysłał Annę.

Epitafium amerykańskie

Czytelniku, wynocha z miejsca,
na którym leżymy.
Nie trać czasu na złe życiorysy
i na gorzkie rymy.
Ta glina świadczy o tym,
czym jesteśmy teraz,
a czym byliśmy przedtem,
to nie twój interes.

Arabella Young

Pod tym kamieniem
kupa gliny.
Pan Bóg zmiłował się nad nami.
Tu leży Arabella Young,
która od dnia
21 maja, 1771
zaczęła
trzymać język za zębami.

Przełożył Piotr Borkowski

Przyjęcie zakończyło się w znakomi-
tym nastroju. Idąc do kolejki podziem-
nej, moja żona nagle zaczęła się śmiać.
— Co się stało? — zapytałem, zdi-
wiony.

— Nic, nic — krztusiła się. — Ja
tylko... ja tylko sobie nagle uprzytom-
niłam, o ile teraz mniej jest warta
pensja premiera Wilsona!

Wygląda na to, że wojnę na froncie
dewaluacyjnym wygrałam.

Wojciech Stefański

Jan Lechoń, **DZIENNIK I.**, wydaw-
nictwo „Wiadomości“, Londyn, 1967,
druk Gryf Printers, str. 446. Ogłoszony
tom obejmuje okres od 30.VIII.1949 do
31.XII.1950.

Autoportret literacki autora z bardzo
trudnego okresu jego życia. Obok tego,
ogromna ilość uwag, spostrzeżeń, ko-
mentarzy i refleksji na temat literatury
i literatów, postaci z obecnej emigracji,
szczególnie z otoczenia poety w USA.

Marian Kujawski, **Z BOJÓW POL-
SKICH W WOJNACH NAPOLEOŃ-
SKICH**, nakł. Polskiej Fundacji Kultu-
ralnej, Londyn, 1967, z przedmową M.
Kukiela, str. 344.

Tom zawiera rozprawy o czterech
bitwach stoczonych przez żołnierzy pol-
skich we Włoszech i Hiszpanii: pod
Maida, Samosierra, Fuengirola i Al-
ubera.

TEMATY, 23-24, N. York-Londyn,
jesień-zima 1967, str. 258.

Zeszyt obejmuje prace nast. autorów
w przekładzie polskim: J.G. Ballard:
Martwy olbrzym; C.D. Simak: Odpo-
wiedzi; B.W. Aldiss: Kto zastąpi czło-
wieka, A.C. Clarke: Gwiazda; J. Green:
Twórcy; L.N. Ridenour: Świąteczka Apo-
kalipsy; W. Spencer: Nieśmiertelne ma-
szyny; Ch. Oliver: Matka konieczności;
J. Pierce: Przyszłość Johna Sze; L.
Szilard: Grand Central Terminal; N.
Wiener: Mózg; J. McConnell: Teoria
nauzania; C. Cnapp: Nocny płomień;
D. Knight: Ostatni okaz; G. Kersh:
Ludzie bez kości; J.G. Ballard: Głosy
czasu.

PRZEMIANY, dwumiesięcznik, prze-
gląd myśli katolickiej, Rzym, styczeń-
luty 1968, nr. 1, rok 1.

Zeszyt przynosi artykuły: M. Wi-
nowska: Rok wiary; J. Zasada: Drogi
Robinsonów; ks. W. Broniewski: Miraże
przyrodnicze; T. Borowicz: Poprzez
osoby nie widać rzeczy; W. Netter:
Walka z nędzą i nieprawdliwością;
Wierze: A. Czerniawskiego, Doroty So-
snowskiej, ks. F. Kameckiego.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji.
Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879
lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji
we FRANCJI: „Syrena“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, Editions ELKA S.A.R.L. c/c p. No. 5507-30 Centre Paris,
oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.);

W BELGII: J. Korab Bzozowska-Csáky, 19, Rue Amédée Lynen, apt. 67, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S.
Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association
des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan
30/II, Stockholm; we WŁOSZACH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTynie: „Libreria Polaca“,
Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE:
T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bieńkowski, 627, Tracy
St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene
St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50.
PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie
według przeliczenia waluty miejscowej. Doплата za przesyłkę lotniczą według taryfy.
Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

LISTY DO REDAKCJI (ciąg dalszy)

Może zresztą ten pesymizm jest nieuzasadniony. Zobaczmy co przyszłość przyniesie.

Z poważaniem

Wanda Wróblewska
Dania

„MAM TROCHĘ ŻALU DO
GRENADIERÓW...”

Szanowny Panie Redaktorze,

Jestem Panu bardzo wdzięczny za przesłanie mi „Orla Białego” za grudzień br. z artykułem o mej wystawie — wprawdzie ani moja osoba, ani moje malarstwo, nie zasługuje na takie pochwały, lecz bardzo, bardzo dziękuję Panu i Autorowi.

Lecz to sprawa prywatna. Mam drugą, z całkiem innej dziedziny, która mi bardzo leży na sercu, gdyż dotyczy mego oddziału, w którym służyłem w kochanej Szkocji w latach 1940—1943. Dlaczego o tym piszę? Oto w tym samym numerze „Orla Białego” ukazało się sprawozdanie o odbytym w Edynburgu zjeździe 2 Baonu Grenadierów, „Kratkowanych Lwiątek”. Cytuję: „Tegoroczny zjazd był wyjątkowo licznie obesłany i miał specjalne znaczenie, gdyż w czasie niego nastąpiła fuzja Grenadierów z Kolem Komandosów. Fuzja ta jest zrozumiała, ponieważ 1-a Samodzielna Kompania Komandosów została sformowana z ochotników, pochodzących przeważnie z 2 Baonu Grenadierów...”. Nie. Gdy formowała się kompania komandosów, to 2 Baon Grenadierów jeszcze nie istniał... Kompania Komandosów została sformowana z żołnierzy z 2-go Batalionu Strzelców, 1-ej Brygady Strzelców. Batalion ten powstał na ziemi szkockiej pod m. Biggar, dnia 21 lipca 1940 r. Natomiast 2 Baon Grenadierów powstaje w roku 1943 w Bridge of Allan, z pozostałości po 2-gim Batalionie Strzelców, rozparcelowanych po całym Pierwszym Korpusie. Większość żołnierzy batalionu zasilila Brygadę Spadochronową i 1 Dyw. Panc.

Mam trochę żalu do Grenadierów, że pisząc niejednokrotnie na temat swego oddziału, chętnie się popisują odziedziczoną po 2 Batalionie Strzelców odznaką, nie podając po jakim oddziale i kiedy ją odziedziczyli.

Łączę wyrazy poważania

T. Hnicki
Londyn

APEL O UTWORY O M. BOSKIEJ

Zwracam się z gorącą prośbą do wszystkich autorów wierszy o M. Boskiej, którzy wzięli udział w konkursie „Tysiąclecie Naszej Wiary” o nadesłanie mi ich utworów.

Zamierzam wydać je w małych 20-stronicowych broszurkach, które po zakończeniu będą oprawione w jedną całość. Będzie to kosztowało wiele trudu i pracy, ale pragnę utrwalić ten konkurs. Każdy autor otrzyma bezpłatnie egzemplarz całego zbioru, a ci którzy pragnęliby mieć więcej egzemplarzy zechcą łąskawie nadesłać sh 2/6 za każdy dodatkowy egz.

Ś. † P.

JAN STANISŁAW PROKOP

Harcistrz, kapitan W.P., wiceprzewodniczący Związku Harcerstwa Polskiego, b. członek Zarządu SPK w W. Brytanii, wybitny działacz społeczny, ur. 22 kwietnia 1914 we Lwowie, zmarł nagle w Londynie 22 stycznia 1968.

Został odprowadzony na wieczny spoczynek na londyński cmentarz North Sheen dnia 29 stycznia 1968.

Odszedł od nas wielki przyjaciel młodzieży, oddany całym sercem pracy społecznej i niepodległościowej.

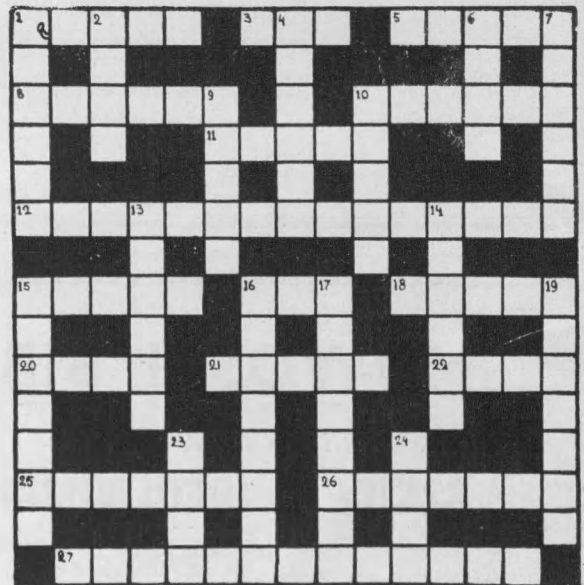
Stowarzyszenie Polskich Kombatantów

KRZYŻÓWKA Nr 601/68

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) i 5) o jego tajemnicy wszyscy wiedzą; 3) diabli krąg. 8) mnóstwo (wspak). 10) żołnierz jego kółeczkiem (wspak); 11) arenda; 12) to już końcowy wysilek (8, 9); 15) i 18) dla pamięci; 16) w salonie występuje bez pazurów?; 20) czy?; 21) w ciemności może wzbudzić niepokój; 22) cena w szkole?; 25) w Soplicowie miało swoją świątynię (wspak); 26) poseł wenecki do Władysława IV; wielki malarz wenecki (wspak); 27) przekroczyć dopuszczalną granicę (8, 5).

Pionowe: 1) znasz je tylko z opisów, próbkę jego czasami można znaleźć w domu; 2) i 6) koncesja; 4) na nogi, wiadomo, że stare; 7) kapłani żydowscy; 9) nie godzą się z szacunkiem; 10) chłopak w staropolszczyźnie; 13) zakochana w nim Wenus zmieniła go po śmierci w kwiat. 14) niemożne dziś słowo w słowniku zakocha-



nych. 15) najmniejszy palec, pieszczoszek; 16) spartański zdobywca Aten; 17) coraz rzadsza dziś enota; 19) maść konia; 23) robi to wiatr; 24) według Kochanowskiego: „dzban dodaje je ubogiemu, tak, że nie boi się on ni króla ni hetmana”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 600/68

Poziome: 1) i 5) spowiednik, 3) i 16) intruz, 8) cieśla, 10) wierny, 11) fraza, 12) Pierwsza Kadrowa, 15) i 18) mario-netka, 20) i 22) zasobnie, 21) sznur, 25) kędzior, 26) rozkosz, 27) Wieczne Miasto.

Pionowe: 1) szcep, 2) i 6) Oleandry, 4) Ataman (wspak), 7) krypta; 9) afisz, 10) wasal, 13) Molier (wspak), 14) rzeźba, 15) mrzonka 16) rozmaryn, 17) Morfeusz (wspak), 19) Aretuza, 23) wiec, 24) Azja.

Pragnę przy każdym utworze, umieścić obok nazwiska autora również jego adres. Osoby, które by nie życzyły sobie tego proszę o zawiadomienie. Utwory będą zamieszczać w kolejności nadsyłania.

Raz jeszcze proszę o pomoc w tym przedsięwzięciu, bo przecież każdy wiersz to modlitwa do naszej Matki i Królowej Korony Polskiej.

Kazimierz Minkiewicz
38, Shrewsbury Street,
Manchester, 16. England.

KSIEGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

Skład główny wydawnictw Polskiego Instytutu Historycznego

★

POLSKIE SIŁY ZBROJNE W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

- Tom I cz. 1* — Kampania wrześniowa 1939. Polityczne i wojskowe położenie Polski przed wojną. 30s
- Tom I cz. 2* — Kampania wrześniowa 1939. Przebieg działań, 1—8 września. 42/6
- Tom I cz. 3* — Kampania wrześniowa 1939. Okres trzeciej kampanii, 9—14 września. 50s
- Tom I cz. 5* — Kampania wrześniowa 1939. Marynarka wojenna i obrona polskiego wybrzeża. 30s
- Tom II cz. 1* — Kampania na obczyźnie. Wrzesień 1939 — czerwiec 1941. 35s
- Tom III* — Armia Krajowa. 52/6

KALENDARZYK KOMBATANTA

NIEODZOWNE

ŹRÓDŁO

INFORMACJI

DLA

K A Ź D E G O

CENA 6/6

Do nabycia:

w

KSIEGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

Tel.: 584 3500

NOWOŚCI BIBLIOTEKI „KULTURY“

ALEKSANDER HERTZ

SZKICE O IDEOLOGIACH

Wracając do Maxa Stirnera — Z perspektywy przeszłości — Ideologia; — Treść i zakres — Weryfikacja — Uwagi marginesowe o przewidywaniu przeszłości — Wiek ideologii — Inteligencja i ideologie — Koniec czy kryzys?

Str. 147. Cena egz. sh. 20/-, F. 12.00, dol. 2.30

WIKTOR SUKIENNICKI

LEGENDA I RZECZYWISTOŚĆ

Wspomnienia i uwagi o 20 latach Uniwersytetu w Wilnie.

Str. 128. Cena egz. sh. 15/-, F. 9.00, dol. 2.00

TOMASZ STALIŃSKI

WIDZIANE Z GÓRY

Pierwsza powieść o Polsce Ludowej, której bohaterami są członkowie Biura Politycznego KC PZPR

Str. 320. Cena egz. sh. 31/-, F. 18.50, dol. 4.00

GALINA SIERIEBRIAKOWA

HURAGAN

Nowy wstrząsający dokument z okresu stalinowskiego.

Przełożył Józef Łobodowski
Wstęp Gustawa Herlinga-Grudzińskiego

Str. 112. Cena egz. sh. 13/6, F. 8.00, dol. 1.75